Nauka w okowach polityki ▪ Zmienne dogmaty Kościoła ▪ Sygnał od Mosadu
Bóg Nicka Cave'a ▪ Gwiazdy Hollywood dla Kremla ▪ Kieżun poleca Ateny

Kraków 25 września – 1 października 2024 nr 39 (3925) cena 13 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
TygodnikPowszechny.pl

Ludzie więksi od wody

▪ JAK WALCZYMY Z POWODZIĄ

▪ JAK SIĘ PRZYGOTOWAĆ NA NASTĘPNY KATAKLIZM

WŁÓCZYKIJ KULTURALNY
PREMIERY TEATRALNE

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

REKLAMA

29 września → 13 października 2024

6* KIELECKI MIĘDZYNARODOWY FESTIWAL TEATRALNY

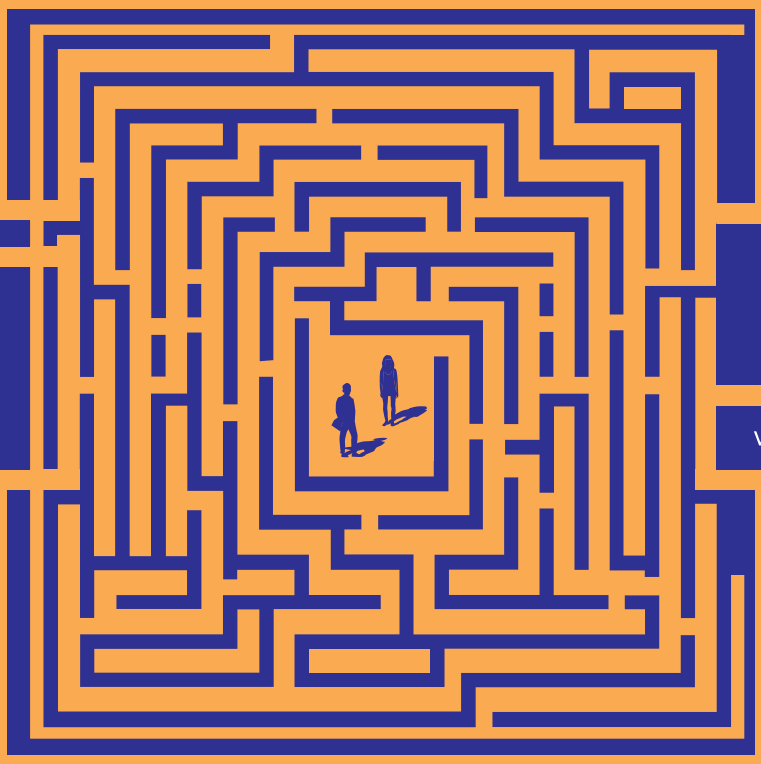

TEATR ŻEROMSKIEGO W KIELCACH

www.teatrzeromskiego.pl

PROGRAM FESTIWALU

SPEKTAKLE z Polski, Niemiec i Francji

CZYTANIA performatywne

SPOTKANIA z twórcami_czyniami

DEBATY poświęcone istotnym zjawiskom w polskiej kulturze

WARSZTATY teatralne

TEATR im. STEFANA ŻEROMSKIEGO 25-507 Kielce, ul. Sienkiewicza 32 / kasa +48 41 344 75 00 / kasa@teatrzeromskiego.pl

Dofinansowano ze środków Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego oraz Województwa Świętokrzyskiego.

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

WOJEWÓDZTWO ŚWIĘTOKRZYSKIE

Patroni medialni:

onet, e-teatr.pl, Radio Kielce 101,4 MHz, TVP3 Kielce, Echo Dnia

Partnerzy:

Kieleckie Centrum Kultury, instytut teatralny, Culture.pl Adam Mickiewicz Institute, Wydawnictwo Agora

KS. ADAM

Boniecki: *Ludzie i żywioł*

Żyjemy od wielu dni tym, co dzieje się na Dolnym Śląsku. Oczywiście, dominują informacje, uwaga skupiona jest na ludziach, którzy już stracili wszystko lub prawie wszystko, którzy potrzebują pomocy, i na walce o zabezpieczenie tego, co jeszcze (oby) da się zabezpieczyć. I na tych dzielnych ludziach, którzy z poświęceniem pracują, by zapewnić swoim i nie swoim domom bezpieczeństwo. Dowiadujemy się już też o wielkich kosztach odbudowy tego, co zniszczyła powódź. Premier obiecuje, a jednocześnie ostrzega, że przywrócenie normalnego życia na terenach dotkniętych przez wielką wodę potrwa dłużej, niż by się chciało. Widać solidarność społeczeństwa z tymi, którzy się znaleźli w trudnej, często krańcowej sytuacji. Państwo, instytucje publiczne, organizacje społeczne, poszczególni ludzie – spieszą z pomocą. Wiadomo, że ten zapał nie będzie trwał wiecznie, ale ważne, żeby państwo nie ustało w pomocy.

Jak Polska sobie z tym radzi? Każde takie doświadczenie jest nauką. Lekcja taka, jak obecny kataklizm, może się stać kolejnym punktem granicznym w historii zapobiegania skutkom powodzi. Marek Rabij w tym wydaniu „Tygodnika" przypomina, że egzaminu, jakim była powódź z 1997 roku, państwo polskie wtedy nie zdało. Pisze, że choć na podsumowanie jego reakcji na aktualną katastrofę jeszcze za wcześnie, to sądząc po pierwszych sygnałach, należy się państwu co najmniej ocena dostateczna. Dużo to czy mało?

Media przypomniały, jak w efekcie protestów i kalkulacji politycznych zamrożono budowę systemu zbiorników retencyjnych, które miały chronić Kotlinę Kłodzką, a finansować je miał Bank Światowy. Bo ich budowa, jak pisze Katarzyna Kaczorowska w „Polityce", oznaczałaby 2,5 tys. lub w wariancie minimalnym 1,2 tys. wyburzonych domów, nie mówiąc o ingerencji w krajobraz. Zapobieganie wielkim powodziom w przyszłości to koszt ogromny, ale chyba jednak porównywalny do kosztów naprawiania szkód wyrządzonych przez obecny kataklizm. Oczywiście, nigdy nie ma stuprocentowej pewności, zawsze mogą się pojawić niespodzianki, jednak skutki powodzi z całą pewnością nie byłyby tak ogromne jak obecnie, gdy z owych zbiorników niemal całkowicie zrezygnowano. Po drugiej stronie są jednak ludzie mający stracić swoje domy, w których często żyli od lat, czasem od dziecka. Oczywiście, otrzymają w zamian inny dom w innym miejscu, ale nigdy nie będzie on tym samym, co mają utracić.

Dziś ludzie walczą ze skutkami powodzi, chwilowo nie zastanawiając się nad opisywanymi przez specjalistów błędami z przeszłości. Wobec bezlitosnego żywiołu ludzie, mnóstwo ludzi, okazują niezwykłą odwagę i determinację. Ta akcja jest fantastycznym przejawem solidarności. To wyzwanie zostało podjęte – mam na myśli solidarny wysiłek tych, którzy bronią się przed zalaniem, i tych, którzy okazują ofiarom klęski konkretną pomoc. Jak jednak pokazują autorzy tekstów w tym numerze, wielkie wyzwania jeszcze nas czekają – te dotyczące ochrony przed przyszłymi powodziami, ale też życia w świecie innym niż dotąd. Bo tegoroczny, straszliwy żywioł pokazał nam na własne oczy również to, przed czym specjaliści już dawno ostrzegali: że zmiana klimatyczna rzeczywiście następuje. Tu i teraz. ©℗

Ks. Adam Boniecki, dziennikarz i duszpasterz, jest redaktorem seniorem „Tygodnika Powszechnego"

TP W NASTĘPNYM NUMERZE „TYGODNIKA"

BP KRZYSZTOF ZADARKO: My wobec imigrantów

- o bohaterach na polsko-białoruskiej granicy
- o patrolach obywatelskich
- o zarządzaniu strachem, a nie polityką imigracyjną
- o mechanizmach regularnej imigracji
- o tym, że dobro osoby powinno stać ponad dobrem narodu

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Dziwna sprawa z tymi **DOGMATAMI**. Na przykład: nie istnieje żaden ich spis. Kościół ogłasza je rzadko i właściwie niechętnie. A tak kluczowe sprawy jak zmartwychwstanie – nie są opisane przez żaden dogmat. Dogmatyzm nie kojarzy się z wiarą głęboką, spełniającą się w relacji z Bogiem, ale raczej z kodeksem prawa kanonicznego. Czy nie znając lub nie rozumiejąc do końca dogmatów, możemy się nazywać wierzącymi? Ks. Grzegorz Strzelczyk uspokajał kiedyś na naszych łamach, że wielu Polaków uważa Chrystusa za Boga chodzącego po ziemi, i chociaż w świetle dogmatyki podpada to pod herezję monofizytyzmu, to „nieświadome wyobrażenie niezgodne z dogmatem nie stanowi przeszkody dla zbawienia".

„Wbrew pobożnym przekazom, dogmaty mogą przeszkadzać i utrudniać przyjęcie i **ZROZUMIENIE WIARY**" – pisze w tym numerze teolog Józef Majewski. „Znam wierzących, którzy zazdroszczą niewierzącym, że ci nie muszą mierzyć się z takimi problemami". W swoim eseju na kilku przykładach opisuje, że dogmat – paradoksalnie, bo przecież myślimy o nim jak o skale – bywa płynny i zmienny w czasie. Mówiąc chociażby o „obcowaniu świętych", pierwsi chrześcijanie mieli na myśli coś zupełnie innego niż my. (Co konkretnie? Sprawdźcie u Majewskiego). Do tego stopnia, że mieliby nas... **ZA HERETYKÓW**.

Co na pewno nie ulega wątpliwości, to że do wierzenia jest potrzebna refleksja intelektualna – żeby nie dać się zwieść sekciarzom, domorosłym interpretatorom Pisma i nie popaść w zabobon. Naukowcy od dekad próbują forsować tajemnicę związaną z **CAŁUNEM TURYŃSKIM** – o najnowszych badaniach tego artefaktu pisze Mariusz Gogól. Być może nie jest on średniowiecznym falsyfikatem, ale czy mógł być całunem Chrystusa? A jeśli by był – to czy ten fakt wzmocni, czy osłabi naszą wiarę? Czy to by jeszcze była wiara? To już pytania nie do biologa, tylko dogmatyka. A może po prostu do naszego sumienia?

Jeszcze jedną sprawę poddano ostatnio zimnej, intelektualnej refleksji. To problem **KULTU W MEDZIUGORJU**. Watykańska nota na ten temat, którą komentujemy na „Obrazie tygodnia", rozczarowała tych, którzy oczekiwali odpowiedzi na pytanie o prawdziwość orędzi Gospy. Kościół zręcznie się od tego wywinął – wskazując jednak coś, co jest dla wiary o wiele istotniejsze niż cudowność. Czytajcie ten numer. Pomagamy zrozumieć świat, a jeśli to niemożliwe – zadać najistotniejsze pytania. ©℗

MACIEJ MÜLLER
REDAKTOR PROWADZĄCY

Dziennikarz działu Wiara, piszący również na tematy historyczne oraz dotyczące zdrowia. Autor kilku książek, m.in. „Żywych pochodni" o początkach chrześcijaństwa.

30 Budziem tut
MARCIN WÓJCIK:
Skupisko ukraińskich Romów w małopolskich Koninkach to szansa na międzykulturowy dialog. Szkoda, że tego dialogu nie ma między Polakami, którzy mają Romom pomagać.

65 Najważniejsze teatralne premiery sezonu
DARIUSZ KOSIŃSKI:
Nie ma rady, trzeba brać do ręki kalendarz i zapisywać daty kolejnych świetnych spektakli. Oto nasz przewodnik na najbliższe miesiące.

89 Wyczuwam znawcę
ELIZA KĄCKA:
Gdańsk, Żółty Wiadukt, zastygam przy barierce. Przede mną kosmiczno-ruinny krajobraz z ramionami zielonych dźwigów. Wygląda to jak porzucona stacja kosmiczna.

GRAŻYNA MAKARA / KATARZYNA WŁOCH / TP // JACEK TARAN // KAROL BUDREWICZ / MATERIAŁY PRASOWE // GRAŻYNA MAKARA

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

6 Warszawa coraz dalej
ZBIGNIEW PARAFIANOWICZ

7-9 Komentarze

10-11 Informacje

■ ■ CZYTANIA

22-23 MAŁGORZATA KORDOWICZ, O. WACŁAW OSZAJCA, PIOTR SIKORA, KARD. GRZEGORZ RYŚ

■ ■ KRAJ

24 Polski Einstein? To niemożliwe
MAŁGORZATA SOLECKA: *Rząd ogranicza finansowanie spełniającego najwyższe standardy Narodowego Centrum Nauki*

27 Gdy zawyje syrena
ELIZA LESZCZYŃSKA-PIENIAK *o strażakach*

30 Budziem tut
MARCIN WÓJCIK

■ ■ NAUKA

35 Klimat nie poczeka
ROZMOWA ZE ZBIGNIEWEM KARACZUNEM, SOZOLOGIEM: *Polska nie ma spójnej polityki zarządzania skutkami kryzysu klimatycznego*

■ ■ WIARA

40 Doktryna nie zwalnia z myślenia
JÓZEF MAJEWSKI *o dogmatach i herezjach*

44 Wybitny i wybitnie inny
JAN OPIELKA: *Aż trudno uwierzyć, że Nick Cave recytujący dziś psalmy to ten sam artysta, który uchodził za jedną z twarzy postpunka i gothic rocka*

46 Krew i ziemia
MARIUSZ GOGÓL *o nowych badaniach nad Całunem Turyńskim*

■ ■ ŚWIAT

50 Zaufanie w skrajnych czasach
TOMASZ MAĆKOWIAK *o politycznych skutkach powodzi w Czechach*

TEMAT TYGODNIKA

BEATA ZAWRZEL / REPORTER

12 Co odsłoniła woda
MAREK RABIJ
Takie wydarzenia pokazują, że państwo to nie tylko premier i wojsko. O jego sile decydują wspólny wysiłek rządu, samorządów i solidarność ludzi.

18 Zanim znów nas zaleje
JAN MENCWEL

20 Najlepsze oblicze
MICHAŁ BILEWICZ

■ STRONY SPECJALNE ■

65 Włóczykij kulturalny

■ FELIETONY ■

39 TOMASZ STAWISZYŃSKI
49 ZUZANNA RADZIK **89** ELIZA KĄCKA
104 OLGA DRENDA **105** PAWEŁ BRAVO
110 STANISŁAW MANCEWICZ
110 BARTOSZ MINKIEWICZ

ZDJĘCIE NA OKŁADCE:
KACPER PEMPEL / REUTERS / FORUM

52 Austria: czy powódź zaważy na wyborach?
WOJCIECH PIĘCIAK

53 Jakob i jego droga
JACEK TARAN Z UKRAINY: *Swoim przykładem chce dać nadzieję okaleczonym ukraińskim żołnierzom*

56 Tysiące wybuchowych gadżetów
AGATA KAŹMIERSKA, WOJCIECH BRZEZIŃSKI *o eskalacji na Bliskim Wschodzie*

58 Amerykańska arytmetyka
MARTA ZDZIEBORSKA *o specyfice wyborów prezydenckich w USA*

■ ■ HISTORIA

62 Wielki Misza
STANISŁAW CALIK: *120 lat temu urodził się Michał Waszyński, najsłynniejszy reżyser filmowy międzywojennej Polski*

■ ■ KULTURA

92 Nieświęte hieroglify
JERZY JARNIEWICZ: *Nikt bardziej wiarygodnie niż Thomas Pynchon nie sportretował współczesnego chaosu*

96 Wszyscy ludzie prezydenta
MICHAŁ WALKIEWICZ: *Oto losy, które układają się w opowieść o romansie z dyktaturą*

99 Twórcy nieprawidłowi
ANNA ŁABUSZEWSKA: *Rosyjska propaganda państwowa wykuwa nowego człowieka*

102 Jazda po mieście
ANITA PIOTROWSKA *o filmie Radu Jude „Nie obiecujcie sobie zbyt wiele po końcu świata”*

103 Cyryl pół wieku później
LEKTOR *o książce Wiktora Woroszylskiego „Cyryl, gdzie jesteś? Krótka, ale powieść”*

■ ■ ZMYSŁY

106 Wielka feta
BARTEK KIEŻUN: *Na pewno czytaliście, że Ateny są brzydkie. To nieprawda, jeśli tylko jesteście gotowi na wszystko*

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

Wybierz swoją prenumeratę... ... na stronie 48

Zapisz się na newsletter
POWSZECH.NET/NEWSLETTER

Słuchaj podkastów
POWSZECH.NET/PODKAST

/TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIK ■ /TYGODNIK ■ YouTube/TYGODNIKPOWSZECHNY

OBRAZ TYGODNIA

WARSZAWA CORAZ DALEJ

Teoretycznie w otoczeniu Wołodymyra Zełenskiego jest wielu wpływowych specjalistów spoglądających na Polskę z sympatią. W rządzie to szef dyplomacji Andrij Sybiha i minister kultury oraz komunikacji strategicznej Mykoła Toczycki. W Biurze Prezydenta, na stanowisku zastępcy szefa – Ihor Żowkwa. Każdy z nich zna lub rozumie w różnym stopniu język polski. Biegle i bez akcentu włada nim Sybiha.

NIE SPOSÓB kwestionować ich niezłego rozeznania w sprawach polskich. Cała trójka ma też za sobą karierę dyplomatyczną albo co najmniej zaangażowanie w sprawy międzynarodowe. Żowkwa współtworzył tzw. wektor euroatlantycki ukraińskiej dyplomacji, i to jeszcze w czasach prezydentury Leonida Kuczmy, gdy szefem administracji był Wiktor Medwedczuk, słynny agent wpływu Kremla nad Dnieprem. Sybiha z kolei w latach 2008-2012 był radcą ambasady ukraińskiej w Warszawie, podobnie Toczycki, dla którego kierunek zachodni był zawsze priorytetem. Czy to jako przedstawiciela Ukrainy przy UE, czy jako doradcy w MSZ ds. NATO.

Trudno zakładać, że ci trzej panowie nie rozumieją konsekwencji, jakie mogą wynikać z rujnowania relacji z Warszawą. Dlaczego zatem w naszych stosunkach jest tak źle? I dlaczego będzie jeszcze gorzej? Jeśli bliżej przyjrzeć się relacjom Warszawa–Kijów, okazuje się, że wymienieni specjaliści wpływ na nie mają ograniczony. Co jednak ważniejsze, z powodu obiektywnych różnic interesów w kwestiach takich jak historia czy gospodarka – jak przekonywał na Forum w Krynicy analityk PISM Daniel Szeligowski – stanem naturalnym jest tu kryzys, a nie karnawał miłości.

Wciąż nie możemy się przyzwyczaić do przemocowego sposobu uprawiania polityki międzynarodowej przez władze Ukrainy. Czas najwyższy otrząsnąć się ze wspomnień o karnawale miłości z 2022 roku.

ZBIGNIEW PARAFIANOWICZ

POWYŻEJ: Ministrowie Andrij Sybiha i Radosław Sikorski pod Ścianą Pamięci Poległych Obrońców Ukrainy, Kijów, 13 września 2024 r.

PROBLEM PIERWSZY, brak wpływu fachowców, wynika ze specyficznego systemu władzy, który wytworzyła wojna. To duumwirat, w którym decyzje podejmuje Zełenski do spółki z szefem swego biura Andrijem Jermakiem. Być może nawet ten drugi znaczy nad Dnieprem więcej niż głowa państwa. Tak przynajmniej uważa magazyn „Time", który w 2024 r. umieścił go w gronie 100 najbardziej wpływowych osób w Europie. Pomijając Zełenskiego.

To Jermak podejmuje decyzje w sprawie Polski, hołdując często sprawdzonej sowieckiej zasadzie bicia po twarzy, aby ustawić partnera w odpowiednim położeniu. Świadczy o tym choćby sprawa zatrzymania na polskim lotnisku boksera Ołeksandra Usyka. Moi rozmówcy przekonują, że w nocy, tuż po tym w sumie drobnym incydencie – Jermak miał wydzwaniać do przedstawicieli polskiego państwa. Nie wystarczył mu konsul. Mało tego: na drugi dzień w ramach eskalacji Andrij Sybiha dostał zlecenie wysłania do Polaków noty z pretensjami, choć sam Usyk już wówczas odpuścił. Nie miał żalu, bo zdawał sobie sprawę, że jego towarzysze zrobili zadymę i na każdym lotnisku na świecie zostaliby potraktowani tak samo. Jermak z kolei, gdyby do podobnego incydentu doszło w USA, najpewniej nie dzwoniłby do Jake'a Sullivana. W jego posowieckiej głowie Polska to jednak trzecia liga.

PÓŁ BIEDY gdyby skończyło się na Usyku. Ale Jermak poczuł krew. Równolegle do incydentu zaczęto spinować wersję, jakoby Radosław Sikorski podczas zakończonego niedawno w Kijowie forum YES wyszedł przed szereg i naruszył tabu dotyczące przyszłości Krymu. Polak mówił o hipotetycznym oddaniu półwyspu pod zarząd ONZ i w przyszłości nie wykluczał tam referendum. Nikt podczas panelu nie zakwestionował tego pomysłu, bo było to spotkanie w formule dopuszczającej pomysły *out of the box*. Sikorskiego zaatakowano później, bo tak chciał Jermak. Najpierw grillowali go Tatarzy krymscy, że niby kupczy ich przyszłością. Następnie dołączyły oficjalne struktury państwa. Chodziło o to, by z Sikorskiego zrobić chłopca w krótkich spodenkach, przy okazji podtapiając go w wojnie polsko-polskiej.

Niewykluczone, że wzięto na cel Sikorskiego po jego wypowiedzi na temat połączenia rozmów o akcesji Ukrainy do UE z kwestią odblokowania ekshumacji ofiar rzezi wołyńskiej. Oficjalnie szef polskiego MSZ poinformował o tym Ukraińców podczas spotkania z Zełenskim w Kijowie, którego kulisy opisał Witold Jurasz w Onecie. Atmosfera rozmów miała być lodowata: prezydent zarzucał ministrowi, że Wołyń pojawia się na agendzie ze względu na uwarunkowania wewnątrzpolityczne w Polsce. Miał również pretensje o niechęć polskich władz do przekazania pozostałych migów 29.

Czy można się temu wszystkiemu dziwić? Odpowiedzialny za relacje z Polską i urodzony w 1971 r. Jermak to jednak mentalny postsowiet. Czy też, jak mawia część dyplomatów po stronie polskiej – sowietoliberał. Czyli człowiek, który przeszedł bezpośrednio z komunizmu do nowoczesności, z pominięciem okresu przejściowego. Efektem są specyficzne pozostałości starej szkoły myślenia w postaci nieunikania przemocowego stylu w polityce, jednoosobowego zarządzania, roszczeniowości, zwykłego chamstwa czy też zagrań poniżej pasa.

SYNDROM TEN nie jest czymś nadzwyczajnym w ukraińskiej polityce. To norma, do której nie możemy się od lat przyzwyczaić, co z kolei powoduje po stronie polskiej niepotrzebną frustrację. Każda nowa ekipa trafia w końcu na swojego Jermaka. I każda zachowuje się tak, jakby to była jakaś nowość. ©

Autor jest dziennikarzem „Dziennika Gazety Prawnej", stale współpracuje z „Tygodnikiem Powszechnym".

VALENTYN OGIRENKO / REUTERS / FORUM

Silne ręce Ursuli

PAWEŁ BRAVO

Ursula von der Leyen – oraz jej środowisko polityczne, czyli niemieccy chadecy – umacniają swoją władzę nad unijną maszynerią. Stara i nowa przewodnicząca Komisji Europejskiej pozbyła się ostatnich komisarzy, którzy byli dla niej dotąd przeciwwagą, i tak podzieliła kompetencje między tymi nowymi, by to ona pozostała arbitrem w ich sporach.

W przedstawionym w zeszłym tygodniu składzie nowej Komisji zabrakło np. Thierry'ego Bretona (wpływowego komisarza ds. rynku wewnętrznego), którego Paryż zgodził się za pięć dwunasta wycofać w zamian za rzekomo lepsze stanowisko dla obecnego szefa francuskiej dyplomacji Stéphane'a Séjourné.

Tyle że szumnie brzmiący tytuł „wiceprzewodniczącego wykonawczego ds. dobrobytu i strategii przemysłowej" nic realnie nie znaczy, bo podległe mu pośrednio ważne gospodarcze dyrekcje będą w rękach komisarzy znanych od dawna raczej z ostrożności w wydawaniu (Valdis Dombrovskis z Łotwy, Wopke Hoekstra z Holandii, Maroš Šefčovič ze Słowacji). I to oni będą znaczyć więcej od formalnego zwierzchnika, któremu bezpośrednio podlegać będzie tylko jeden pośledni departament. Podobnie asertywna w dziedzinie polityki klimatycznej Teresa Ribera z Hiszpanii, najważniejsza socjalistka w nowej Komisji (mają tylko 4 stanowiska na 27), zostanie „otorbiona" przez ostrożnych komisarzy-hamulcowych związanych z Europejską Partią Ludową.

Zresztą von der Leyen nie mówi o „zielonym ładzie", tylko o „czystym przemysłowym ładzie", co sugeruje strategiczne przesunięcie akcentu na ekologię, która musi się opłacać.

Kaja Kallas z Estonii będzie, co już wiadomo od lipca, ministrą spraw zagranicznych, a komisarz z Litwy Andrius Kubilius pokieruje nowym resortem obrony i przestrzeni kosmicznej. Oba te kraje są znane ze swej postawy wobec Rosji, ale jeśli sądzić po poprzedniej kadencji, to przewodnicząca nie zostawi Kallas pola do samodzielnego działania, a wspólna polityka obronna UE jest w powijakach i raczej nie ma szans np. na wspólne finansowanie produkcji broni.

To, co najważniejsze, czyli budżet Unii, przewodnicząca wyjęła z zawiłej struktury i złożyła w zaufane ręce polskiego komisarza „od budżetu" Piotra Serafina, sprawdzonego urzędnika z otoczenia Donalda Tuska, który jako jedyny będzie podlegał jej bezpośrednio (a zaraz zacznie się praca nad ramami finansowymi na lata 2028-2034). ©℗

Meta i media

WOJCIECH BRZEZIŃSKI

TO NA PIERWSZY RZUT OKA NIEWIELKA ZMIANA: jeśli użytkownik Facebooka wrzuci na profil link do artykułu z polskiego portalu, tygodnika czy gazety, zamiast zdjęcia i streszczenia tekstu zobaczy jedynie link. W ten sposób Meta, spółka-matka Facebooka, Instagrama i WhatsAppa, postanowiła zagrać na nosie polskim wydawcom i w pewnym sensie państwu.

Gdyby wszystko wyświetlało się jak wcześniej, musiałaby płacić wydawcom za publikowane treści, bo 20 września w życie weszła nowelizacja prawa autorskiego. Zakłada, że mediom należy się wynagrodzenie nawet za krótkie fragmenty tekstu i obrazy zamieszczane w wynikach wyszukiwania. To ważne, bo badania wskazują, że aż 60 proc. wyszukiwań kończy się brakiem kliknięcia w link. Użytkownik czyta tytuł, lead czy nawet skrót tekstu, ogląda zamieszczone przez wyszukiwarkę reklamy, a media nie dostają ani grosza.

Badania Columbia University wskazują, że Meta zarabia na takich reklamach 4 mld dol. rocznie, a Google aż 21 mld.

Gdyby te koncerny dzieliły się pieniędzmi z wydawcami tak, jak za reklamy wyświetlane na ich stronach, media powinny otrzymywać 12 mld dol. rocznie.

Zgodnie z zapisami znowelizowanego prawa autorskiego koncerny mają negocjować stawki wynagrodzenia z mediami, ale jeśli nie dojdzie między nimi do porozumienia, wysokość wynagrodzenia wskaże prezes UOKiK. Dzięki temu media nie zostaną postawione w sytuacji mrówki, która ma negocjować ze słoniem. Co ważne, ustawa nie jest polskim wymysłem, a wdrożeniem unijnych dyrektyw. Meta w oświadczeniu napisała, że jej zdaniem implementacja tych dyrektyw jest niejasna.

– Decyzja Mety pokazuje, że treści prasowe mają dla niej wartość, ale nie chce za ich udostępnienie płacić. Kwestionuje polską implementację dyrektyw UE, ale tym samym obchodzi regulację prawną, co może stanowić podstawę do podjęcia kroków prawnych ze strony wydawców – mówi Jacek Wojtaś, koordynator ds. europejskich Izby Wydawców Prasy.

Polska nie jest pierwszym frontem konfliktu. Podobne przepisy wprowadziły Australia i Kanada, gdzie Facebook całkowicie zablokował możliwość publikowania newsów. W Australii koncern ustąpił po miesiącu, ale w Kanadzie blokada trwa do dziś, powodując 43 proc. spadku ruchu na stronach mediów.

Jeśli w Polsce znikną treści od zaufanych mediów, co zostanie? Dezinformatorzy, także ci zza wschodniej granicy, z radością wypełnią lukę. ©

MATERIAŁY PRASOWE PAH

HELENA KRAJEWSKA, RZECZNICZKA POLSKIEJ AKCJI HUMANITARNEJ:

Żeby pomóc powodzianom, trzeba to zrobić mądrze

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI: Co widać, gdy opadnie woda?

HELENA KRAJEWSKA: W domach np. muł i śmieci. Na ścianach wyraźną linię pokazującą poziom, do którego doszła woda. Na podwórkach sprzęty: lodówki, mikrofale. Samochody wciśnięte w drzewa. I meble, wszędzie widać meble. Przemoknięte, przegniłe, wystawione przed drzwi. Ludzie płaczą, jak je wynoszą.

Ale czasami, jakimś cudem, widać też cząstkę krajobrazu nietkniętą przez kataklizm. Zapamiętam np. doniczkę z pięknymi kwiatami, którą woda wyniosła na zewnątrz domu, ale nie zniszczyła. Stoi w pięknym słońcu, bo gdy rozmawiamy [piątkowe popołudnie 20 września – red.], na Dolnym Śląsku jest słońce...

Co jest teraz ludziom potrzebne?

Zacznę od tego, co nie jest już tak nieodzowne. Mam na myśli wodę pitną i żywność, zwłaszcza tę, która szybko się psuje. Były przypadki dostarczania do miejsc zbiórek np. jogurtów, których przecież nie ma gdzie przechowywać.

Potrzebne są sprzęty do sprzątania: łopaty, szufle, wysokie kalosze, odzież ochronna, gumowe rękawice. Taczki, wiadra, worki na gruz i na śmieci. Potrzeba też agregatów prądotwórczych, stacji do uzdatniania wody, osuszaczy. To już zakupy głównie dla firm – o co apelujemy.

Przy okazji mam też inny apel. Rzeczy, które wymieniłam, przekazujmy do wojewódzkich hubów, które powstały w Wałbrzychu, Wrocławiu i Lądku-Zdroju. Można też dzwonić i pytać np. w urzędach gminy, co i gdzie jest potrzebne. Nie jedźmy na własną rękę w miejsca, gdzie przeszła powódź, gdyż prowadzą do nich wąskie drogi, które szybko się zatykają. Tak możemy tylko zaszkodzić.

Znam historię ze Złotego Stoku. Przyjechał samochód, w środku kilka łopat. Cztery, pięć. Dlaczego nie więcej? Bo nie było miejsca. Dlaczego nie było? Bo siedzieli ludzie. Myślmy o efektywności pomocy.

Możemy też wpłacić pieniądze.

Wpłacajmy sprawdzonym i zaufanym. Sami organizujemy zbiórkę, ale w takich chwilach nie ma konkurencji – wspaniałą robotę wykonują też np. Caritas czy PCK. Co do PAH-u, gdy skończy się największe zapotrzebowanie na pomoc rzeczową, planujemy np. remonty lokalnych świetlic i organizowanie pomocy psychologicznej. Zbieramy pieniądze, wykorzystując medialny rozgłos, ale działać będziemy dużo dłużej, gdy większość ludzi nie będzie już mieć świadomości, co się dzieje na terenach popowodziowych.

Powódź to też trauma.

Są dzieci, które nawet nie zdają sobie sprawy, jak to zdarzenie w nich zostanie. Są starsi, którzy przeżywają to samo po raz drugi, trzeci. Są ludzie, którzy widzieli, jak woda wdziera się do ich domów. Rozmawiałam ze starszą panią, która spodziewała się wody, ale nie sądziła, że to wszystko stanie się tak szybko. Siedziała spokojnie w fotelu, gdy fala uderzyła prosto w jej okna. Ledwo uratowała siebie i zwierzęta.

Tacy ludzie będą potrzebowali naszej pomocy. ©℗

Działania PAH związane z powodzią można wspierać na www.pah.org.pl/co-robimy/sos/powodz/

NA PUNKTY

PROGNOZY
„Prognozy nie są przesadnie alarmujące" – te słowa Donalda Tuska z 13 września odbijają się premierowi czkawką, bo kilkadziesiąt godzin później południowo-zachodnią Polskę spustoszyła gwałtowna powódź.

POŻYCZKI
Inna wizerunkowa wpadka rządu wiąże się z wypowiedzią minister klimatu Pauliny Hennig-Kloski, która mówiąc o wsparciu dla poszkodowanych na zalanych terenach, wspomniała o „ok. 100 mln zł w niskooprocentowanych pożyczkach". Po burzy, jaką wywołały te słowa, do dymisji podał się... rzecznik resortu.

PORÓWNANIA
W kolejnych dniach premierowi zdarzało się łajanie urzędników w trakcie otwartych dla mediów spotkań sztabu kryzysowego. „Tusk sięgnął po metodę putinowską, której się w demokracjach nie stosuje" – ocenił w TVP Jacek Żakowski.

POCHWAŁY
„Wszystkie ręce na pokład, trzeba pracować zgodnie" – powiedział prezydent Andrzej Duda, dziękując za zaangażowanie rządu, „z premierem na czele", w zwalczanie skutków powodzi. ©℗

Niemcy jeszcze bardziej na prawo

ŁUKASZ GRAJEWSKI

W Brandenburgii na wschodzie Niemiec wybory landowe wygrała Socjaldemokratyczna Partia Niemiec (SPD), która zdobyła 30,9 proc. głosów. To duże zaskoczenie. Sondaże faworyzowały populistyczną Alternatywę dla Niemiec (AfD). Ta ostatecznie zdobyła drugie miejsce, z wynikiem 29,2 proc.

Wynik socjaldemokratów to zasługa jednego człowieka. Dietmar Woidke (na zdj.) pełni funkcję premiera landu od 2013 r. Jest powszechnie szanowany. Zamieszkały przez 2,6 mln ludzi region gospodarczo radzi sobie bardzo dobrze. Żeby uniknąć wygranej AfD, Woidke na finiszu kampanii postanowił zaszantażować wyborców. Zapowiedział, że jeśli SPD nie wygra, to wycofa się z landowej polityki. Taktyka okazała się skuteczna. Na socjaldemokratów zagłosowało wielu wyborców innych partii. Przez to do parlamentu nie dostali się Zieloni. Chrześcijańska Partia Demokratyczna (CDU) otrzymała tylko 12,1 proc. głosów.

MARKUS SCHREIBER / AP / EAST NEWS

Alternatywa dla Niemiec, pomimo drugiego miejsca, może być zadowolona. To już trzeci niemiecki land, po Turyngii i Saksonii, w którym zdobywa blisko jedną trzecią głosów. AfD zyskuje poparcie pomimo postępującej radykalizacji. Skrajna prawica postuluje deportacje „milionów migrantów". Powtarza, że Niemcy muszą pozostać krajem etnicznych Niemców. W tym kraju taki program budzi jasne historyczne skojarzenia. Ale już nie wśród najmłodszych wyborców. Ci ze wschodu najchętniej wybierają właśnie AfD.

Wybory landowe na wschodzie były wielkim testem nastrojów dla całej republiki federalnej. Za rok w kraju odbędą się wybory parlamentarne. Tym, co widać już teraz, jest skręt na prawo całego społeczeństwa i sprzeciw wobec liberalnego kursu migracyjnego rządu Olafa Scholza. Wątki dotyczące polityki klimatycznej, które jeszcze kilka lat temu odgrywały główną rolę, niemal zupełnie zniknęły z debaty publicznej.

Zmieniający się *Zeitgeist* dostrzegają chadecy z CDU. Ich kandydatem na kanclerza został Friedrich Merz. Ten konserwatywny polityk chce walczyć z AfD o głosy prawicowego elektoratu. Najbliższe 12 miesięcy będzie czasem dużych przemian za Odrą. ©

W Medziugorju nie szukajcie cudowności

MACIEJ MÜLLER

Kongregacja Nauki Wiary zaaprobowała „owoce duchowe" związane z kultem maryjnym w Medziugorju. Nie oznacza to zaakceptowania treści głoszonych w – jak podkreśla dokument – „domniemanych" objawieniach, nawet jeśli większość z nich KNW ocenia pozytywnie, jako kierujące uwagę na Chrystusa i Ewangelię (pozostałe wymagają „sprostowania" w duchu nauki Kościoła). Papieskie „nihil obstat" odnosi się więc nie do orędzi, ale do „doświadczenia duchowego". Watykan zezwala na kult publiczny w Medziugorju, uznając, że można tam „otrzymać pozytywny impuls do życia chrześcijańskiego".

Kontrowersyjność Medziugorja wynikała nie tylko z konfliktu między prowadzącymi tamtejszą parafię franciszkanami a lokalnymi biskupami. Chodziło też o to, że objawienia, do których doszło po raz pierwszy w 1981 r., trwają do dziś i Urząd Nauczycielski nie dysponował zamkniętym zbiorem „wypowiedzi" do oceny. Ogłoszone w tym roku „Normy postępowania w rozeznawaniu domniemanych zjawisk nadprzyrodzonych" pozwoliły obejść problem: zająć się oceną korzyści duszpasterskich, bez wypowiadania się o prawdziwości objawień.

A owoce Medziugorja Kongregacja oceniła pozytywnie. Chodzi o nawrócenia, powroty do życia sakramentalnego, uzdrowione małżeństwa itp. Dokument podkreśla, że wynika to raczej z kwitnącego duszpasterstwa: mszy, nabożeństw różańcowych, adoracji i spowiedzi, niż ze spotkań z „widzącymi" (od których działalności nota się dystansuje; prefekt KNW kard. Fernández podkreślił, że kolejne orędzia nie będą publikowane ani badane).

Brak odpowiedzi Kościoła na pytanie o prawdziwość objawień z Medziugorja wywołał rozczarowanie komentatorów i pielgrzymów. Tymczasem z noty płyną chłodne wprawdzie, ale konstruktywne wskazówki co do życia wiarą: szukajcie nie cudowności, ale Eucharystii. Nie objawień, ale Słowa Bożego. ©℗

Koniec pracy zdalnej czy początek wojny prezesów?

PRACA ▪ Paradoksalnie to w okolicach Majorki, dziś kojarzącej się głównie z odpoczynkiem, odnaleziono, liczące jakieś dwa i pół tysiąca lat, pierwsze kieraty. Wynalezione prawdopodobnie przez Kartagińczyków zespoły przekładni zębatych skutecznie służyły do napędzania różnych urządzeń. Musiały być jednak zaprzężone w konie, woły, a czasem ludzi.

Czy era pracy zdalnej, nazywanej czasem także hybrydową, dobiega końca? Najczęściej taka konkluzja pojawiała się w newsach informujących o liście CEO Amazona Andy'ego Jassy'ego do pracowników internetowego giganta. Jassy napisał, że od stycznia przyszłego roku wszyscy będą musieli wrócić do pracy stacjonarnej przez pięć dni w tygodniu (wzrost z obecnych trzech dni).

Amazon nie jest pierwszą korporacją zapowiadającą likwidację lub znaczną redukcję dni pracy zdalnej. Po każdej takiej zapowiedzi ruszała lawina komentarzy z tą samą konkluzją: wyczekiwany w czasie pandemicznych lockdownów świat pracy z domu, większej równowagi między pracą a życiem (osobistym, rodzinnym, wspólnotowym), nie nadejdzie.

Jassy pisze jednak o równie ważnej rzeczy, która rzadziej trafiała do nagłówków. Narzeka na ogólną ilość biurokracji, która, jak twierdzi, ciąży korporacji. Jego list ma ponad osiem tysięcy znaków i zero śródtytułów, ale za ociężałość wini zbyt dużą liczbę spotkań oraz wielu pracowników, których „zatrudniliśmy w ostatnich 6-8 latach". Wybór takiego okresu ma znaczenie, bo zrzuca odpowiedzialność na byłego CEO Amazona, Jeffa Bezosa, który ustąpił przed trzema laty.

Równie rzadko zauważa się w komentarzach, że praca zdalna była przywilejem niedostępnym największej liczbie ludzi pracujących na rzecz Amazona – magazynierek i magazynierów, kierowców, kurierów. Niemal przez cały okres pandemii nie mieli wyboru i musieli pracować jak zawsze, również narażając zdrowie swoje i swoich rodzin w początkowej fazie pandemii, kiedy nie było jeszcze szczepionek.

Jednym z najbardziej innowacyjnych przedsiębiorstw w Polsce była kopalnia soli w Wieliczce, która już w XV w. instalowała nad swoimi szybami kieraty. Stworzyła ich typ nazywany dzisiaj „kieratem polskim", a jedyny w Europie zbiór tego typu maszyn znajduje się w kolekcji technicznej Zamku Żupnego w Wieliczce. Aktualnie zbiór liczy 1508 obiektów.

©℗ PATRYK STANIK

Dobra rada episkopatu

GRANICA ▪ Pomoc imigrantom na granicy polsko-białoruskiej „nie jest działalnością przestępczą ani tym bardziej zdradą narodową" – pisze Rada ds. Migrantów i Uchodźców działająca przy Konferencji Episkopatu Polski. W zamieszczonych na stronie internetowej KEP „wskazaniach duszpasterskich" apeluje, by „skomplikowany los migrantów, oszukanych przez sąsiednie kraje i handlarzy ludźmi" nie był rozgrywany według fałszywej alternatywy „albo obrona granic, albo humanitarna wrażliwość". Rada przypomina, że szacunek i wsparcie należą się zarówno żołnierzom i funkcjonariuszom Straży Granicznej, jak i „grupom humanitarnym, śpieszącym z pomocą imigrantom".

„Wskazania duszpasterskie" opublikowano z okazji zbliżającego się Światowego Dnia Migranta i Uchodźcy (29 września). Dokument adresowany jest do proboszczów i zawiera kilka sugestii, jak na poziomie parafialnym odpowiedzieć na coraz liczniejszą obecność imigrantów i uchodźców w naszym społeczeństwie, oraz na konsekwentnie powtarzane apele papieża o otwarcie dla nich granic i serc.

Działania, do których zachęca rada, to po pierwsze – modlitwa za ludzi, którzy przyjechali do Polski w poszukiwaniu lepszego i bezpiecznego życia, po drugie – pomoc bezpośrednia imigrantom z terenu parafii (nie tylko opieka duszpasterska dla katolików, ale też organizowanie spotkań integracyjnych czy lekcji języka polskiego przy zaangażowaniu wolontariuszy, np. emerytowanych nauczycieli) i po trzecie – uświadamianie wiernym, że udzielenie pomocy każdemu, kto znalazł się w potrzebie, bez względu na jego pochodzenie, rasę czy religię, jest obowiązkiem chrześcijanina, wynikającym z Ewangelii i społecznego nauczania Kościoła. – To tylko minimum, które możemy zrobić, nie czekając na strategiczne plany działania państwa – mówi „Tygodnikowi" bp Krzysztof Zadarko, autor dokumentu i przewodniczący Rady.

Niestety, publikowane przez ten organ komunikaty są szlachetnym, ale odosobnionym głosem episkopatu, nieznajdującym szerszego oddźwięku i zrozumienia wśród duszpasterzy i wiernych. Ich rozpowszechnianie uzależniono od „decyzji duszpasterskiej księży", co oznacza, że najczęściej pozostają nieznane. Jak dotąd, polski episkopat nie zdobył się na publiczną i jednogłośną wypowiedź – np. w formie listu pasterskiego, odczytywanego w kościołach podczas niedzielnych mszy – na temat imigrantów i uchodźców, choć niedługo minie 10 lat, odkąd Polacy spotkali się z tą problematyką bezpośrednio i na poważną skalę.

– Listu pasterskiego episkopatu Polski rzeczywiście nie było – mówi bp Zadarko. – Ale myślę, że ludziom nie potrzeba listu biskupów, by zachowali się jak należy, co pokazała choćby reakcja społeczeństwa po wybuchu wojny w Ukrainie. Choć oczywiście chciałbym, żeby taki dokument powstał.

©℗ EDWARD AUGUSTYN

AGNIESZKA SADOWSKA / AGENCJA WYBORCZA.PL

Wolontariusze Klubu Inteligencji Katolickiej. Puszcza Białowieska, styczeń 2022 r.

Amerykańscy naukowcy, barwnik nachosów i przezroczyste szczury

ADOBE STOCK

BIOFIZYKA ▪ To jedno z tych doniesień, które na pierwszy rzut oka wydają się żartem albo fanaberią szalonego naukowca – bohatera kiepskiego filmu. Zihao Ou z Uniwersytetu Stanforda i współpracownicy odkryli, w jaki sposób uczynić skórę szczura przezroczystą. Kluczowym składnikiem ich receptury jest tarazyna – pomarańczowy jadalny barwnik (na produktach żywnościowych oznaczany etykietą E102), który m.in. nadaje smakowity kolor nachosom. Opracowana przez badaczy ze Stanforda i opisana w „Science" procedura jest odwracalna. I choć z pozoru wygląda na magię, jest w istocie wykorzystaniem zaawansowanej wiedzy z fizyki.

O tym, czy dany materiał jest przezroczysty, decydują dwie składowe: współczynnik rozpraszania światła i współczynnik pochłaniania światła (wpływają m.in. na to, jak ciemny jest materiał i jaki ma kolor). Zihao Ou i współpracownicy wyszli od spostrzeżenia, że w materiałach biologicznych współczynnik rozpraszania światła jest znacznie silniejszy (od dziesięciu do tysiąca razy) od współczynnika pochłaniania światła. Do rozpraszania światła dochodzi, ponieważ związki chemiczne budujące tkanki (woda, tłuszcze, białka itd.) w różny sposób załamują padające na nie światło. Jeśli zastąpimy wodę innym związkiem albo pozbędziemy się tłuszczu, będziemy w stanie wyrównać poziom załamywania światła – dzięki czemu materiał będzie je w mniejszym stopniu rozpraszał. Ale takie metody są zbyt inwazyjne lub toksyczne, by stosować je na żywych organizmach. Dlatego autorzy omawianego badania postanowili szukać innych sposobów.

Teoretyczne analizy doprowadziły ich do mało intuicyjnego wniosku, że rozwiązaniem problemu rozpraszania światła przez tkanki może być zastosowanie substancji, która bardzo silnie światło pochłania – a taką jest właśnie rozpuszczona w wodzie tarazyna.

Efekt? Przezroczysta skóra na brzuchu żywego szczura, przez którą w świetle czerwonym można obserwować narządy, w tym ruchy jelit i ich synchronizację z aktywnością neuronów. Przezroczysta skóra na głowie szczura, pod którą widoczne są naczynia krwionośne. Dla zobrazowania potencjału tej metody roztworem tarazyny skropiono pierś z kurczaka umieszczoną na kartce z wydrukowanym słowem „Stanford". Po chwili napis stał się widoczny.

Autorzy badań przyznają, że w przypadku ludzi dokładnie ta sama procedura nie da równie spektakularnego efektu, bo nasza skóra jest znacznie grubsza. Ale odkrycie i tak jest przełomowe – otwiera drogę do nowych, nieinwazyjnych i tanich metod medycznego obrazowania. Lekarzom w przyszłości łatwiej będzie stwierdzić, co nam dolega. ©℗ ŁUKASZ KWIATEK

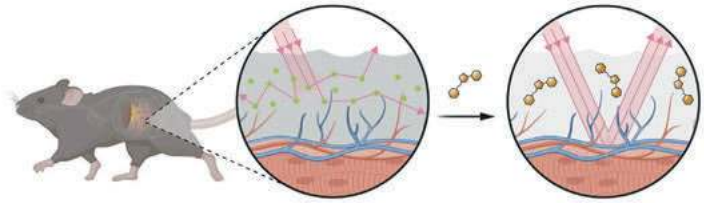

Dodanie roztworu tarazyny, silnie pochłaniającej światło, sprawia, że tkanka przestaje je rozpraszać. Dzięki temu skóra zwierzęcia staje się przezroczysta.

STANFORD UNIVERSITY / MATERIAŁY PRASOWE

Nagroda za leki na otyłość

MEDYCYNA ▪ Przełom lata i jesieni to czas, w którym badacze zbierają plony swojej wieloletniej pracy – przyznawane są m.in. Nagrody Nobla, Medal Copleya oraz Ig Noble. W ubiegłym tygodniu odbyła się także ceremonia wręczenia medycznych nagród Fundacji Laskera. Wyróżniono trójkę naukowców: Joela Habenera, Svetlanę Mojsov i Lotte Knudsen, odpowiedzialnych za stworzenie grupy leków zwanych analogami GLP-1, do której należy m.in. słynny ozempic.

Poziom glukozy we krwi regulują skomplikowane mechanizmy i szlaki sygnałowe, ogniskujące się wokół dwóch głównych hormonów – insuliny, która obniża stężenie glukozy, i glukagonu działającego odwrotnie. W latach 60. XX w. zaobserwowano, że doustne podanie glukozy powoduje większe wydzielanie insuliny, niż podanie glukozy dożylnie – tę zależność nazwano efektem inkretynowym. Hormony inkretynowe długo pozostawały nieuchwytne. Jeden z nich – GLP-1 – odkrył Amerykanin Habener dopiero w latach 80., ale jego rzeczywistą funkcję opisała nieco później Mojsov. W swoich badaniach urodzona w Macedonii chemiczka najpierw określiła wzór aktywnej formy białka GLP-1, później udowodniła, że hormon występuje w naturze, głównie w jelitach, i że w niewielkim stężeniu jest w stanie stymulować wyizolowane szczurze trzustki do produkcji insuliny. Możliwość wykorzystania substancji jako leku na cukrzycę narzucała się sama.

Aby hormon GLP-1 był stabilny i działał w organizmie ludzkim dłużej, należało go odpowiednio zmodyfikować, tworząc jego analogi. Pierwszym lekiem tego typu był liraglutyd stworzony przez duńską chemiczkę Lotte Knudsen. Również ona odkryła, że lek pomaga w walce z otyłością, zmniejszając łaknienie i hamując opróżnianie żołądka. Dziś analogi GLP-1 są coraz powszechniej stosowane jako leki na otyłość, dając nadzieję na pokonanie jednej z plag XXI w.

Aż 95 laureatów Nagrody Laskera otrzymało również Nagrodę Nobla. Ubiegłoroczni nobliści Katalin Karikó i Drew Weissman za szczepionki mRNA otrzymali Nagrodę Laskera dwa lata wcześniej. Czy ta reguła potwierdzi się w tym roku? Ogłoszenie laureatów Nobla już za niecałe dwa tygodnie. © BARTOSZ KABAŁA

CO ODSŁONIŁA WODA

Takie wydarzenia pokazują, że państwo to nie tylko premier i wojsko. O jego sile decydują wspólny wysiłek rządu, samorządów i solidarność ludzi.

MAREK RABIJ Z DOLNEGO ŚLĄSKA

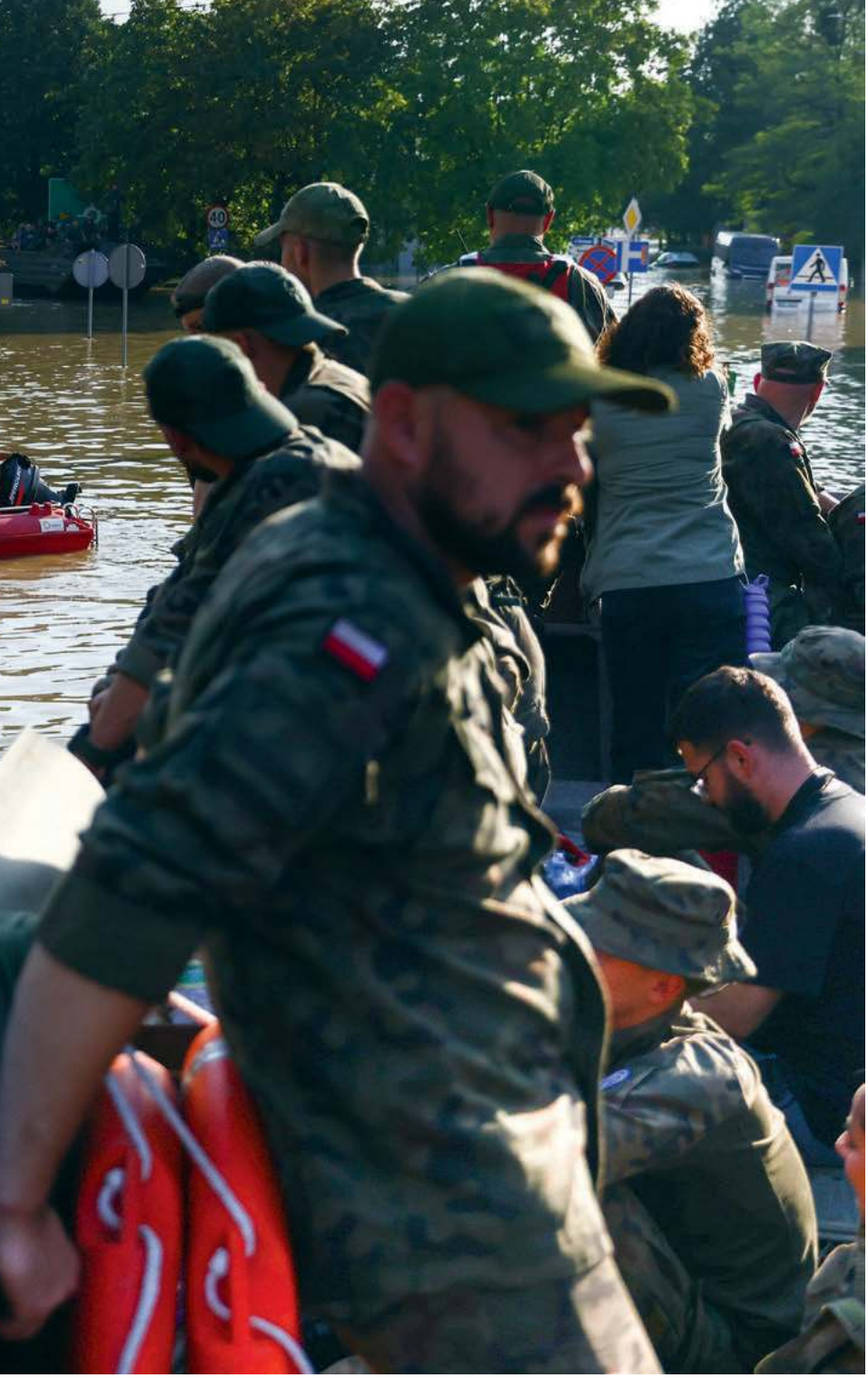

BEATA ZAWRZEL / REPORTER

Ewakuacja mieszkańców w Lewinie Brzeskim. 17 września 2024 r.

Proszę do środka. Mama będzie prasować, tylko to ją jeszcze uspokaja – wyjaśnia i, nieproszony, wskazuje na elewacji, na jaką wysokość woda wdarła mu się do domu dwadzieścia siedem lat temu. – Nad to okno sięgała jak nic. W 2010 r. wody było mniej, za pas, ale my jesteśmy na lekkim wniesieniu. Trzysta metrów stąd, w stronę rzeki, sąsiedzi mieli już pod sufit.

Do sieni wchodzimy przez szeroką, ale niską, sięgającą ledwie kolan barykadę worków z piaskiem, które bronią wejściowych drzwi. Mieszkańcy terenów zalanych w 1997 i 2010 r. z doświadczenia wiedzą, że przez taką osłonę woda przesiąka wolniej. Wał wysoki na metr, jeśli nie ma solidnej podstawy, nie zatrzyma żywiołu nawet jeśli woda nie przeleje się górą. Przekładanie co cenniejszych rzeczy na górne półki też – jak twierdzą – nie ma sensu. Człowiek siedzi potem godzinami w takim domu postawionym do góry nogami, a koniec końców przychodzi woda i tak wyższa od tej z najgorszych wyobrażeń. W Jelczu-Laskowicach w kontekście powodzi mieszkańcom przechodzą do głowy tylko złe scenariusze.

Siadamy przy stole w kuchni rodzinnego domu dr. Michała Piekarskiego, który na Wydziale Nauk Politycznych Uniwersytetu Wrocławskiego zajmuje się badaniem kultury strategicznej państwa polskiego, czyli m.in. zdolnością jego instytucji do zapobiegania i zwalczania różnych zagrożeń. Zza okna dobiega warkot śmigłowca. Piekarski znów nerwowo zerka na zewnątrz. Wygląda na zmęczonego i zestresowanego.

– Wał na razie trzyma, ale czy przetrwa najbliższe dwie doby, aż Jelcz-Laskowice minie fala kulminacyjna? – rzuca. – Przepraszam, o co pan pytał?

– Chciałbym się dowiedzieć, jaki obraz funkcjonowania państwa polskiego widzi pan w tych dniach z okien swojego domu i jak to się ma do teorii, którą się pan zajmuje?

– Chodźmy na wały – proponuje Piekarski. – Porozmawiamy po drodze.

Państwo lepiej widoczne

Droga początkowo wije się wśród domów, ale za kościołem odbija w lewo i dalej biegnie głównie przez pola. Na skrzyżowaniu przy kapliczce mija nas mężczyzna na quadzie. Zatrzymuje się, wita z moim gospodarzem, zamieniają kilka słów o sytuacji nad rzeką. Quad odjeżdża. Za chwilę minie nas ponownie w przeciwnym kierunku, ciągnąc przyczepkę wypełnioną workami z piachem.

– Pytał pan o państwo. Ono jest gdzieś tam. I tam – ciągnie Piekarski, wskazując ręką na wał i niebo, po którym przelatuje właśnie kolejny wojskowy śmigłowiec. – Podczas tej powodzi państwo jest na pewno bardziej zauważalne niż w 1997 r. Dozoruje na wałach, wskazuje miejsca do naprawy, często kieruje do tych zadań wojsko i ciężki sprzęt. Instytucje publikują wiarygodne dane pogodowe i pomiary wysokości wody. 27 lat temu weszło do gry znacznie później niż teraz, bardziej chaotycznie. Ale czy widzi pan tu teraz przedstawiciela państwa? Ja od kilku dni nie widziałem nawet naszego dzielnicowego. Rozumiem, że to nie Wrocław. Ale tutaj też jest co i kogo bronić. ↦

Znajdujemy się może kilometr od wału, który w każdej chwili może nie wytrzymać naporu fali powodziowej. Za naszymi plecami, w niespełna 16-tysięcznym Jelczu-Laskowicach działa fabryka mająca w ciągu kilku lat wyposażyć polską armię w setki ciężarówek, na których zostaną posadowione m.in. baterie systemu obrony powietrznej Narew oraz nowoczesna artyleria rakietowa rodziny Homar. Kilka kilometrów dalej we wsi Łęg fabrykę silników ulokowała Toyota.

– O, właśnie napisali, że potrzeba ludzi do wzmocnienia wału na nowym odcinku – wyjaśnia Piekarski, spojrzawszy w telefon. – Samorząd wezwał mieszkańców, ludzie się skrzykną, zbiorą materiał i uszczelnią wyrwę. Działamy z grubsza właśnie w takim modelu. Państwo dość sprawnie identyfikuje zagrożenia. Bierze na siebie najgroźniejsze zadania, a resztę ceduje na samorządy i obywateli.

– Chyba nie da się inaczej przy katastrofie tej skali? – pytam.

– Być może. Tylko czy działamy tak, bo sobie to w ten sposób zaplanowaliśmy, czy dlatego, że inaczej się nie da?

Przeklejone zagrożenia

16 września rząd błyskawicznie przyjął projekt ustawy o ochronie ludności i obronie cywilnej, która ma zapełnić lukę w przepisach spowodowaną wejściem w życie – jeszcze za poprzedniej władzy – ustawy o obronie ojczyzny. PiS skasował po 2022 r. starą ustawę o obronie cywilnej, a w jej miejsce miała wskoczyć megaustawa o ochronie ludności, w której rząd Morawieckiego zamierzał połączyć zarówno kwestie obrony cywilnej, zarządzania kryzysowego, jak i skutków likwidacji zdarzeń kryzysowych. W projekcie pojawiło się jednak dużo rozwiązań kontrowersyjnych, m.in. nowe stany nadzwyczajne, które pozwalały władzy centralnej tymczasowo przejmować kontrolę nad samorządami. Ostatecznie projekt nie trafił do Sejmu przed końcem poprzedniej kadencji.

Dokument przyjęty 16 września koncentruje się na siedmiu kluczowych zadaniach: od nałożenia na organy państwa obowiązku bieżącego monitorowania różnych zagrożeń, przez opracowanie planów ewakuacji ludności i stworzenia sieci schronów, szkolenia dla instytucji i obywateli, aż po finansowanie tych wszystkich zadań, które co roku ma pochłaniać co najmniej 0,3 proc. PKB. Ustawa ma za jednym zamachem porządkować dwie rzeczywistości: państwa pokoju i państwa czasu wojny. Te same struktury, rozwiązania i przepisy, które na co dzień będą służyć ochronie ludności, w trakcie ewentualnego konfliktu zbrojnego miałyby się przekształcać w obronę cywilną.

Z puntu widzenia przeciętnego obywatela najważniejszą zmianą jest narzucenie samorządom przygotowania szczegółowych planów ewakuacji i przyjęcia ludności. Dokumenty będą musiały nie tylko zaplanować obie operacje, ale od razu wyznaczyć do tego odpowiednie środki i narzędzia. To spora zmiana, bo dotychczasowe przepisy mówiły jedynie, że ewakuację należy zorganizować, ale nie zobowiązywały już do zaplanowania realizacji tego zadania.

– U nas ewakuację ogłosili w poniedziałek – mówi Michał Piekarski. – Gmina podstawiła autobusy, bo akurat mamy komunikację miejską. Ale w sąsiednich wsiach zarządzenie dobrowolnej ewakuacji sprowadziło się do jej ogłoszenia. Gmina nie miała czym jej zrealizować, a czasu na znalezienie samochodów zabrakło. Gdyby sytuacja była na tyle poważna, że ludzie chcieliby naprawdę wyjechać, skończyłoby się sąsiedzkimi podwózkami i apelami do firm o wypożyczenie aut.

Na szczęście, jak mówi ze śmiechem Piekarski, polski porządek prawny nakazuje samorządom przygotowanie się do zagrożenia, jakim jest powódź. Ustawa o zarządzaniu kryzysowym przewiduje stworzenie krajowego planu zarządzania kryzysowego, który jest dokumentem częściowo tajnym. W oparciu o te założenia państwo planuje scenariusze reakcji na rozmaite zagrożenia, wskazuje dla każdego z nich instytucję wiodącą, na tyle, na ile to możliwe na papierze, wyznacza też granice kompetencji między rozmaitymi służbami i instytucjami. Własne plany zarządzania kryzysowego, skorelowane z centralnym, muszą mieć województwa i samorządy. Wszystko to pozwala nie najgorzej przygotować się na najczęściej spotykane zagrożenia, o ile oczywiście władze lokalne podejdą do sprawy z rozsądkiem.

– Bo niestety wciąż się zdarza, że w gminie ktoś do planu lokalnego po prostu przekleja fragmenty planu krajowego – mówi Michał Piekarski. – Przy katastrofie dużej skali chaos jest wówczas nieunikniony.

Zdaniem kolejki

14 września w Głuchołazach mogło być gorzej. Na ścianie kościoła przy tutejszym rynku na wysokości około dwóch metrów zaznaczono poziom wody podczas powodzi z lipca 1903 r. W niedzielę 15 września woda w rynku sięgała metra. Pozostało po niej błoto, ale brunatną powierzchnię poprzecinały już dziesiątki linii wyznaczonych przez opony rowerów i tysiące odcisków stóp. Miasto szybko wraca do życia.

Pod starą lipą na środku rynku z polowej kuchni wydaje mieszkańcom grochówkę jedna ze śląskich organizacji pozarządowych. Kolejka liczy kilkadziesiąt osób, w większości bez dachu nad głową. Fala, która przeszła przez Głuchołazy, pozbawiła domu ok. siedemset rodzin.

POŻEGNANIE

22 września zmarł w Warszawie

Marek Trojanowski

grafik, współautor makiety
„Tygodnika Powszechnego”

Rodzinie i bliskim składamy wyrazy współczucia

PRZYJACIELE Z „TYGODNIKA POWSZECHNEGO”

Rozmowa z czekającymi na pierwszy tego dnia ciepły posiłek mieszkańcami szybko skręca więc w stronę pretensji.

Część brzmi niepokojąco, choćby opowieści o starszych mieszkańcach pobliskiego Bodzanowa, którzy w ogóle nie dowiedzieli się o ewakuacji, bo władze gminy miały ogłosić ją tylko w mediach społecznościowych. Większość oddaje jednak raczej stan ducha ludzi, którzy chcieliby jak najszybciej wrócić do normalności.

„W urzędzie pytali, na jaką wysokość woda wlała mi się do domu. A co, miałam mieć ze sobą centymetr?". „W punkcie z darami dla powodzian dają tylko zwykły ryż i makaron, ja mam dziecko chore na bezgluten, a woda zabrała samochód". „U mojej siostry już włączyli wodę, a u mnie, trzy ulice dalej, będzie za pięć dni".

Kolejka nie ma wątpliwości, że państwo sobie nie radzi. Nad głowami latają wprawdzie helikoptery, wojsko stawia przeprawę pontonową, która zastąpi zerwane mosty, a w pobliskiej Nysie ruszył szpital polowy. Urzędy przyjmują w uproszczonym trybie wnioski o zasiłki powodziowe. Ale zdaniem kolejki to za mało.

W trzeciej dobie po przejściu fali powodziowej państwo nadal ogranicza się do doprowadzenia Głuchołazów do stanu, w którym mieszkańcy będą mogli przejąć miasto. A że ludzie nie mają dostatecznie dużo żywności i niemal żadnych leków? Czy to nie dziwne, że po powodzi rząd zaczyna od sprzątania gruzów, ale nie wpadnie mu do głowy, że na miejscu przydałaby się wojskowa kuchnia polowa?

Pamięć o roku 1997 trochę łagodzi gorycz. Wtedy, jak mówią mieszkańcy, przez trzy dni w zasadzie byli bez żadnej pomocy. Pierwsi pojawili się zresztą wolontariusze. Być może państwo – zastanawiają się kolejkowicze – przywykło więc do tego, że powódź uruchamia lawinę ludzkiej solidarności, i uważa, że może ludziom zostawić wszystko, co nie wymaga użycia ciężkiego sprzętu?

Wojna z przeszłości

Kilkaset metrów od rynku, przy korycie Białej Głuchołaskiej, pracują dźwigi i spychacze. Tu warstwa błota naniesionego przez powódź jest grubsza i wciąż trzyma wilgoć.

DR MICHAŁ PIEKARSKI:

Raport po tej powodzi powinien wskazywać popełnione błędy, ale po to, żeby uniknąć ich w przyszłości. Nie po to, by szukać winnych.

W jednym z zagłębień resztkami sił szamoce się rybka, która przegapiła powrót rzeki do koryta. – Odniósłbym cię, kochana, do wody, ale w tej chwili nie da się tam dojść przez gruzy. Wybacz, takie życie – niespodziewanie zwraca się do niej Jan Ćwiek.

Ćwiek, były głuchołaski radny, do swojego miasta dotarł dwie doby po przejściu fali. Powódź złapała go w podróży służbowej. Wracając nocą, nie wiedział, co zobaczy o świcie. – Mieszkam blisko rzeki, cieszyłem się, że dom przynajmniej przetrwał. Tej powodzi nie ma nawet sensu porównywać z dwiema poprzednimi. W 2010 r. w rynku prawie nie mieliśmy wody – zaznacza.

W sobotę 14 września burmistrz zaapelował o ewakuację. Posłuchała go garstka mieszkańców, co wzbudziło potem masę niezdrowych emocji w mediach. Rzecz w tym, że – jak zauważa Ćwiek – mieszkańcy kierowali się dokładnie tym, czego media oczekiwały również od władz zalanych miejscowości, czyli wnioskami wyciągniętymi z poprzednich powodzi.

– W 2010 r. też ogłoszono ewakuację, woda okazała się niska i większość ewakuowanych szybko wróciła do domów. W sobotę wielu zostało więc u siebie, wychodząc z założenia, że i tym razem będzie podobnie. No i wiemy już, że to był błąd. Tylko że skali tego kataklizmu nie dało się przewidzieć – zapewnia.

Głuchołazy miały Aleję Orderu Uśmiechu, na cześć pochodzącej stąd Ewy Chrobak, która jako dziecko stworzyła projekt graficzny tego odznaczenia. Brązowe tablice z nazwiskami kilkunastu laureatów wpasowano w chodnik, na wzór alei gwiazd w Los Angeles.

– Każda tablica to było ze dwadzieścia kilo czystego brązu, a pod tym był jeszcze kawał betonowego cokołu. Łącznie po kilkadziesiąt kilo. Woda wyrwała nawet to – opowiada szef głuchołaskiego domu kultury Tomasz Kanas. – Teraz znajdujemy je w różnych miejscach. Jedną zawlekło na skrzyżowanie, z półtora kilometra od miejsca, w którym była wmurowana.

Dlatego – wtóruje mu Jan Ćwiek – nie można zarzucać włodarzom miasta, że nie wyciągnęli wniosków z poprzednich powodzi. Przeciwnie, to właśnie tamte kataklizmy były dla władz punktem odniesienia w planowaniu przygotowań na ewentualną powtórkę.

– Po poprzednich dwóch powodziach zrozumieliśmy, że most na Białej jest zawieszony zbyt nisko nad jej korytem i duża woda może go zerwać. Na rzece zrobi się wtedy zator, który przekieruje ją w stronę rynku. Trwały właśnie prace nad jego podniesieniem, ale pogoda nie dała nam szans. W sobotę przyszła fala, jakiej nie spodziewał się tu nikt. Po powodzi z dziewięćdziesiątego siódmego podniesiono z kolei wał na odcinku, który wtedy zawiódł. Tylko że tym razem nurt szedł inaczej i podmył wał w innym miejscu. Tutaj, na Dolnym Śląsku, jesteśmy trochę jak ci generałowie ze znanego przysłowia. Możemy się przyszykować jedynie na wojnę z przeszłości – mówi były radny.

Pięć dekad wstecz

Wieczorem 12 lipca 1903 r. w centrum Breslau nie było słychać ptaków. Pod powierzchnią wody znikł nawet most Uniwersytecki. Kilka godzin wcześniej poziom Odry w mieście przekroczył siedem metrów i jej wody zlały się z wezbraniem pobliskiej rzeki Oławy. Do Breslau dotarła fala powodziowa spowodowana katastrofalnymi opadami w Sudetach, które trwały od 9 do 10 lipca. W drodze na północ woda uderzyła m.in. w Głuchołazy, a w pobliskim Jarnołtówku zabrała ze sobą kościół. We wsi Moszczanka jej łupem padły 32 domy. W Prudniku zalała zakłady włókiennicze. W Racławicach Śląskich zmiotła solidny kamienny most kolejowy.

Powódź z lipca 1903 r. wstrząsnęła Niemcami do tego stopnia, że tuż po przejściu fali Berlin ogłosił plan wielkiej regulacji górnego dorzecza Odry. To wtedy powstała m.in. spektakularna tama w Pilchowicach, zbiornik w Jarnółtówku i zapora w Stroniu Śląskim. Dwie pierwsze konstrukcje wytrzymały ↦

napór wody, która spadła kilkanaście dni temu, i obroniły m.in. Głuchołazy przed zagładą. Tama w Stroniu nie sprostała wyzwaniu.

Prof. Artur Magnuszewski, hydrolog z Uniwersytetu Warszawskiego: – Niemcy postawili wtedy na system suchych zbiorników retencyjnych, czyli obiektów, które nie spiętrzają wody na stałe i stanowią jedynie rezerwę na wypadek nagłych opadów. Wysokość każdej tamy i jej wytrzymałość inżynierowie szacowali w oparciu o dostępne im dane o opadach. Problem w tym, że pomiarów ich wielkości dokonywano wówczas może od 50 lat. W tym, że ponad sto lat później wielkiej ulewy nie przetrwał tylko jeden z nich, upatrywałbym raczej dowodu na solidność tych konstrukcji i zapobiegliwość ich konstruktorów.

Czas płynie jednak równie nieubłaganie co fala powodziowa. W zeszłorocznym raporcie IMGW o stanie technicznym 108 budowli na terenie kraju kondycję aż 23 oceniono jako niedostateczną, a 18 opisano po prostu jako niebezpieczne dla okolicy. Część z tych zapór od dawna spiętrza wodę znacznie poniżej stanu przewidzianego przez konstruktorów, bo nie wytrzymałyby większego naporu. Stan techniczny 53 proc. zapór oceniono na dostateczny, a tylko 26 proc. jako dobry. Wśród regionów z infrastrukturą w najgorszym stanie znalazło się Dolnośląskie. Aż osiem z 25 budowli podlegających pod Regionalny Zarząd Gospodarki Wodnej we Wrocławiu nie spełniało w 2023 r. minimów technicznych, a pięć było uznanych za groźne dla otoczenia.

Biuro Prasowe IMGW nie odpowiedziało niestety na pytanie, czy w tym gronie znalazła się także stuletnia zapora na Morawce w Stroniu Śląskim, która flankowała zbiornik retencyjny mogący pomieścić około miliona metrów sześciennych wody. W 1997 r. tama uchroniła jeszcze Stronie przed zalaniem. W niedzielę 15 września napór wody okazał się już dla niej zbyt wielki.

Polowanie na winnych

Piątek, 20 września. Na obszarze dotkniętym powodzią nadal nie działa 439 szkół, przedszkoli i żłobków, a cztery odcinki biegnących po nim dróg krajowych pozostają nieprzejezdne. Blisko 9 tys. osób ewakuowano z miejsc zamieszkania, a do 15 tys. domów i mieszkań wciąż nie przywrócono dostaw prądu. Policja potwierdziła siedem ofiar śmiertelnych.

JAN ĆWIEK:

Poprzednie powodzie były dla władz naszego miasta punktem odniesienia w przygotowaniach na ewentualną powtórkę.

W liczących niespełna 14 tys. mieszkańców Głuchołazach wiceburmistrz Roman Sambor szacuje, że straty miasta przekraczają 250 mln złotych. W pięciotysięcznym Stroniu Śląskim woda wystawiła samorządowi i mieszkańcom rachunek opiewający na minimum miliard. W gminie Kłodzko uszkodzenia samej infrastruktury komunalnej szacowane są na 110 milionów. W całym województwie straty mogą sięgnąć 3,9 mld zł.

Jak to wygląda na tle tamtej wielkiej wody? Powódź w 1997 r. odebrała życie 56 osobom. Dach nad głową straciło wówczas 7 tys. ludzi. Kataklizm – jak podaje Instytut Ochrony Środowiska – uszkodził 680 tys. mieszkań, 4 tys. mostów, 613 kilometrów wałów przeciwpowodziowych i pół miliona hektarów upraw. Łączne straty oszacowano na ok. 12 mld zł, co stanowiło wówczas 2,37 proc. PKB. Przy dzisiejszych cenach powódź o takiej skali kosztowałaby ok. 31 mld zł.

Pełny bilans wydarzeń z ostatnich dni poznamy nieszybko, ale już dziś niemal pewne jest to, że znacznie wcześniej ruszy karuzela oskarżeń i wzajemnego przerzucania się odpowiedzialnością. Pomiędzy politykami obozu rządzącego i opozycją – o to, kto i czego zaniechał i nie przewidział. Między instytucjami i urzędami szczebla centralnego i lokalnego, wreszcie między samorządami i rządem – o zakres kompetencji. Bilans powodzi, zgodnie z najgorszymi tradycjami polskiej debaty publicznej, może się zmienić w zbiorowy akt oskarżenia.

Polowanie na winnych już ruszyło. Wody Polskie odnotowały kilka przypadków napaści na swoich pracowników. W Kanale Zero Robert Mazurek przypomina z kolei egzotyczną koalicję Anny Zalewskiej z PiS oraz Moniki Wielichowskiej z PO, które w 2019 r. nagle połączyła walka o zatrzymanie budowy dziewięciu zbiorników retencyjnych w Kotlinie Kłodzkiej. Inwestycję zamrożono po wybudowaniu zaledwie czterech, bo w roku wyborczym odpowiadało to zarówno politycznym interesom PiS, który nie chciał kończyć inwestycji zapoczątkowanej przez poprzedników, jak i samej Platformie – która realizację własnego pomysłu w wykonaniu następców nazwała „pisowską gigantomanią".

System zbiorników retencyjnych w Kotlinie Kłodzkiej padł więc faktycznie ofiarą kampanii wyborczej, a odpowiedź na pytanie, czy winna tego była bardziej PO, czy PiS, nie jest dziś nikomu potrzebna. Mało ważne wydaje się teraz nawet wskazanie winnych tego, na co w rozmowie z „Gazetą Wyborczą" skarży się burmistrz Kłodzka, który o przerwaniu zapory w Stroniu Śląskim miał dowiedzieć się dopiero cztery godziny po tym zdarzeniu. Owszem, do opisanej sytuacji nie powinno dojść. W interesie publicznym bardziej leży jednak zrozumienie, jak do niej doszło, niż napiętnowanie winnych.

W Jelczu-Laskowicach przestały przychodzić apele o pomoc w uszczelnieniu wałów, wracamy więc z Michałem Piekarskim do jego domu. – Życzyłbym sobie – mówi nagle gospodarz – żeby podsumowaniem tej powodzi stał się rządowy raport utrzymany w stylu sprawozdań komisji badających wypadki lotnicze. Coś, co skoncentruje się na opisie działania instytucji i wskaże popełnione błędy, ale po to, żeby uniknąć ich w przyszłości.

Kultura perfekcji

Burmistrz Kłodzka Michał Piszko w rozmowie z „Gazetą Wyborczą" podkreśla, że o zerwaniu tamy w Stroniu Śląskim dowiedział się od dziennikarzy, choć taką wiadomość powinno mu przekazać regionalne centrum zarządzania kryzysowego. „Pytanie jest: czy ono taką informację miało. Z tego, co wiem dziś, też oficjalnie o tym nie wiedzieli. Informacja od operatora zbiornika – Wód Polskich – do nich nie przyszła" – mówił burmistrz.

– Tyle że opóźnienie mogło nie wynikać z braku poszanowania procedur, lecz z tego, że to właśnie procedury narzuciły taki obieg informacji – zauważa Piekarski. – Wyobrażam sobie scenariusz, w którym komunikat o zdarzeniu pracownicy na miejscu przekazują zwierzchnikom, ci

MAREK RABIJ

Jan Ćwiek w Głuchołazach po przejściu fali powodziowej. 18 września 2024 r.

zgodnie z procedurą podają ją dalej i być może dopiero w Warszawie ktoś w Wodach Polskich powiadamia np. służby wojewody dolnośląskiego, które kontaktują się z burmistrzem Kłodzka. Jeśli zbadamy ten przypadek wyłącznie pod kątem błędów i zaniechań, może się okazać, że nikt ich nie popełnił. W logice administracji sprawa będzie wtedy do zamknięcia, bo przecież nie ma winnych, choć ewidentnie doszło do sytuacji zagrażającej życiu obywateli – kwituje Piekarski.

Przekleństwem polskich instytucji od lat pozostaje swoiście pojmowany perfekcjonizm, który sprowadza się głównie do usilnego tuszowania własnych niedoskonałości. Urzędy i służby zgodnie z unijnymi wytycznymi systematycznie przeprowadzają więc różnorakie stress testy, dbając przy tym starannie, by, Boże broń, nie odsłoniły one żadnych niedoróbek. W ten sposób traci się okazję do relatywnie taniej i bezpiecznej nauki na własnych błędach.

Kultura perfekcji nie przewiduje jednak nagrody za poprawę, lecz kary za pomyłki. Komendant powiatowej straży pożarnej raczej nie zarządzi więc ćwiczeń, które ukazałyby realne przygotowanie jego podwładnych do walki z wielką wodą. Prędzej zorganizuje teatrzyk zakończony kolejnym sukcesem podwładnych, po którym można będzie zaraportować górze o pełnej gotowości. Ćwiczenia na serio mogłyby ujawnić braki kompetencyjne i sprzętowe, na które „góra" niekoniecznie zareaguje wsparciem i zrozumieniem.

Znaczna część strażaków i policjantów, którzy pełnili kierownicze stanowiska w 1997 r., jest już na emeryturze, a w większości powiatów dotkniętych dzisiejszą powodzią policją i strażą pożarną nie dowodzą już nawet ludzie pamiętający wielką wodę sprzed 14 lat. Bezcenne doświadczenia, jakie wynieśli z tamtego kataklizmu, w oczach zwierzchników nie były atutem, który przemawiałby za pozostawieniem ich na stanowisku.

Na stronie komendy policji w Oławie wisi komunikat o ćwiczeniach „Powódź", które 7 i 8 września br. odbyły się na terenie powiatu z udziałem struktur zarządzania kryzysowego oraz innych służb. Mieszkańcy, którzy chcieliby się dowiedzieć, czego tym razem nauczyli się ludzie odpowiedzialni za ich bezpieczeństwo, muszą obejść się smakiem. Komunikat kończy się zapewnieniem, że „wszyscy uczestnicy profesjonalnie zrealizowali wszystkie założenia".

Trzeci Wietnam

Trudno jednak dziwić się służbom, że wolą nie obnosić się publicznie ze swoimi słabostkami. Żołnierze Wojsk Obrony Terytorialnej do dziś pamiętają dziennikarzom Onetu notkę o ćwiczeniach „Powiat 2023", podczas których pruszkowscy terytorialsi ćwiczyli scenariusz ataku dywersyjnego. „Kompromitacja WOT" – grzmiał portal, opisując przebieg szkolenia, podczas którego żołnierze faktycznie kilka razy przegrali potyczkę z grupą cywilów udających dywersantów.

– Po klęsce w Wietnamie – mówi Piekarski – amerykańska armia całkowicie zmieniła swój model szkolenia. Stworzono ośrodki, których personel specjalizuje się w odgrywaniu nieprzyjaciela, studiuje taktykę wrogich armii, czasem nawet posługuje się ich wyposażeniem. Żołnierze jednostek, którzy trafiają tam na ćwiczenia, niemal zawsze przegrywają pierwsze starcia, ale nikt nie robi z tego sensacji i nie degraduje dowodzących nimi oficerów, bo przecież chodzi właśnie o bezpieczną naukę w warunkach możliwie najbliższych realiom pola walki.

– Chce pan powiedzieć, że ta powódź może stać się dla polskiego państwa takim „Wietnamem"? – pytam na pożegnanie. – Chciałbym w to wierzyć – odpowiada Piekarski, znów nerwowo spoglądając w górę, w stronę kolejnego śmigłowca. – Tylko że to już trzeci taki „Wietnam" w moim życiu.

©℗ MAREK RABIJ

Zanim znów nas zaleje

JAN MENCWEL

„To nie jest powódź stulecia, to jest stulecie powodzi" – napisali młodzi ludzie tworzący ruch klimatyczny Wschód. To jest to jedno zdanie, które powinniśmy zapamiętać z września 2024 r.

Jasne, trudno mówić o przyszłości, zwłaszcza tej dalszej, gdy katastrofa trwa, a mieszkańcy wielu miejscowości w zlewni Odry wciąż układają worki z piaskiem, nerwowo sprawdzając, czy wały i tamy wytrzymają. I kiedy inne miejsca zdewastowane przez falę – zwłaszcza te w Kotlinie Kłodzkiej, Stronie Śląskie czy Lądek-Zdrój – pod słowo „przyszłość" podkładają długie tygodnie odgruzowywania, osuszania i odbudowy. Oraz walkę z czasem, by zdążyć przed jesienną słotą i przymrozkami.

Nieodrobione lekcje

Porozmawiajmy jednak o dalszej przyszłości, by może ten jeden jedyny raz wyciągnąć wnioski z tego, co się wydarzyło. I przed kolejną szkodą być nie tylko mądrzejszym, ale też sprawczym i skutecznym. Czy jestem naiwny, że w ogóle o tym myślę? Być może. W końcu wystarczy sobie przypomnieć, ile nauczyła nas pandemia, jeśli chodzi o system ochrony zdrowia. Otóż nie nauczyła nas niczego, a politycy wybrani, by nas reprezentować, właśnie poważnie rozważają demontaż publicznego systemu ochrony zdrowia przez obniżanie składki zdrowotnej.

Są wszelkie powody, by sądzić, że z obecną powodzią będzie podobnie. Że będziemy powtarzać slogany o „przełomowym wydarzeniu", po którym „nic już nie będzie takie samo", a tymczasem rzeczywistość, przede wszystkim polityczna, znów rozjedzie te oczekiwania walcem. I wyrówna.

Cóż nam więc zostaje, jeśli nie głośno mówić o tym, o czym trzeba powiedzieć?

To było do przewidzenia

Wróćmy zatem do pierwszego zdania. Ta powódź to nie jest zdarzenie losowe, które można rozpatrywać w oderwaniu od wywołanych przez człowieka zmian klimatycznych. Więcej: wydarzyło się dokładnie to, co przewidywali naukowcy (np. w raporcie IPCC ONZ) jako skutek kryzysu klimatycznego w naszym regionie świata. A przewidywali właśnie częstsze występowanie ekstremalnych zjawisk – susz i powodzi – oraz płynne przechodzenie z jednego w drugie [więcej o tym w rozmowie z prof. Zbigniewem Karaczunem w na s. 34 – red.].

Dokładnie to spotkało nas we wrześniu 2024 r.: najpierw oglądaliśmy rekordy niskich stanów rzek, a potem, gdy opady wreszcie przyszły, miały tak gwałtowny charakter, że wywołały powódź. I było to zjawisko absolutnie logiczne – tak działa ocieplanie się klimatu, że rozregulowuje naturalny obieg wody w przyrodzie. Rosnąca temperatura lądów i mórz zwiększa parowanie, oddając do atmosfery więcej wilgoci. Efektem jest susza, która w naszym przypadku zdarzała się wiele razy w historii, ale teraz jest już niemal regułą coroczną. Gdy wreszcie przychodzą opady, to przez zakumulowanie większej ilości wody – tej samej, która odparowała w efekcie wysokiej temperatury – są bardziej gwałtowne.

W przypadku niżu Boris, który uderzył m.in. w Dolny Śląsk i Opolszczyznę, naukowcy oszacowali, że wpływ rekordowego nagrzania się Morza Śródziemnego wynosił aż 20 proc. O tyle więcej wilgoci zakumulował w sobie niż genueński, który nasunął się nad Polskę.

Tego typu kataklizmy będą zdarzać się częściej i mogą być coraz bardziej gwałtowne, jeśli klimat dalej będzie się ocieplał. A będzie, bo nawet gdybyśmy nasze emisje gazów cieplarnianych zredukowali do zera (nie jesteśmy nawet na ścieżce, by to zrobić), to procesów klimatycznych nie da się wyhamować w sekundę.

Lanie wody

To właśnie dlatego musimy myśleć o przyszłości już teraz. I musimy zrozumieć, że nasze działania w sprawie ograniczenia wpływu człowieka na klimat są na razie żałosne. Mówiąc „nasze" mam przede wszystkim na myśli polityków, którzy ciągle traktują ten temat jako coś, co można odłożyć na bliżej nieokreśloną przyszłość.

Do tej pory mówiliśmy im, że skazują w ten sposób nasze dzieci i wnuki na nieciekawą przyszłość. Dziś już wiemy, że tu nie chodzi o przyszłość, ale o tu i teraz. Zapobieganie zmianom klimatycznym to zapobieganie temu, by w kolejnym niżu genueńskim wilgoci nie było o 20 proc. więcej.

W niektórych miejscach Kotliny Kłodzkiej w trzy doby spadło prawie tyle deszczu, ile spada zwykle w rok. A co, jeśli kolejny opad będzie jeszcze większy, bo Morze Śródziemne będzie jeszcze bardziej nagrzane? Jeśli nic nie zrobimy, by zatrzymać zmiany klimatu, to tak, jakbyśmy sami tej wody dolewali. I sami ją rozlewali na miasteczka Dolnego Śląska i Opolszczyzny. Na Głuchołazy, na Kłodzko, ale nie tylko.

MICHAŁ RYNIAK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Uszkodzona tama w Stroniu Śląskim. 17 września 2024 r.

Następnym razem to może być jakiekolwiek inne miejsce w Polsce, zwłaszcza położone u podnóża gór. Bierzemy na siebie tę odpowiedzialność?

Niszczyciele klimatu

Nie chodzi jednak o to, żeby obwiniać teraz samych siebie i szukać w swoim życiu sposobu na to, by obniżyć emisje. Tak, to też jest potrzebne – ale nasze oczy powinny zwrócić się przede wszystkim w kierunku największych trucicieli.

Jak podał w 2023 r. raport Oxfam, 1 proc. najbogatszych ludzi na świecie – 77 milionów osób – odpowiada za 16 proc. globalnych emisji CO_2. Liczyliśmy to do tej pory w formie nieco abstrakcyjnego „śladu węglowego", ale może pora zacząć to liczyć w kropelkach wody, która spada w napędzonej przez ocieplający się klimat powodzi na Kłodzko czy Lądek-Zdrój.

Sprawa jest dla mnie jasna: w imię elementarnej sprawiedliwości musimy wreszcie w należyty sposób opodatkować największych niszczycieli klimatu. Zarówno indywidualnych, jak i grupowych. Elon Musk czy Jeff Bezos muszą zacząć płacić za to, w jak nieproporcjonalnie wielki sposób dokładają się do katastrof naturalnych swoimi emisjami. Ta sama zasada powinna dotyczyć firm – przede wszystkim gigantów paliwowych, ale także innych, którzy pozostają w cieniu, jak producenci betonu, cichego zabójcy i olbrzymiego niszczyciela.

Wszyscy oni powinni się zrzucać na klimatyczny superfundusz, którego celem będzie, po pierwsze, transformacja energetyczna i przechodzenie na zielone źródła energii. Po drugie – odbudowa miejsc zniszczonych przez kataklizmy. I po trzecie – lepsze przystosowanie się do skutków zmian klimatu, tak aby kolejne katastrofy nie były tak niszczycielskie. Lub przynajmniej byśmy mieli powód, by powiedzieć, że zrobiliśmy wszystko, co było można.

Piąty żywioł

Skoro mowa o adaptacji, to dochodzimy do drugiego ważnego wniosku na przyszłość. Otóż nasze polskie podejście do wody – jako do zasobu, ale przede wszystkim do żywiołu – powinno ulec przeobrażeniu.

By spojrzeć w tej sprawie w przyszłość, musimy najpierw zrobić krok wstecz. Aż o 200 lat, czyli do momentu, w którym nasz krajobraz naturalny wyglądał zupełnie inaczej niż dziś. „W Polsce odkryłem piąty żywioł – błoto" – miał powiedzieć Napoleon, gdy w początkach XIX w. toczył na terenie naszego kraju wojnę z Rosją. Gdzieś pod Pułtuskiem, po wygranej bitwie jego wojska nie zdołały dogonić carskiej armii, bo ugrzęzły na podmokłych terenach.

Taka była specyfika polskiego krajobrazu: byliśmy krajem pełnym mokradeł, rozlewisk, nieuregulowanych rzek, wiosennych podtopień. I błota, którego tak bardzo nienawidziły nasze elity, bo stanowiło dla nich symbol polskiego zacofania. Dlatego gdy tylko odzyskaliśmy niepodległość, zaczęliśmy osuszać nasz krajobraz na potęgę, aby wreszcie zapanować nad wodnym żywiołem, który nami rządził i pochłaniał.

Nie tak, jak pochłania dzisiaj miejscowości na Dolnym Śląsku – to było raczej permanentne wpełzanie wilgoci przez wszystkie szpary domostw. Nie da się ukryć, był to problem i wyzwanie cywilizacyjne. W efekcie przez ostatnie sto lat prostowaliśmy i betonowaliśmy rzeki, osuszaliśmy mokradła i rozlewiska, a gdy już je ujarzmiliśmy, podchodziliśmy z zabudową coraz bliżej do rzek. Równolegle kopaliśmy tysiące kilometrów rowów odwadniających, które dziś w Polsce są dwa razy dłuższe niż łączna długość naturalnych cieków wodnych.

W kraju rowów

„Jak się nie będziesz uczyć, to pójdziesz kopać rowy" – powtarzała mi moja matematyczka w podstawówce i to chyba jest specyficznie polskie powiedzenie. Problem w tym, że w efekcie wielkiego procesu ujarzmiania wody i osuszania krajobrazu sprowadziliśmy na siebie dwa nieszczęścia naraz. A raczej – wzmocniliśmy efekty kataklizmów, jakie na nas spadają i będą spadać w efekcie kryzysu klimatycznego.

Pokrycie kraju siecią rowów oraz wyprostowanych i wybetonowanych rzek sprawia, że woda nie jest przetrzymywana w krajobrazie, tylko spływa jak najszybciej. A to efekt, który wzmaga zarówno ryzyko suszy, jak i ryzyka powodziowe. Gdy deszcz nie pada, resztki wody przetrzymywane w glebie są odprowadzane kanałami i rowami do rzek, którymi spływają do morza. Z kolei gdy nagle przyjdzie nawałnica, pozbawione meandrów i możliwości rozlania się ↦

↦ rzeki tworzą coraz szybsze fale powodziowe o bardziej niszczycielskiej sile.

Tym, czego pozbawiliśmy nasz krajobraz, jest nic innego jak naturalna retencja – brakujący element naszej gospodarki wodnej. Tam, gdzie to możliwe, musimy oddać rzekom przestrzeń, którą im zabraliśmy.

Infrastruktura bywa zawodna

W wielu miejscach będzie to ekstremalnie trudne, bo np. historyczne miasta Kotliny Kłodzkiej nie zmienią nagle swojej lokalizacji. Ile jest jednak miejscowości wokół, które powstały w efekcie „ujarzmienia" krajobrazu wodnego nad wyprostowaną rzeką, na osuszonym mokradle lub rozlewisku? Jak wiele z nich można i trzeba przywrócić rzekom? Będą to decyzje trudne, ale bez ich podjęcia nasza odpowiedź na ryzyka klimatyczne będzie niepełna. I zapewne ograniczy się do dalszej wiary w moc infrastruktury.

O tym, jak się ta wiara kończy, jeśli nie jest wsparta naturalną retencją wody, boleśnie przekonali się mieszkańcy miejscowości poniżej tamy w Stroniu Śląskim. Infrastruktura bywa zawodna i ma swoje limity.

Czy możliwe jest, byśmy po stu latach walki o odebranie rzekom każdego skrawka ziemi przeprosili się z nimi, przywracając naturalne tereny zalewowe? Tereny, które będą nas chronić zarówno w trakcie suszy, przetrzymując wodę, jak i w trakcie powodzi, wypłaszczając falę?

Powtarzam: w wielu miejscach może to się wiązać z bardzo trudnymi decyzjami. Nawet takimi o nieodbudowywaniu niektórych domów czy całych osiedli. W innym przypadku jednak będziemy skazani na dalszą walkę z naturą. Odbieranie jej kolejnych skrawków lądu pod budowę nowych osiedli deweloperskich czy domów letniskowych szybko się na nas zemści. Kolejna powódź stulecia przyjdzie szybciej niż za sto lat. Tego akurat możemy być pewni. © JAN MENCWEL

Autor jest działaczem społecznym. Współzałożyciel stowarzyszenia Miasto Jest Nasze, warszawski radny, autor książek „Betonoza. Jak się niszczy polskie miasta" oraz „Hydrozagadka. Kto zabiera polską wodę i jak ją odzyskać".

JAKUB PORZYCKI / ANADOLU / GETTY IMAGES

Pomoc powodzianom w Lewinie Brzeskim. 19 września 2024 r.

Najlepsze oblicze

MICHAŁ BILEWICZ

Nie ma co narzekać na „Rzeczpospolitą zbiórkową" i mówić o „abdykacji państwa". Oddolna mobilizacja społeczna może być wykorzystana do sprawniejszego zarządzania sytuacją kryzysową.

Miasteczko na Mazowszu. Na forum mieszkańców pojawia się wiadomość, że w remizie straży pożarnej jest zbiórka żywności i artykułów higienicznych dla powodzian. W lokalnej Biedronce znacznie więcej ludzi niż zwykle. Widzę, jak w wózkach lądują dodatkowe zgrzewki wody, makaron. W remizie kolejne samochody dorzucają się do ogromnej sterty konserw, papieru. Strażacy pospiesznie układają rzędy butelek, które zawiozą na tereny dotknięte przez kataklizm. Festiwal pomagania.

W tym samym czasie w mediach społecznościowych mnożą się oddolne zbiórki. Tym razem nie są to jedynie duże organizacje charytatywne. Ludzie próbują swoje zasięgi w sieci przełożyć na rozwiązanie konkretnych problemów powodzian. Ponad tysiąc osób wpłaca na twitterową zbiórkę jezuity, o. Grzegorza Kramera, który przez parafię w Kłodzku przekazuje żywność poszkodowanym. Ekonomista Sławomir Kalinowski w kilka godzin zebrał 16 tys. zł na domy dziecka w Kłodzku. Młody sosnowiecki radny Damian Żurawski po czterech dniach może kupić karmę za ponad 60 tys. zł dla uratowanych z powodzi zwierząt. Wszystko to dzieje się na polskiej platformie X, gdzie obok hejtu i politycznych awantur nagle pojawił się altruizm.

Oddolna sieć wsparcia

Atmosfera, która zapanowała w Polsce w połowie września, przypominała nieco pierwsze dni pandemii czy marzec 2022 r., gdy Polacy gremialnie ruszyli do pomocy Ukraińcom. Nieprawdopodobna samoorganizacja społeczeństwa, które przecież w europejskich rankingach zaufania czy aktywności społecznej zawsze ląduje na ostatnich miejscach.

Zapewne wielu czytelników pamięta inicjatywę „Widzialna ręka", gdy w wielu miastach oddolnie zbudowano sieć wsparcia dla osób przebywających w epidemicznej izolacji. Po ataku Rosji na Ukrainę przy przejściach granicznych spontanicznie powstały niezwykle sprawnie działające struktury przyjmowania uchodźców – zapewniano im wodę, pożywienie, pierwszą pomoc. Wielu Polaków na co dzień nienależących do żadnych organizacji czy stowarzyszeń w pierwszych dniach po rosyj-

skiej inwazji włączyło się w rozmaite aktywności na dworcach kolejowych, do których przyjeżdżały pociągi z Kijowa czy Lwowa. Z prowadzonych wtedy w naszym zespole badań wynikało, że niemal dwie trzecie Polaków było zaangażowanych w pomoc finansową czy przekazało dary Ukraińcom, 14 procent zaangażowało się w rozmaite akcje wolontariatu, a co dwudziesty przyjął ukraińską rodzinę pod swój dach.

Przygotowanie na czas kryzysu

Społeczeństwa historycznie straumatyzowane, które doświadczyły w przeszłości zbrodni wojennych, okupacji, totalitaryzmu czy ludobójstw, wytwarzają pewien charakterystyczny sposób funkcjonowania. Państwo i jego struktury często są traktowane jako obce i podejrzane. Ludzie rzadko też angażują się w działania organizacji pozarządowych czy ruchów społecznych. Integracja społeczna następuje głównie na poziomie rodziny i najbliższego otoczenia.

Socjologowie często opisują to jako stan „próżni socjologicznej" albo wręcz „amoralny familizm". Jest to oczywiście pozostałość adaptacji społeczeństw do sytuacji wojennej czy okupacyjnej, gdy państwo przestawało istnieć, a nadmierne zaufanie mogło skończyć się represjami czy nawet śmiercią. W tym sensie Polacy przypominają choćby Greków, Ormian lub rdzenną ludność Ameryki. Łączą nas z nimi nie tylko wspomnienia traumatycznej przeszłości, ale też codzienne problemy wynikające z naszej historii.

Z drugiej strony społeczeństwa takie potrafią być nieźle przygotowane na czasy kryzysu. To wtedy właśnie następuje błyskawiczna integracja i ogromna oddolna aktywność – bardzo często wbrew państwu, a nie z jego wsparciem.

Posłuszeństwo wobec władz

W zachodnich naukach społecznych często pisze się o efekcie jednoczenia się wokół flagi (*rally 'round the flag*). W czasie kryzysu wzrasta poparcie dla władzy, obywatele posłusznie wypełniają zalecenia służb i państwowych instytucji. Ale nie w Polsce.

Gdy badaliśmy reakcję na epidemię covidu w Polsce i w Niemczech, zauważyliśmy, że wśród Niemców szczególnie przestraszonych rozprzestrzeniającym się wirusem wzrosło posłuszeństwo wobec władz państwowych.

Polacy w tej samej sytuacji zwrócili się raczej ku zwyczajom i tradycjom niż ku wskazaniom służb sanitarnych, naukowców i polityków. W przypadku epidemii było to niezwykle groźne. Z drugiej strony w czasie wojny w Ukrainie pozwoliło – nie czekając na decyzje rządzących – zorganizować ogromną skalę oddolnej pomocy. W 2022 r. Polacy zadziwili świat.

Między Tuskiem a Owsiakiem

Ten typowy rys oddolnej aktywności Polaków rzadko był wykorzystywany przez rządzących, którzy przecież mogliby zrozumieć kryjący się w tym potencjał i włączyć go do równolegle prowadzonych działań państwa. W czasie powodzi na Dolnym Śląsku chyba nastąpiła jakaś zmiana.

„Rzeczpospolita zbiórkowa", napisał szyderczo jeden z internautów na widok wspólnej konferencji prasowej premiera Donalda Tuska i Jerzego Owsiaka, podczas której ogłoszono specjalną zbiórkę Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy dla szpitali. Politycy opozycyjni zaczęli wspominać o „kapitulacji państwa" i „abdykacji rządzących". W rzeczywistości jednak konferencja pokazała, że oddolna mobilizacja społeczna może być wykorzystana przez państwo do sprawniejszego zarządzania sytuacją kryzysową.

Transporty WOŚP będą kierowane przez wojewodów do miejsc wymagających największego wsparcia w danym momencie. W społeczeństwie, w którym ludzie masowo angażują się w oddolną pomoc, zintegrowanie tego wysiłku z działaniami państwa może być na wagę złota. W historycznie straumatyzowanych społeczeństwach tak właśnie należy reagować na kolejne kryzysy. ©

Autor jest psychologiem społecznym i socjologiem, profesorem Uniwersytetu Warszawskiego, kierownikiem Centrum Badań nad Uprzedzeniami UW. Jego najnowsza książka, „Traumaland. Polacy w cieniu przeszłości", ukazała się nakładem wydawnictwa Mando.

TYGODNIK POWSZECHNY ▪ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Zuzanna Radzik, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo, Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Michał Okoński, Marek Rabij, Piotr Śmiłowicz, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Wojciech Brzeziński, Agata Kaźmierska, Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Tomasz Fiałkowski, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Monika Ochędowska, Anita Piotrowska
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierowniczka), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Grzegorz Bogdał, Ewelina Burda (kierowniczka), Michał Kuźmiński, Maciej Müller, Monika Ochędowska, Katarzyna Rutkowska
TP Typografia: Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Magdalena Pawłowicz, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Promocja marki: Monika Lech
Marketing i sprzedaż: Marek Bednarz, Anna Cieślak, Mateusz Gawron, Anna Pietrzykowska, Michał Sowiński
Rozwój cyfrowy: Sławomir Bieniek, Mateusz Gawron, Lech Krupa, Iwona Kuciel, Joanna Pelka, Patryk Stanik (kierownik)
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda, Eliza Kącka, Stanisław Mancewicz, Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Zuzanna Radzik, Tomasz Stawiszyński
Menedżer produktu WWW: Bartłomiej Swojak
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Marek Bieńczyk, Jan Błaszczak, Kalina Błażejowska, Wojciech Bonowicz, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, Anna Golus, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Bartosz Kabała, Eliza Kącka, Marek Kędzierski, Bartek Kieżun, Piotr Kłodkowski, Wojciech Konończuk, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Rafał Matyja, Paweł Musiałek, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Zbigniew Parafianowicz, Piotr Paziński, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, kard. Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek, Małgorzata Solecka, Andrzej Stasiuk, Krzysztof Strachota, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Michał Walkiewicz, Piotr Wójcik, Marta Zdzieborska, Marcin Żyła

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Edyta Płachta
Asystentka zarządu ds. prawnych: Sylwia Ligierska
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski

Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA
S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

▪ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

▪ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny" dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

MAŁGORZATA

Kordowicz:
Sekret starej mapy

Rzadka to gratka: mozaika przedstawiająca starożytny Bliski Wschód w połowie VI w. i zarazem najstarsza mapa Izraela! Owo cudeńko znajduje się na podłodze cerkwi w jordańskim mieście Madaba. Wprawdzie oczy przyciąga Jerozolima z budowlami jej Starego Miasta, ale na mapie uwidocznionych i podpisanych po grecku jest jeszcze 150 innych miejsc. Ale cóż to? Dwie góry pojawiają się na mozaice dwukrotnie: raz – na północny zachód od Jerycha; i drugi raz – jako flankujące miasto Szechem / Sychem / Nabulus, tutaj: Neapolis. Czyżby bilokacja?

Spróbujmy znaleźć wyjaśnienie w Piśmie. Otóż: trzy tygodnie temu w synagogach odczytywano fragment zaczynający się od słów, które w Biblii Tysiąclecia brzmią następująco: „Widzicie, ja kładę dziś przed wami błogosławieństwo i przekleństwo” (Pwt 11, 26). Ta alternatywa jest związana z przestrzeganiem Bożych przykazań. Mojżesz zawczasu informuje o ceremonii, która ma się odbyć już po wkroczeniu do Ziemi Obiecanej: „udzielisz wtedy błogosławieństwo na górze Geryzym, a przekleństwo na górze Ebal; Oto są one tam, za Jardenem, na zachodzie, na drodze ku zachodowi słońca, w ziemi Kananejczyka, osiadłego na stepie, naprzeciw Gilgal, w pobliżu dąbrowy More” (wersy 29-30; Cylkow).

W czytaniu z bieżącego tygodnia znajduje się więcej szczegółów planowanej ceremonii: wiadomo, które plemiona Izraela mają stać na której z dwóch gór i jakie słowa winny tam paść (zob. Pwt 27, 11-26). Ponadto Tora ma zostać spisana na pobielonych głazach ustawionych u podnóża góry Ebal, a obok winien zostać wzniesiony ołtarz i złożone odpowiednie ofiary. „Gdy tedy przeprawicie się za Jarden, wystawicie te kamienie, o których przykazuję wam dzisiaj, na górze Ebal, i owapnicie je wapnem. I wzniesiesz tam ofiarnicę Wiekuistemu, Bogu twojemu” (wersy 4-5).

Tylko gdzie jest to miejsce? Wspomniana w wersie 30 dąbrowa More brzmi znajomo – z Rdz 12, 6 wiemy, że znajduje się nieopodal miasta Szechem w Samarii. Na górze Gerizim stała niegdyś, funkcjonująca równolegle do Świątyni Jerozolimskiej, świątynia samarytańska. Aby umniejszyć jej rolę, pojawiła się konkurencyjna identyfikacja gór Gerizim i Ebal, jako usypanych na potrzeby ceremonii wzgórków nad Jordanem. Czyż to nie fascynujące, że polemika żydowsko-samarytańska wkroczyła do samej Tory – wspólnej świętej księgi tych dwóch ludów? ©

Małgorzata Kordowicz jest rabinką w warszawskiej Gminie Wyznaniowej Żydowskiej. Hebraistka, opublikowała m.in. polsko-hebrajski modlitewnik dla dzieci.

O. WACŁAW

Oszajca:
Jeden jest mistrz

Izraelici podczas wędrówki przez pustynię, tym razem z powodu braku żywności, wystąpili przeciw Mojżeszowi. Ten, chcąc zażegnać bunt, kazał zebrać lud przy Namiocie Spotkania. Wybrał siedemdziesięciu, którzy zgodnie z wolą Boga mieli mu pomagać, „dźwigać ciężar tego ludu”. Ustawił ich wokół Namiotu i wtedy Bóg sprawił, że zaczęli oni „prorokować”. Nawet ci, którzy jak Eldad i Medad, „nie przyszli do Namiotu”, co niektórych mocno oburzyło.

Jozue, syn Nuna, zażądał więc od Mojżesza: „Mojżeszu, mój panie, zabroń im tego!”. Na co Mojżesz odpowiedział: „Czy jesteś o mnie zazdrosny? Oby tak cały lud Pana prorokował! Oby Pan udzielił mu swojego ducha!”. Na czym to „uniesienie prorockie” polegało, nie wiemy. Widocznie nie musimy wiedzieć, wiemy natomiast, że Bogu obcy jest wszelki religijny egoizm, uczenie zwany klerykalizmem. Wiemy też, że ta pokusa zniewalania Boga, przywłaszczanie sobie jego prerogatyw, stawianie siebie w jego miejsce to grzech, mówi papież Franciszek.

Dwa tysiące lat temu Jan Apostoł przechwalając się, powiadamiał Jezusa, że komuś, kto „nie chodzi z nimi”, zabronili „wyrzucać demony”. Na co usłyszał: „Nie zabraniajcie mu! Nikt bowiem, kto czyni cuda w moje imię, nie będzie zaraz mógł źle mówić o Mnie. Kto nie jest przeciwko nam, jest z nami”. Ale dopiero po śmierci Jezusa, gdy załamią się ich narodowo-religijne oczekiwania względem Jezusa, Jan i pozostali uczniowie będą mogli za Piotrem powiedzieć: „Teraz naprawdę rozumiem, że Bóg jednakowo traktuje wszystkich ludzi. W każdym narodzie miły jest Mu ten, kto się Go boi i postępuje uczciwie”.

W Dżakarcie papież Franciszek i wielki imam Nasaruddin Umar podpisali „Wspólną Deklarację Istiqlal 2024. Wspieranie harmonii religijnej dla dobra ludzkości”, w której czytamy: „Szczególnie niepokojące jest to, że religia jest często instrumentalizowana”. A przecież „dialog międzyreligijny powinien być uznany za skuteczny instrument rozwiązywania lokalnych, regionalnych i międzynarodowych konfliktów, zwłaszcza tych, które są podżegane przez nadużywanie religii”. Czas wrócić do tradycji, ale tej ewangelijnej: „Nikogo na ziemi nie nazywajcie waszym ojcem. Jeden bowiem jest wasz Ojciec, który jest w niebie. Niech też was nie nazywają mistrzami, gdyż jeden jest wasz Mistrz, Chrystus”. ©

O. Wacław Oszajca jest jezuitą, teologiem i duszpasterzem. Autor wielu tomów poezji, był m.in. jurorem Nagrody Literackiej Nike.

KARD. GRZEGORZ

Ryś:
Lustro dla Kościoła

Głupota znajduje upodobanie tylko w sobie samej, mądrość nigdy nie przestaje pytać.

MECHTYLDA Z MAGDEBURGA

Ten, kto pragnie, by cierpienie ustało, powinien rozwijać w sobie mądrość.

ŚANTIDEWA

Jezus wędrował przez miasta i wsie, nauczając i głosząc Ewangelię o królestwie Bożym. A było z Nim Dwunastu oraz kilka kobiet, które zostały uwolnione od złych duchów i od chorób, Maria, zwana Magdaleną, którą opuściło siedem złych duchów; Joanna, żona Chuzy, rządcy Heroda; Zuzanna i wiele innych, które im usługiwały, udzielając ze swego mienia" (Łk 8, 1-3). Oto portret Jezusa-Ewangelizatora, równie głęboki, co syntetyczny, zawarty w kilku słowach.

Pierwsze z nich to „wędrował". Jezus nie czeka na słuchaczy, sam wychodzi ku nim, szuka ich, by im ogłosić Ewangelię. Jest w drodze – to znaczy Jego jest inicjatywa; nie potrafi być biernym; ale też rezygnuje z bezpiecznej stabilizacji.

Drugie słowo to „nauczając"; w tekście mamy greckie *kerysson*: „ogłaszał kerygmat". Kerygmat to nie jest nauczanie jakiekolwiek, to orędzie fundamentalne, zawsze pierwsze, bez niego nie ma ewangelizacji! Przywołajmy papieża Franciszka: „Gdy mówimy, że to orędzie jest »pierwsze«, nie oznacza to, że jest na początku, a potem się o nim zapomina, albo zastępuje się je innymi treściami, które je przewyższają. Jest pierwszym w sensie jakościowym, ponieważ jest głównym orędziem, tym, do którego trzeba stale powracać i słuchać na różne sposoby, i które trzeba stale głosić podczas katechezy w tej czy innej formie, na wszystkich jej etapach i chwilach" („Evangelii gaudium").

Kerygmat ogłasza jako dobrą nowinę nadejście Królestwa Boga. Nie zadowala się wyłącznie „głoszeniem" – kerygmat chce być wydarzeniem! On się dzieje. Gdzie? We wspólnocie. I to jest słowo trzecie: „byli" z Nim (Dwunastu oraz kilka kobiet). Wraz z nimi Jezusowa droga (*hodos*) staje się „drogą wspólną" (*syn-hodos*). Kerygmat potrzebuje mocnego Słowa i mocnego Znaku. Najmocniejszym znakiem jest wspólnota ludzi – nawróconych (jak Maria Magdalena) i dlatego usługujących sobie wzajemnie (grec. *diakoneo*, jedno z najważniejszych słów w Kościele) i wybierających ubóstwo. Wspólnota trwała, nie na jedną okoliczność. Te kobiety pójdą za Nim do Jerozolimy, dotrą na Golgotę i do pustego Grobu, i zaniosą Dwunastu nowinę o zmartwychwstaniu.

Mamy więc Słowo w drodze (kerygmat) i wspólnotę w drodze (synod) – dwa związane ze sobą nierozerwalnie elementy ewangelizacji. Jezusowej. Czy także naszej? ©

Kardynał Grzegorz Ryś jest historykiem Kościoła, kaznodzieją i rekolekcjonistą. Wydał wiele książek o historii, teologii i duchowości.

CZYTANIA LITURGICZNE (29 XI – 6 XI)

26. niedziela zwykła: Lb 11, 15-29; Ps 19; Jk 5, 1-6; Mk 9, 38-43. 45. 47-48;
Poniedziałek: Hi 1, 6-22; Ps 17; Łk 9, 46-50;
Wtorek: Hi 3, 1-3. 11-17. 20-23; Ps 88; Łk 9, 51-56
Środa: Wj 23, 20-23; Ps 91; Mt 18, 1-5. 10;
Czwartek: Hi 19, 21-27; Ps 27; Łk 10, 1-12;
Piątek: Hi 38, 1. 12-21; 40, 3-5; Ps 139; Łk 10, 13-16;
Sobota: Hi 42, 1-3. 5-6. 12-17; Ps 119; Łk 10, 17-24;
27. niedziela zwykła: Rdz 2, 18-24; Ps 128; Hbr 2, 9-11; Mk 10, 2-16.

Wybrał PIOTR SIKORA

KRAJ

POLSKI EINSTEIN? TO NIEMOŻLIWE

Obecny rząd stosuje tę samą logikę co poprzednicy z PiS, ograniczając finansowanie spełniającego najwyższe standardy Narodowego Centrum Nauki. Ze szkodą dla naszych badaczy, a więc także dla przyszłej pozycji Polski w nowoczesnym świecie.

MAŁGORZATA SOLECKA

Rada Narodowego Centrum Nauki na początku września wyraziła zdecydowany sprzeciw wobec kwoty, jaką w projekcie ustawy budżetowej na 2025 r. przyznano na potrzeby NCN. Ma ona stać w jawnej sprzeczności z publicznymi zapewnieniami o konieczności zwiększenia finansowania tej agencji. Tymczasem do stabilnego rozwoju działalności naukowej w Polsce niezbędny jest długofalowy wzrost nakładów na NCN.

W przyjętym projekcie budżetu na przyszły rok zaplanowano 42 mld zł na szkolnictwo wyższe i naukę – jednak lwią część tej kwoty pochłoną subwencje dla uniwersytetów. Narodowe Centrum Nauki, które jest największą agencją przyznającą granty na podstawowe badania naukowe, ma otrzymać zaledwie 1,64 mld zł, czyli tyle, ile dotąd. Na osobną pulę może liczyć (kojarzone ostatnio głównie z aferami i defraudowaniem publicznych pieniędzy) Narodowe Centrum Badań i Rozwoju. Czy są to więc na pewno środki na badania – o tym za chwilę.

Zapytaliśmy resort nauki o wysokość planowanego finansowania NCN na przyszły rok i powody, dla których praktycznie one nie rosną. „Wysokość środków planowana dla NCN wynika ze zgłoszonego zapotrzebowania przez jednostkę na dany rok budżetowy, a następnie dostosowywana jest do otrzymanych z Ministerstwa Finansów limitów na naukę. Środki dla NCN zostały zaplanowane na 2024 r. w wysokości według planu po zmianach 1 mld 643 mln zł, a na rok 2025 w wysokości 1 mld 648 mln zł" – odpowiedziało ministerstwo.

Na wzór Zachodu

NCN działa od 2011 r. Ma swoją główną siedzibę w Krakowie. Zdaniem wielu znaczących naukowców jest instytucją, z której Polska może być dumna. Stosuje się do wszystkich standardów oceny projektów naukowych, które są normą w najbardziej rozwiniętych i innowacyjnych krajach.

Były dyrektor NCN, współtworzący tę agencję prof. Andrzej Jajszczyk przyznaje, że powołano ją na wzór podobnych, istniejących w USA czy krajach europejskich. Jej celem było finansowanie badań podstawowych (pogłębiających wiedzę o zjawiskach, ale bez komercyjnego wykorzystania). – Nie staraliśmy się wymyślać czegoś zupełnie nowego, tylko patrzyliśmy, jak inni to robią, i staraliśmy się dostosować do naszych warunków – mówi prof. Jajszczyk.

Głównym zadaniem NCN jest rozdzielanie grantów na projekty, o które aplikują naukowcy z wszystkich możliwych dziedzin. Ich oceną zajmują się eksperci – wybitni naukowcy z Polski i zagranicy. To gwarantuje bezstronność ocen oraz ogranicza potencjalny konflikt interesów. Prezes Fundacji na rzecz Nauki Polskiej prof. Maciej Żylicz podkreśla, że NCN przy ocenie projektów stosuje regułę *peer review*: wnioski o granty oceniane są przez naukowców, których pozycja jest wyższa lub równa aplikującym.

Prof. Jajszczyk przyznaje, że pieniędzy, jak zwykle w polskich warunkach, nigdy nie było tyle, ile by naukowcy chcieli. Jednak kiedyś tzw. współczynnik sukcesu, czyli liczba grantów przyznanych w stosunku do liczby zgłoszonych propozycji, była rzędu 20-25 proc. – To była przyzwoita liczba – przekonuje. Ostatnio sytuacja znacznie się pogorszyła i obecnie współczynnik sukcesu wynosi w niektórych konkursach poniżej 10 proc. – Moim zdaniem to jest patologia – uważa prof. Jajszczyk.

Pensje grubo poniżej średniej

Powody są różne, czasem obiektywne. Pierwszy to inflacja, która znacznie zwiększyła koszty badań. Kolejny to wzrost zainteresowania grantami NCN ze strony naukowców. Zdaniem prof. Jajszczyka nie obyło się jednak bez błędów ze strony rady i kierownictwa NCN – nadmiernie rozbudowano system grantów i ich rodzajów, co zwiększyło koszty w samej agencji. NCN przyznaje dziś granty dla badaczy na każdym szczeblu kariery, w ramach m.in. takich programów jak Opus, Preludium, Maestro, Sonata (na stronie internetowej agencji wymienia się 20 rodzajów konkursów krajowych i jeszcze więcej konkursów międzynarodowych). Jednorazowe pieniądze dorzucał co prawda czasem minister, ale nie ratowały one sytuacji, bo większość projektów badawczych realizowanych jest przez wiele lat i dodatkowe granty nadmiernie obciążały budżet w kolejnych latach.

Kluczowy był jednak stosunek rządu PiS do NCN, zwłaszcza odkąd ministrem edukacji i nauki został Przemysław Czarnek. Źle traktował NCN i publicznie ubolewał nad jego nadmierną niezależnością; pieniądze trafiały więc do innych instytucji preferowanych przez szefa resortu. Z dwóch agencji „narodowych" lepsze notowania w PiS miało zawsze Narodowe Centrum Badań i Rozwoju, z budżetem, który w ostatnich latach wynosił ok. 8 mld zł (niemal pięć razy więcej niż dostaje NCN). Jak wiadomo od wielu miesięcy, niektórzy działacze Zjednoczonej Prawicy, związani zwłaszcza z republikanami Adama Bielana, zrobili z NCBiR maszynę do wyprowadzania pieniędzy (szacowane niedawno kwoty opiewają na ok. 600 mln zł).

Nieprawidłowości z przeszłości mają być rozliczone, ale równie ważne jest to, że przyznanie NCN w projekcie przyszłorocznego budżetu tej samej kwoty co w roku bieżącym oznacza realne zmniejszenie nakładów na naukę, bo, jak zwraca uwagę prof. Jajszczyk, stale zwiększają się zarówno koszty badań, jak i koszty działania NCN, choćby z powodu ustalonego już wzrostu płac. Jest więc niemal pewne, że i w przyszłym roku współczynnik sukcesu, w części konkursów, znajdzie się na poziomie poniżej 10 proc.

Na to samo zwraca uwagę Rada NCN, podkreślając zarazem, że wynagrodzenia pracowników agencji wciąż nie są adekwatne do ich kompetencji i sytuacji na rynku pracy. „Centrum zatrudnia wykwalifikowaną kadrę, a na wielu stanowiskach wymagany jest stopień doktora. Trudne jest pozyskanie nowych i utrzymanie już zatrudnionych pracowników, jeśli obecnie średni poziom wynagrodzeń pracowników NCN jest o 25 procent niższy od średniego wynagrodzenia w Krakowie" – oświadcza rada.

Równe żołądki, nierówne mózgi

Niektórzy naukowcy nie dziwią się tej kontynuacji złych notowań NCN w kręgach rządowych. Zwracają uwagę, że nadzorujący naukę w ramach Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego wiceminister Maciej Gdula w przeszłości nieraz krytycznie wypowiadał się na temat tej agencji. ↦

Siedziba Narodowego Centrum Nauki w Krakowie. 26 lipca 2024 r.

ŁUKASZ BERA / MATERIAŁY PRASOWE NCN

– Minister miał pretensje, że wszystkie pieniądze z NCN zbiera „sitwa" z Warszawy, Krakowa i Poznania. Tam rzeczywiście idzie najwięcej grantów, ale dlatego, że właśnie z tych ośrodków trafia najwięcej wniosków i są, na ogół, na wysokim poziomie. Jeśli z jakiegoś ośrodka przychodzi jeden słaby wniosek, to trudno oczekiwać, że zdobędzie on dużo grantów – mówi prof. Jajszczyk. – Minister jako przedstawiciel lewicy uważa, że wszyscy mają jednakowe żołądki. Ale nie wszyscy mają równe mózgi. Nauka, jeśli ma się rozwijać, powinna promować najlepszych – dodaje.

Z danych przedstawionych przez samo NCN wynika, że w latach 2011-23 sfinansowano 29 584 projektów badawczych, w łącznej kwocie na poziomie 15,69 mld zł. Wszystkich wnioskujących było zaś 55 988. W tym okresie wnioski o finansowanie do NCN złożyły 824 uczelnie, instytuty naukowe PAN, instytuty badawcze i inne podmioty. Jeśli chodzi o geografię, najwięcej wniosków wpłynęło z największych ośrodków akademickich – ponad 33 proc. jednostek mieści się w województwie mazowieckim, na drugim miejscu jest województwo małopolskie, z którego wpłynęło ponad 11 proc. wniosków. Najwięcej grantów, jak podaje NCN, otrzymują Mazowsze i Małopolska, co wedle agencji jest wynikiem większej liczby podmiotów aplikujących.

Niedofinansowanie NCN rodzi złą atmosferę i budzi podejrzenia, że kryteria przyznawania grantów są niejasne. O ile bowiem decydującym o grantach ekspertom NCN stosunkowo łatwo odrzucić gorsze wnioski, o tyle w końcu stają wobec wyboru, który z kilku bardzo dobrych ostatecznie wybrać. – Powoduje to dalekosiężne skutki. Naukowcy tracą zaufanie do agencji, bo jeden wniosek przyjęto, a drugiego podobnego nie, motywy zaś są niejasne – mówi prof. Jajszczyk. – Proponowałem, żeby eksperci robili selekcję, a następnie losowali wnioski, które zostaną przyjęte. Moim zdaniem wynik ten byłby bardziej sprawiedliwy niż ocena ekspercka, bo nie obarczony żadnymi obciążeniami, dotyczącymi tematyki, płci naukowców itd. – dodaje.

Także prof. Żylicz uważa, że przy współczynniku sukcesu poniżej 15 procent decyzje grantowe to już jest loteria. Zwiększenie finansowania NCN spowodowałoby, że większe szanse na pozytywne rozpatrzenie wniosków miałyby mniejsze ośrodki, na czym zależy ministrowi Gduli.

> Minister jako przedstawiciel lewicy uważa, że wszyscy mają jednakowe żołądki. **Ale nie wszyscy mają równe mózgi.** Nauka powinna promować najlepszych.

Patologie na skalę przemysłową

Prezes Fundacji na rzecz Nauki Polskiej przypomina, że kiedyś brał udział w ocenianiu wniosków trafiających do EMBO (międzynarodowa organizacja przyznająca granty z zakresu biologii molekularnej) i gdy współczynnik sukcesu był na poziomie 12 proc., nikt z Polaków nie uzyskiwał żadnych grantów, ale gdy pieniądze i współczynnik sukcesu wzrosły do 17 proc., projekty z Polski zaczęły uzyskiwać dotacje.

– Moim zdaniem obniżanie finansowania NCN to fatalny kierunek – ocenia prof. Żylicz i dodaje, że zupełnym nieporozumieniem jest też stawianie znaku równości między NCN i Narodowym Centrum Badań i Rozwoju, czyli agencją zajmującą się finansowaniem nauki stosowanej, np. wspieraniem innowacyjnych produktów i rozwiązań przemysłowych (w praktyce pieniądze trafiają też do firm wdrażających dość trywialne pomysły). Podkreśla zarazem, że NCBiR ma ogromny problem z ekspertami, często nie są oni na tym samym poziomie co naukowcy, których wnioski mają oceniać. NCBiR nie należy też do najważniejszych organizacji międzynarodowych, które są weryfikatorem jakości.

Prof. Żylicz zwraca uwagę, że osób, które mogą być w Polsce recenzentami, a które nie miałyby konfliktu interesów, jest bardzo mało. Korzystanie z ludzi z zewnątrz jest więc niezbędne. Tymczasem w NCBiR ekspertów z międzynarodowym dorobkiem nie było, więc w czasach PiS zdarzały się sytuacje, gdy ogromne dotacje na rzekome badania wypłacano firmom-krzakom, które powstały dzień wcześniej.

Warto wspomnieć, że choć ujawnione w mediach patologie dotyczą drugiej kadencji rządów PiS, wokół NCBiR znaków zapytania nie brakowało już wcześniej, i to takich, z których sprawę musiało sobie zdawać kierownictwo resortu nauki. Gdy w 2018 r. ówczesny minister zdrowia, prof. Łukasz Szumowski, który do resortu zdrowia przyszedł ze stanowiska wiceministra nauki, zaczął mówić o konieczności rozwoju w Polsce praktycznie nieistniejącego segmentu niekomercyjnych badań klinicznych (w Polsce badania te prowadzono niemal wyłącznie komercyjnie, na zlecenie firm farmaceutycznych), postawił od razu na budowę kolejnej instytucji rządowej – Agencji Badań Medycznych. Nie przyjmował argumentów o istnieniu NCN i NCBiR. Na pewno najważniejszym argumentem był fakt, że jako minister zdrowia nie miałby żadnego wpływu na realizowane projekty, ale wśród doradców ministra, który chciał zaprosić do bliskiej współpracy instytucje amerykańskie, były też duże obawy związane ze sposobem prowadzenia projektów w NCBiR. Jak na ironię, samo powołanie i działalność ABM też nie były wolne od kontrowersji.

Zdaniem prof. Żylicza kłopoty NCBiR pojawiły się w momencie, gdy dyrektorzy zaczęli być wyznaczani politycznie. Niedawno prezes Fundacji na rzecz Nauki Polskiej napisał wraz z dwoma innymi naukowcami list do premiera Tuska z propozycją uzdrowienia NCBiR. To model, który się sprawdził w USA przy opracowaniu technologii GPS. – Idea polega na tym, że robimy otwarty konkurs za małe pieniądze, w ten sposób testujemy firmy, czy są odpowiedzialne i innowacyjne, a następnie robimy zamknięty konkurs z najbardziej obiecującej tematyki na duże pieniądze dla tych podmiotów, które się w otwartym konkursie sprawdziły. Unikamy w ten sposób tworzenia firm-krzaków, na czym NCBiR poległ – mówi prof. Żylicz.

List jednak nie wywołał żadnego efektu, poza tym, że trafił do resortu nauki. O żadnym projekcie nowej ustawy o NCBiR nic nie słychać.

Wiedza cenniejsza niż pieniądze

Prof. Żylicz uważa, że NCBiR powinien z budżetu państwa dostawać fundusze na badania naukowe zmierzające do opraco-

wania nowych technologii. Tymczasem dziś zdecydowana większość funduszy NCBiR jest wydawana na ulepszanie tych istniejących, a to powinno być finansowane przez same firmy.

Problemem jest też to, że w świecie polityki powszechne jest, co przyznają naukowcy, niezrozumienie dla roli badań podstawowych i ich relacji z badaniami stosowanymi. Prof. Andrzej Jajszczyk uważa, że niekomercyjne badania podstawowe są wręcz dyskryminowane, choć konsekwencje cywilizacyjne mogą być gigantyczne. Zwraca uwagę, że w krajach, których postawiono na rozwój wyłącznie badań stosowanych, licząc, że to przyspieszy rozwój technologiczny, efekt był niewielki. Sukces zaś osiągnęły kraje, które najpierw postawiły na rozwój badań podstawowych.

– Badania podstawowe to jest przerabianie pieniędzy w wiedzę. Badania stosowane to jest przerabianie wiedzy w pieniądze. Jeżeli chcemy mieć zastosowania, musimy mieć wiedzę. W USA zrozumiano bardzo dawno, że badania podstawowe mają tworzyć intelektualny grunt do innowacji. Jeśli jest innowacja, która dobrze rokuje, znajdują się prywatne pieniądze, aby ją sfinansować – mówi prof. Jajszczyk. – NCBiR wydało w ostatnich kilkunastu latach ogromne pieniądze, ale czy słyszeliśmy o sukcesach wdrożeniowych? Wydawali dużo większe pieniądze, niż miał do dyspozycji NCN, ale niewiele dobrego z tego wynikło.

Prof. Żylicz podkreśla zaś, że stawianie jedynie na naukę stosowaną jest charakterystyczne dla biednych krajów, które sądzą, że w ten sposób będą miały szybki sukces. – To jest droga na skróty. Tak naprawdę, żeby mieć sukcesy komercyjne, trzeba przedtem zainwestować w naukę podstawową. Trzeba zrozumieć mechanizm jakiejś reakcji, aby można ją zastosować – podkreśla prof. Żylicz. – Kto w 1905 r. rozumiał teorię względności Einsteina? Pewnie niewielu. A dziś, gdyby nie poprawki wynikające z teorii względności, nasz GPS działałby z dokładnością przekraczającą jeden kilometr. Byłby bezużyteczny.

© MAŁGORZATA SOLECKA
Współpraca PIOTR ŚMIŁOWICZ

ŁUKASZ GDAK / EAST NEWS

Akcja gaśnicza kamienicy w Poznaniu. 25 sierpnia 2024 r.

Gdy zawyje syrena

ELIZA LESZCZYŃSKA-PIENIAK

Gaszą pożary, ratują ludzi podczas powodzi, usuwają skutki zanieczyszczeń chemicznych, pomagają przy wypadkach drogowych. Nie ma drugiej tak ryzykownej i zarazem tak docenianej służby w Polsce.

Na początku wydawaliśmy ludziom worki z piaskiem i jeździliśmy do lokalnych podtopień. Myślałem, że wał w Bodzanowie zatrzyma powódź, ale w sobotę rzeka zerwała most w Głuchołazach i rozlała się po całej wsi. Wiele rodzin ewakuowaliśmy łódkami, bo innej drogi nie było. A jednego ciężko chorego wynieśliśmy na noszach w ostatniej chwili, bo rzeka już wtargnęła mu do domu i pewnie by go zatopiła. Pamiętam powódź z 1997 r., ale wtedy straty były mniejsze. Teraz woda podeszła ludziom do pierwszego piętra, zniszczenia są ogromne – opowiada Jerzy Landwójtowicz, strażak z OSP w Bodzanowie koło Głuchołazów.

Nie dla pieniędzy

W walkę z żywiołem na południu Polski zaangażowanych jest ponad 1500 pojazdów oraz prawie 6 tys. strażaków z województwa dolnośląskiego i opolskiego. Z pomocą pośpieszyło też wielu funkcjonariuszy z odległych województw. Brali udział w dziesiątkach tysięcy interwencji, a ich widok nieraz dawał ulgę załamanym ofiarom żywiołu, bo nie ma w Polsce służby mundurowej, która budziłaby tak duże zaufanie. Niewiele osób wie, że za tą ciężką pracą nie idą monstrualne pensje. Mediana zarobków w zawodowej straży wynosi na rękę ok. 4400 zł, a godzinowa stawka dla druha z OSP mieści się w widełkach od 27,70 zł do 41,11. Tymczasem stawka godzinowa dla płacy minimalnej w Polsce to 28,10 zł...

– Dokłada się nam wciąż nowe zadania, jeździmy więc niemal do wszystkiego, przy dużym niedofinansowaniu tego zawodu. Jest nawet takie powiedzenie: jak nie wiesz, gdzie szukać pomocy, to dzwoń po straż, a jak straż ci nie pomoże, to już nikt ci nie pomoże. Nasza praca jest nieprzewidywalna, musimy się mierzyć z wieloma niewiadomymi, wobec których zawodzą procedury. Dużym obciążeniem jest też przewlekły stres – mówi Łukasz Kunek, przewodniczący Zarządu Krajowego Związku Zawodowego Strażaków „Florian".

Pożar kamienicy w Poznaniu pod koniec sierpnia, połączony z silną eksplozją przetrzymywanych w piwnicy baterii przypomniał, że praca strażaków wiąże się z ogromnym ryzykiem. Podczas ↦

↦ akcji ratowniczej przy ulicy Kraszewskiego jedenastu z nich odniosło obrażenia, a dwóch zginęło; obaj z dużym stażem. Patryk Michalski zaczynał w OSP Cyprianka, potem przeniósł się do służby państwowej we Włocławku, skąd trafił do Poznania. W młodości uchodził za sportowy talent w lekkoatletyce, jako siedemnastolatek pobił rekord juniorów młodszych w rzucie oszczepem. Niebawem miał się żenić. Łukasz Włodarczyk pochodził ze strażackiej rodziny, był ratownikiem medycznym, brał udział w akcjach charytatywnych. Osierocił dwoje dzieci.

– Ich śmierć wstrząsnęła środowiskiem, wszyscy czekamy na wynik śledztwa, bo tylko analizując błędy można uniknąć podobnych sytuacji w przyszłości. W naszej służbie jest jednak wiele czynników, na które nie mamy wpływu, i kilka sekund na decyzję. Gdyby dowódca wiedział, że w kamienicy nie ma mieszkańców, pewnie nie posłałby strażaków do środka – wyjaśnia Bartosz Klich, prezes Stowarzyszenia Niezależnych Ekspertów Pożarnictwa i strażak z dwudziestoletnim stażem.

Klich podkreśla, że mimo iż to jeden z najbardziej nieprzewidywalnych i niebezpiecznych zawodów, dzięki dobrej ochronie indywidualnej, asekuracji i wyszkoleniu wypadki zdarzają się rzadko. Rzadko też zawodzą dowódcy, tak jak w Białymstoku w 2017 r. podczas gaszenia pożaru w hali magazynowej, gdzie zginęło dwóch młodych funkcjonariuszy. Sąd orzekł, że przełożony nie dopełnił obowiązków. Strażacy znaleźli się w bardzo zadymionym pomieszczeniu, niewiele widzieli, a na piętrze weszli na podwieszany sufit, który zawalił się pod nimi.

Ile waży mundur?

Wejście strażaków do budynku i gaszenie pożaru od wewnątrz przez wiele stuleci nie było możliwe, bo odzież, którą nosili, nie zapewniała podstawowej ochrony. Pierwszy hełm skonstruował Jacobus Turck z Nowego Jorku, zajmujący się obsługą i serwisem ręcznych pomp używanych do gaszenia pożarów. Henry Gatacopo udoskonalił jego projekt, tworząc wzmocniony, skórzany hełm w kształcie kopuły z przednią osłoną i rondem. Czyli mniej więcej taki, jaki noszą strażacy dzisiaj, tyle że ten współczesny zrobiony jest z laminatu poliestrowo-szklanego i wyposażony w wizjer z daszkiem. Twarz chroni też kominiarka, a oddychanie wspomaga butla ze sprężonym powietrzem. Bez tych akcesoriów bardzo łatwo poparzyć sobie drogi oddechowe lub zatruć się dwutlenkiem węgla. W XIX wieku strażacy używali chust, zapuszczali brodę i wąsy, a przed akcją moczyli je i zagryzali – w ten sposób chronili się przed dymem i gorącym powietrzem.

– Sprzęt polskich strażaków jest na poziomie europejskim, park maszyn cyklicznie wymieniany, a kombinezony, hełmy i butle ze sprężonym powietrzem pozwalają gasić pożary w środku. Wyposażenie jednostek państwowych nie różni się specjalnie od tego, czym dysponują ochotnicze straże. Widziałem w małych wiejskich remizach noktowizory i nożyce hydrauliczne do cięcia pojazdów – podkreśla Bartosz Klich.

Jeszcze w latach 90. w Polsce na strój strażacki składało się ubranie moro, do którego w zimie dokładano kurtkę z podpinką; w niektórych jednostkach można było spotkać ubrania z włóknem azbestowym, pokryte sproszkowanym aluminium. Rewolucja dokonała się po wejściu Polski do UE, kiedy musieliśmy dorównać europejskim standardom. Współczesne ubrania zrobione są z nomeksu i kevlaru – ta uodporniona bawełna połączona z włóknami aramidowymi wytrzymuje temperaturę do 480 stopni C. Jest wodoodporna, chroni przed ciepłem i promieniowaniem. Kombinezon jest wielowarstwowy, a tkaniny przedziela pianka, która powoduje, że materiał narażony na kontakt z wodą lub ogniem nie dotyka ciała. Buty wzmocnione na czubkach stalą zrobione są ze specjalnego tworzywa odpornego na oleje i smary. Strój, w zależności od rodzaju interwencji, na którą jedzie strażak, waży od 15 do 30 kg.

„Umierała nam na rękach"

– Jesteśmy rozliczani z czasu. Od wezwania do wyjazdu samochodu nie może upłynąć minuta. Cięcie auta po wypadku zabiera nam do trzech minut, ale zdarza się, że ranny przeszkadza, chwyta za ręce i próbuje się wyszarpnąć – podkreśla Krzysztof, strażak z piętnastoletnim stażem, który zmaga się z syndromem stresu pourazowego.

W czasie tegorocznej powodzi nie doszło na szczęście do śmierci żadnego funkcjonariusza, choć w Nysie poziom wody podnosił się tak szybko, że samochód strażacki utknął w nurcie i w ewakuacji druhów pomagało wojsko. Ale to właśnie praca w ciągłym stresie, pod presją czasu i seria tragicznych wypadków, przy których Krzysztof niósł pomoc poszkodowanym, sprawiły, że pewnego dnia nie mógł wstać z łóżka, by iść na służbę.

– Chłopaki z grup nurkowych częściej są narażeni na kontakt z denatem niż inni funkcjonariusze, ale tak naprawdę wszyscy strażacy są wyeksponowani na duży stres. Kiedyś ratowaliśmy dziewczynkę, która wpadła do wody, uderzyła głową o beton i mimo szybkiej akcji nie udało się jej uratować. Umierała nam na rękach, tego się nigdy nie zapomni – opisuje Przemysław Ilczuk, komendant Miejskiej Państwowej Straży Pożarnej w Zamościu.

Krzysztof wielokrotnie jeździł na interwencje, podczas których umierali ludzie. Zaczęło się od dziecka uduszonego dwutlenkiem węgla podczas pożaru wiejskich zabudowań, potem były tragiczne wypadki drogowe. Podczas jednego z nich reanimował młodą dziewczynę, ale mimo iż początkowo odzyskała przytomność, umarła na skutek obrażeń wewnętrznych.

– Jest coś dziwnego w powietrzu, kiedy zbliża się śmierć. Można ją fizycznie poczuć, jakby ciało człowieka wydzielało jakieś substancje. Tak było tamtym razem, nigdy nie działaliśmy tak szybko, nigdy nie walczyłem tak mocno z czasem. Chłopaki musieli ciąć auto na kawałki, tak było zgniecione. Dwie osoby już nie żyły, ja reanimowałem dziewczynę, a ona odchodziła. Trudno po takiej służbie nie dojść do przekonania, że ta robota nie ma sensu, że to nierówna walka, w której ciągle trzeba zmagać się z porażką – opisuje Krzysztof.

Doświadczenia Krzysztofa nie są wyjątkowe, toteż w każdej komendzie wojewódzkiej PSP zatrudniony jest psycholog, prowadzone są też warsztaty i cykliczne szkolenia. Bywa również, że to sam strażak umiera na służbie, a rodzina długo nie może sobie poradzić. Fundacja Dorastaj z Nami stara się poprzez sieć doradców nieść im pomoc psychologiczną, pracuje z osieroconymi dziećmi, rozwija ich zdolności i zainteresowania, organizuje „wyjazdy wytchnieniowe" dla matek, by mogły przez kilka dni oderwać się od trudnej codzienności. Pod skrzydłami fundacji znajduje się 140 dzieci.

– To dzieci strażaków, policjantów i żołnierzy, którzy zginęli na służbie. Pomagamy im długofalowo i już na początku zapewniamy rodziny, że będziemy czuwać nad dziećmi, dopóki nie osiągną samodzielności i nie skończą edukacji. Wspieramy też matki, bo w większości giną ojcowie. To dla nich powstał program „Siła wsparcia kobiet", który pozwala dzielić się doświadczeniami i pomagać paniom na początku drogi, kiedy są w głębokiej żałobie. Tylko kobieta, która ma za sobą takie przeżycia, może poradzić koleżance, jak przetrwać pierwsze święta po wypadku męża – mówi Magdalena Pawlak, prezeska fundacji.

Dziecko w studni

Praca strażaków cieszy się ogromnym szacunkiem społecznym. Jak pokazują ostatnie badania SW Reaserch „Ranking prestiżu zawodów", strażacy już po raz czwarty z rzędu osiągnęli najlepszy wynik, wyprzedzając ratownika medycznego, lekarza i księdza. W pewnej mierze dlatego, że nie dają mandatów, nie moralizują, szybko zjawiają się na wezwanie.

Dane statystyczne mówią same za siebie: w rekordowym 2022 r. było 608 tys. interwencji, w 2023 r. – 486 tys., w których brało udział 2 mln 115 tys. strażaków z PSP oraz 1 mln 851 tys. druhów z OSP. Nie zawsze jednak udaje się pomóc – w pożarach w ub. roku zginęło 365 osób.

– Naszym zadaniem jest pomaganie, ale nie kosztem własnego życia – podkreśla Krzysztof. – Zdarza się, że przyjeżdżamy na miejsce i żąda się od nas rzeczy niemożliwych. Ludzie krzyczą, błagają o pomoc: „Ratujcie, na co czekacie?!". Tak było ze śmiertelnym wypadkiem strażaków w studni. Weszli ratować topielca, choć nie byli dostatecznie asekurowani.

Grzegorz Barszczewski i Jarosław Dzienniszewicz z OSP w Raczkach próbowali uratować młodego mężczyznę, który wpadł do bardzo głębokiej studni. Weszli bez butli tlenowych i bardzo szybko stracono z nimi kontakt, później okazało się, że przy lustrze wody znajdowało się już tylko 8 proc. tlenu. Wypadki w studni rzadko kończą się happy endem, kiedy więc Marcin Koszałka, strażak z OSP w Annopolu opisuje, jak w 2018 r. uratował życie trzylatka, rozumiem jego radość.

– Byłem wtedy na zwolnieniu lekarskim po wycięciu wyrostka robaczkowego, ale kiedy zawyła syrena, pobiegłem do remizy. Okazało się, że chłopiec gonił kota i wpadł do studni. Dziecko zanurkowało, wypłynęło i chwyciło się deski, która wpadła razem z nim – relacjonuje Koszałka, który wszedł do studni zabezpieczony linami, wyłowił chłopca, zaparł się nogami o cembrowinę i czekał na przyjazd kolegów z państwowej jednostki ze sprzętem. Strażak otrzymał za ten czyn od prezydenta Dudy „Medal za Ofiarność i Odwagę".

Jest coś dziwnego w powietrzu, kiedy zbliża się śmierć. Można ją poczuć, jakby ciało człowieka wydzielało jakieś substancje. W pożarach w ub. roku zginęło 365 osób.

ŁUKASZ GDAK / EAST NEWS

– Mój świętej pamięci dziadek był strażakiem, wujkowie też byli w straży, brat jest strażakiem i ja też służę – mówi Koszałka. – Lubię pomagać ludziom i nie dla zarobku to robię, bo w OSP pieniądze są symboliczne. Kiedy widzę chłopaka, którego uratowałem, jak gra w piłkę czy biegnie ze sklepu z lodami, gęba sama mi się śmieje.

„Jaki piękny chłopiec"

Czteroosobowe zastępy strażackie wyjeżdżające na akcje ratunkowe składają się w ogromnej większości z mężczyzn, choć coraz więcej kobiet jest wśród ochotników z OSP. Testy sprawnościowe stanowią dla wielu przeszkodę w dostępie do państwowej służby. Np. w woj. lubuskim są dwie strażaczki, jedna z nich to Patrycja Krzyk, która ma 29 lat i pracuje w Świebodzinie.

– Kilka razy próbowałam dostać się do straży, ale dopiero kiedy poprawiłam bieganie i udało mi się pokonać kilometr w 3,28 sekund, udało się. Na początku chłopaki podchodzili do mnie trochę nieufnie, nie wiedzieli, czego mogą się po mnie spodziewać, ale teraz jesteśmy jak rodzina. Nawet składkowe obiady robimy. Ale jak przyjeżdżam na służbę w pełnym umundurowaniu, ludzie myślą, że jestem facetem. „Jaki piękny chłopiec", wołają za mną czasem i dopiero jak zdejmę hełm, otwierają szeroko oczy. Mundur jest ciężki, trudno w nim chodzić z gracją – śmieje się Patrycja, która kieruje czasem wozem strażackim i podkreśla, że musi mieć wtedy oczy dookoła głowy, bo ludzie na dźwięk syreny wariują, w popłochu przyspieszają, stają w dziwnych miejscach albo dają kierunkowskaz w lewo, a skręcają w prawo.

Patrycja jest też ratowniczką medyczną i nurkiem. Praca w nieprzejrzystych wodach bywa nieprzyjemna i trudna, zdarza się, że strażak rozpoznaje topielca „na dotyk", a czasem spotyka się z nim „twarzą w twarz". Dlatego strażaczka cieszy się z rozwoju technologii. Na ostatnim szkoleniu ćwiczyła obsługę robota podwodnego, który może wydobyć ciężar do 100 kg.

– Technologa to tylko część naszej pracy, czasem potrzebne są umiejętności, których żaden robot nie posiada – uważa Patrycja. – Kiedyś mieliśmy wezwanie do próby samobójczej. Chłopak zabarykadował się na poddaszu, mówił, że ma nóż przy szyi i przebije się, jak ktoś będzie próbował wejść. Nawiązałam z nim kontakt, a koledzy w tym czasie znaleźli sposób, żeby dostać się na to poddasze. To największa radość w tej robocie: nieść pomoc innym. I tacy też ludzie garną się do straży.

© ELIZA LESZCZYŃSKA-PIENIAK

Budziem tut

TEKST: MARCIN WÓJCIK
ZDJĘCIA: JACEK TARAN

Skupisko ukraińskich Romów w małopolskich Koninkach to szansa na międzykulturowy dialog. Szkoda, że tego dialogu nie ma między Polakami, którzy mają Romom pomagać.

Gdy wejdziesz do Gorczańskiego Parku Narodowego od strony ośrodka Ostoja Górska Koninki, zobaczysz rozpostarte na drzewach tyrolki i park linowy. A pod nimi – nowiutki plac zabaw. Między domkami a parkingiem biegają dziesiątki dzieciaków, które odważnie zaczepiają przyjezdnych. Na fotelach zasiadają dumne kobiety w kwiecistych spódnicach. Palą papierosy, rozmawiając z sąsiadkami łamaniną ukraińskiego i romani.

W samym centrum tego tumultu stanowczym krokiem przechadza się niewysoki krępy mężczyzna, za którym dzieci wołają: „Panie Józkuuu, Panie Józkuu...". I każde domaga się jego uwagi.

Józef Pasek jest właścicielem Koninek. Z początkiem pełnoskalowej wojny w Ukrainie przekształcił kompleks górski w ośrodek pomocy dla uchodźców. Wszystkich mieszkańców zna po imieniu. Jeździ z nimi do urzędów, lekarzy, szuka pracy. Wie, które dziecko choruje, kto potrzebuje pomocy z dokumentami, nie potrafi czytać albo ma wszy. Jego własne dzieci biegają po podwórku z ukraińskimi. To właśnie za sprawą Paska Ostoja Górska stała się największym ośrodkiem przyjmującym uchodźców z Ukrainy pochodzenia romskiego w Małopolsce. Kłopot w tym, że na taki rozwój wydarzeń nikt nie był przygotowany.

Decyzją wojewody ograniczono niedawno liczbę uchodźców w ośrodku do stu. Od początku wojny przez Koninki przewinęło się w sumie ponad trzy tysiące osób. Malutka gmina Niedźwiedź pęka w szwach. Nie wydala służba zdrowia, brak miejsc pracy dla nowo przybyłych, a od 1 września na – w dużej mierze niepiśmienne – romskie dzieci czeka obowiązek chodzenia do polskiej szkoły.

Wojewoda i kuratorium oświaty przysyłają specjalistów, liczne organizacje pozarządowe pomagają, jak mogą. A Pasek jak przyjmował, tak przyjmuje i nic sobie nie robi z harmidru, który wywołał. Jak to się skończy? Zacznijmy od tego, jak się zaczęło.

Zasłużony dawca

Pierwszego maila z pytaniem, czy byłby chętny na przyjmowanie uchodźców, Pasek otrzymał z urzędu wojewody małopolskiego już w 2021 r. – pół roku przed wybuchem wojny. – Zapytałem żonę: „Co ty na to?". Od razu się zgodziła. Przywykła, bo ja całe życie pomagam. Byłem w pomocy maltańskiej, chodziłem na pielgrzymki, mam taką ilość krwi oddaną, że jestem zasłużonym dla narodu krwiodawcą. Śmieję się, że pomaganie mam we krwi – opowiada Pasek w zawalonym po sufit papierami biurze, na pierwszym piętrze ośrodka w Koninkach.

W korytarzu naprzeciwko trwa remont. Tuż obok sali komputerowej robotnicy przygotowują nowe pomieszczenia dla dzieci. Do niedawna miały do dyspozycji jeden wielki pokój, w którym wynajęte animatorki prowadziły dla nich różne warsztaty, uczyły liczenia i pisania. Teraz ma to być całe piętro dawnego hotelu. Rozmowę co chwila przerywają dźwięki wiertarki i telefony oczekujących na decyzje szefa pracowników. Ruchliwy i stanowczy Pasek odpowiada im krótko i rzeczowo. Chwali się, że po wybuchu wojny Koninki były pierwszym ośrodkiem w powiecie limanowskim, który przyjął uchodźców. – Nie robię rozgraniczenia pomiędzy dziećmi polskimi, romskimi czy ukraińskimi – mówi. – Dla mnie dziecko jest dzieckiem.

Szkoła, potem praca

Pani Wiktoria wita mnie rozpostarta na fotelu przed swoim domkiem. Pod no-

RDC POLSKIE RADIO

DZIENNIKARZE I AUTORZY „TYGODNIKA" co tydzień są gośćmi Roberta Łuchniaka w Polskim Radiu RDC.
Audycję można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia www.rdc.pl

Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM
Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM
Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM
Płock 101,9 FM

Arsen z żoną Ruzaną i dziećmi. Koninki, 3 września 2024 r.

gami kręcą się dzieci. Pali. Mówi, że na początku wojny uciekli z obwodu zaporoskiego nad Morzem Azowskim. Rok temu trafiła z mężem i sześciorgiem dzieci do Koninek. Przez ten czas utrzymywali się wyłącznie z pomocy Józefa Paska, bo straż graniczna nie wpisała czegoś w papiery przy wjeździe i nie mogli starać się o socjal w Polsce. Dostali tu mieszkanie, jedzenie i ubrania dla całej rodziny. Pytam, czy szukają zatrudnienia.

– Jak bude robota, my pójdą do pracy. Dziecko pójdą do szkoły, a my idą do pracy.

– Dzieci potrafią pisać, czytać?

– Uczyło w ukraińską szkołę, a odkąd ja w Polszy, to dziecki po onlajnie uczę – relacjonuje kobieta pewnym i melodyjnym głosem.

Polski rząd zadecydował, że jeśli od 1 września dzieci z Ukrainy mieszkające w Polsce nie będą wypełniały obowiązku szkolnego, rodzice nie otrzymają świadczeń socjalnych. Pani Wiktoria nie ukrywa, że nowe regulacje wpłynęły na jej decyzję o posłaniu dzieci do szkoły. Obawia się wydatków: buty trzeba kupić, odzież, książki. Boi się także o różnice programowe. Jej dzieci uczyły się w Ukrainie w drugiej i trzeciej klasie. Tutaj trafią do czwartej i piątej.

– No i budzie sie polskie dzieci na nich obrażać. No, ale Pan Józek pomogą, on dobry.

Rozglądam się wokół – góry, las, cisza. Przed każdym domkiem zastygła w bezruchu rodzina. Upał. Daleko stąd nie tylko do szkoły, ale do wszystkiego. Pani Wiktoria mówi, że ona to lubi. Wychodzi do sklepu czy szpitala i to jej wystarcza.

– Chcecie tu zostać? – pytam. – Jakie macie plany?

– Budziem tut.

Bez cenzury mówiąc

Pasek co chwila otrzymuje informacje o kolejnych śpiących na dworcu w Rzeszowie uchodźcach romskich. Przyjmuje na potęgę. Odkąd ograniczono liczbę osób, które może gościć, utrzymuje część rodzin z własnej kieszeni i jawnie deklaruje, że bardziej martwi go los ludzi niż ograniczenia narzucane przez oficjeli. Tego zapału do pomagania nie podzielają sąsiedzi, którzy wystosowali już dwie petycje do wójta.

Właścicielka okazałej góralskiej restauracji położonej bardzo blisko ośrodka, Natalia Cichańska mówi tak: – Przyjeżdżają ludzie, chcą zostawić samochód na parkingu. A tu, bez cenzury mówiąc, cyganiątka coś majstrują przy ich samochodzie. Ludzie widzą ten syf, kiłę i mogiłę, które tam są, i po prostu spontanicznie zawracają. Szukają najbliższego miejsca, żeby iść gdzie indziej na szlak. Ruch turystyczny w pobliskiej Górnej Porębie bardzo się zwiększył. A tu maleje.

Przed restauracją spotykam dwie kwieciście wystrojone Romki, które spokojnie maszerują z dziećmi do lokalnego sklepiku. Właścicielka zna je po imieniu i traktuje serdecznie. Gdy zostajemy sami, opowiada, że od kiedy uchodźcy pojawili się w Niedźwiedziu, trzeba było zacząć wszystko zamykać, bo wchodzili do każdego kąta. W sklepie zdarzały się kradzieże, ale ci, którzy przeszkadzali, na szczęście już powyjeżdżali. A teraz, chociaż nie ma szału, zarabia jednak ciut więcej niż kiedyś. Wydaje się pogodzona ze zmianami. Tym bardziej zaskakuje mnie jej odpowiedź na pytanie, czy to dobrze dla uchodźców, że mają ten ośrodek.

– Oni wykorzystują to, że im ktoś daje. Więcej dobrego w tym nie widzę.

Tu dziecki poprywykali

Paulina Dziób ma w Koninkach pełne ręce roboty. Dynamiczna i rzeczowa kobieta jest pełnomocniczką wojewody ds. kontaktu z organizacjami pomagającymi uchodźcom z Ukrainy. Przyznaje, że sytuacja gminy, w której znajduje się ośrodek, jest nie do pozazdroszczenia. Obywatele Ukrainy pochodzenia romskiego mają problem z integracją. Poziom edukacji seksualnej jest wśród nich bardzo niski. Inny kłopot to obciążenie pediatrów, położnych, ginekologów i systemu pomocy społecznej. Do tego dochodzi bariera językowa. Wojewoda małopolski odpowiedział na sytuację, ściągając do Koninek imponującą liczbę organizacji pozarządowych. Pełnomocniczka jednym tchem wymienia: PCK, Caritas, IOM, UNHCR, UNICEF, Project Home, Zustricz i wiele innych.

– Mamy niezwykłą pomoc organizacji działających na rzecz Ukraińców pochodzenia romskiego – stowarzyszeń Sawore i Jududoro. Są z nami na spotkaniach, bo przyjezdni niekoniecznie porozumiewają się w języku ukraińskim. Chodzi przede wszystkim o edukację dzieci – mówi Paulina Dziób.

Wracam do Koninek. Zaczepiam drobnego mężczyznę, który siedzi z żoną pod markizą, na tarasie głównego budynku ośrodka. Kobieta jest szczupła, młoda, w dziewiątym miesiącu ciąży. Rok temu uciekli z ośmiorgiem dzieci z zachodniej Ukrainy. Dumny acz wesoły Arsen mówi, że są tutaj bardzo dobrze traktowani. Chwali się, że zna właścicielkę sklepu po imieniu i, gdy nie ma pieniędzy, kupuje u niej „na zeszyt". Opowiada, że rodziny romskie, które stąd wyjechały, często wracają.

– Tut dobrze dla dziecka. Sfabodno chulać można. Kamery je, my wsio baczym. Ciężko je zrobić pieniądze, żeby się gdzieś wynająć. Siestra i starszy brat w Germanii i gawarim s niemi, że tu je co kuszać, dach, własnu komnatu, żeby prijechali – mówi mężczyzna.

Józef Pasek załatwił mu dorywczą pracę przy rozbiórce domków w pobliskim ośrodku letniskowym. Teraz czeka na informację z urzędu pracy, żeby może znaleźć coś na stałe. Spoglądając na jego ciężarną żonę, pytam Arsena, czy nie ↦

Józef Pasek z Arsenem, jego żoną Ruzaną i ich synem. Koninki, 3 września 2024 r.

Wiktoria z córką. Koninki, 3 września 2024 r.

↦ chcieliby mieszkać bliżej szpitala, w mieście? – Nie choczim wyjeżdżać – odpowiada. – Tu dziecki poprywykali. Tut haraszo.

Krewki radny

Atmosfera w jasno oświetlonym gabinecie na ostatnim piętrze budynku urzędu gminy Niedźwiedź już od wejścia wydaje mi się ciężka. Wójt wita mnie z rezerwą. W gabinecie czeka na mnie również radny gminy, który wartko rozpoczyna spotkanie tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Problemu nie nastręczają nam uchodźcy, bo my jesteśmy przygotowani i bardzo otwarci. Problemów dostarczają nam osoby, które chcą wykorzystać tych uchodźców i które chcą na nich zarobić – mówi ciągiem radny, nie dając mi dojść do głosu.

Jego zdaniem na pięć ośrodków w gminie tylko Koninki „nie funkcjonują w ogóle" i stanowią zagrożenie. Policja – twierdzi – informuje go o kłótniach, libacjach i bijatykach, ścieki z ośrodka zatruwają okoliczną rzeczkę, i tak dalej. Z pisma policji dowiem się później, że przez ostatni rok nie było do Koninek więcej wezwań niż do osiedlowych bloków w Krakowie w tym samym czasie. Jak na ośrodek pełen uchodźców z terenów wojennych, to całkiem niezły wynik.

Po dłuższym monologu radnego udaje się w końcu zapytać wójta, czy ktoś konsultował z nim przyjęcie tak dużej liczby ludzi. – Oczywiście, że nie – odpowiada Rafał Rusnak. – Ja nawet przypuszczam, że to było z pominięciem wojewody. Gdzie indziej uchodźców ubywa, tu przybywa.

Wójt nie widzi możliwości współpracy z Józefem Paskiem, który zakazał mu wejścia na teren ośrodka. Komunikacja odbywa się poprzez oficjalne pisma. To m.in. dlatego gmina powołała komisję ds. uchodźców, prowadzoną przez radnego, który z nami rozmawia. Niezależnie od jej prac wójt chce zlikwidować Ostoję Górską jako punkt pobytu uchodźców. – Boję się, że zmienią się regulacje i nagle okaże się, że nie ma żadnego dofinansowania – mówi. – I ten przedsiębiorca, który nie będzie miał zysku, przyjdzie do mnie i powie: „Daję Panu na tacy stu pięćdziesięciu uchodźców, proszę coś z nimi zrobić".

Państwo w państwie

– Jak doszło do tego, że w Koninkach wyrósł moloch, który zajmuje się prawie wyłącznie pomocą uchodźcom z Ukrainy pochodzenia romskiego? – pytam rzeczniczkę wojewody. Spotykamy się w jej gabinecie w centrum Krakowa. Joanna Paździo odpowiada, że urząd kierował tam wszystkich, którym ta pomoc była potrzebna. Ośrodek w Koninkach był po prostu jednym z wielu w systemie. Na pytanie, czy Józef Pasek konsultował swoje zamiary z wojewodą, rzeczniczka odpowiada: – Nie może być tak, że ktoś lokuje uchodźców na własną rękę. Cały mechanizm działania musi być koordynowany z poziomu powiatu. Tu potrzebne było przypomnienie, jakie zasady obowiązują. Jeśli te osoby mają funkcjonować w całym systemie, to przyjmowanie ich nie może się odbywać bez naszej wiedzy.

Na początku wojny w Koninkach było ponad trzystu uchodźców, co stanowiło 12 proc. mieszkańców Niedźwiedzia. Pojawił się problem z dostępnością edukacji, ośrodka zdrowia czy dentysty. Urząd wojewódzki zareagował redukcją liczby osób, które mogą tam przebywać. Lawinę reakcji mieszkańców, urzędników i NGO-sów wywołała jednak przede wszystkim wielka fala uchodźców wojennych

z Ukrainy pochodzenia romskiego, na którą nikt nie był przygotowany. Z boku wygląda to tak, jakby Józef Pasek namieszał, a teraz całe województwo po nim sprząta.

– My nie oceniamy postępowania pana Paska – komentuje rzeczniczka wojewody. – Wierzymy, że nie ma tu złych intencji. Jest wola pomocy. Naszym celem jest, żeby tam nie powstało państwo w państwie.

Szansa na dialog

– Pamiętajmy, że rozmawiamy o ofiarach wojny. Pokazują nam zdjęcia domów, które potracili, albo mężów ukrytych w bunkrach. W Koninkach ci ludzie mają dobre jedzenie, właściciel jest z nimi zżyty i zna każde dziecko po imieniu – mówi Seweryn Szczerba, prezes Stowarzyszenia Jududoro, które zajmuje się m.in. rozwojem edukacji i aktywizacją społeczności romskiej.

Od lat jeździ po Małopolsce z wykładami o kulturze romskiej. Tłumaczy w szkołach, firmach i urzędach, dlaczego kobiety noszą spódnice oraz inne romskie zwyczaje. Pomaga w mediacjach i promuje to, co w tej kulturze najpiękniejsze. Szczerba jest pokaźnych rozmiarów mężczyzną, mówi spokojnym niskim głosem. Poznaliśmy się wcześniej w Koninkach. Na spotkanie czekałem kilka dni. Nie oddzwaniał: ciągle zapracowany, coś z kimś konsultował, gdzieś jeździł.

Podczas rozmowy online tłumaczy, że Ostoja Górska jest odizolowana i otoczona gminami, w których nie ma pracy. Jest też problem stereotypów. – Od września te dzieci muszą iść do szkoły – mówi. – Zakładam, że w okolicy Koninek w szkole nigdy nie było ani jednego Roma. Jak zobaczą, że przyjdzie trzydzieścioro nowych dzieci, to dla nich będzie nowość. Dyrektor szkoły albo gmina wyznaczy kogoś do pomocy z Ukrainy. I właśnie po to są tacy asystenci edukacji romskiej jak my.

Szczerba widzi w Koninkach szansę na dialog międzykulturowy. Wierzy, że obserwacje dzieci romskich ze szkoły wpłyną na postawę ich rodziców. Opowieści o tym, że inne dzieci zostają na świetlicy, gdy rodzice pracują, że wyjeżdżają na weekendy w ciekawe miejsca albo chodzą do restauracji, spowodują, że także ich rodzice tego zapragną. – To tylko kwestia czasu – mówi.

Pozytywistyczna postawa prezesa Jududoro bardzo przypomina mi entuzjazm Pauliny Dziób z biura wojewody: – Życzyłabym sobie, by te dzieci włączyły się w system edukacji. To byłby pierwszy krok do integracji mieszkańców ośrodka. Jeśli to się wydarzy, to będzie kamień milowy z punktu widzenia historii każdej z tych osób. Ale także okazja, by pokazać, jakie znaczenie ma edukacja.

Granat wrzucił Putin

Wracam do zawalonego po sufit papierami biura Józefa Paska w Koninkach. W tle słychać dźwięki remontów i krzyki dzieci. Ich matki siedzą przed domkami, jak siedziały. Mówię, że w urzędzie gminy zarzucają mu wzbogacanie się na Romach.

– To można zarzucić każdemu z trzystu ośrodków w Małopolsce. Ja prowadzę przedsiębiorstwo. To znaczy, że płacę podatki do gminy. Płacę ZUS, wynagrodzenia, płacę za media. To są środki na wyżywienie, remonty. Podnoszę standard ośrodka – odparowuje Pasek bez wahania.

A na zarzut, iż stworzył getto, odpowiada, że z getta nie można wyjść. – My podjęliśmy wyzwanie, by pomóc naszym mieszkańcom żyć w obrębie lokalnej społeczności. Niestety, włodarze gminy robią wszystko, żeby pozbyć się stąd Romów – mówi. Zaś na pytanie, czy wrzucił „granat do ogródka", odpowiada, że granat wrzucił Putin. – Ja na to reaguję, pomagając – dodaje Pasek. – Niezależnie od narodowości. Czuję w tym swoją misję. I jestem chyba jedynym ośrodkiem w województwie, który przyjmuje Romów z otwartym sercem. Jeśli rząd polski podjął wyzwanie, by pomagać uchodźcom z Ukrainy, a ci Romowie są uchodźcami z Ukrainy, to ma im być tak samo dobrze jak dzieciom polskim i ukraińskim.

© MARCIN WÓJCIK

TYGODNIK POWSZECHNY

NOWOŚĆ!

Wygodna

subskrypcja odnawialna Tygodnika.

7 dni za darmo, później **o połowę taniej**.

Nagradzane dziennikarstwo, wydanie cyfrowe z płatnością cykliczną co miesiąc.

Nasze treści to:

- głębokie analizy wydarzeń
- wsparcie w odnajdywaniu sensu
- przewodnik po zawiłym świecie
- redukcja informacyjnego chaosu
- nadzieja

Szukaj na www.TygodnikPowszechny.pl/Kup

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

NAUKA

KLIMAT NIE POCZEKA

ZBIGNIEW KARACZUN, SOZOLOG:

Polska nie ma spójnej polityki zarządzania skutkami kryzysu klimatycznego. Nie jesteśmy na nie – jako państwo i obywatele – przygotowani. Infrastrukturalnie, merytorycznie ani mentalnie.

AGATA KAŹMIERSKA, WOJCIECH BRZEZIŃSKI: A może zmiany klimatu nie mają nic wspólnego z powodziami na południowym wschodzie Polski?

DR HAB. ZBIGNIEW KARACZUN, PROF. SGGW: Lato było rekordowo ciepłe i cały rok zapewne będzie kolejnym najcieplejszym w historii pomiarów. To oznacza, że zwiększa się parowanie, a jeśli w atmosferze jest więcej wilgoci, to opady są silniejsze. Jednocześnie rosnąca ilość gazów cieplarnianych zatrzymuje w atmosferze większą ilość ciepła. A im więcej energii w atmosferze, tym gwałtowniej się ona rozładowuje. Stąd wzrost siły i częstości zdarzeń ekstremalnych. Z tymi zjawiskami mamy właśnie do czynienia.

O tym, że tak będzie wyglądać nasza nowa rzeczywistość, mówią w zasadzie wszystkie raporty o zmianach klimatycznych.

I takich zjawisk ekstremalnych będzie coraz więcej. Zresztą już teraz to obserwujemy. W Polsce liczba dni, gdy pada nawalny deszcz – powyżej 70 mm w ciągu doby – oraz dni z katastrofalnym deszczem, powyżej 100 mm, rośnie średnio o dwa-trzy w ciągu dekady. Teraz to średnio 4 dni na rok, choć w tym roku będzie ich więcej. Jednocześnie mamy co roku co najmniej pięć-sześć katastrofalnych wichur, podczas gdy w latach 90. rocznie występowało jedno, góra dwa takie zjawiska. Do tego fale upałów są coraz dłuższe i intensywniejsze. Według prognoz np. w Warszawie do 2070 r. nastąpi 4,5-krotny wzrost prawdopodobieństwa występowania fal upałów trzydniowych z temperaturami ponad 30 stopni Celsjusza, a w przypadku pięciodniowych fal upałów wzrost będzie aż ośmiokrotny.

Rozlana rzeka Nysa Kłodzka w okolicy Otmuchowa, woj. opolskie. 17 września 2024 r.

WOJCIECH OLKUŚNIK / EAST NEWS

I o tym też zgodnym chórem mówią wszyscy klimatolodzy. Jest źle, będzie jeszcze gorzej.

Tylko nie wiemy, jak dużo gorzej. Na razie wzrost średniej temperatury jeszcze nie przekroczył 2 stopni Celsjusza, więc przyjmujemy, że jesteśmy po względnie bezpiecznej stronie zmian klimatycznych. Przekroczenie 2 stopni może jednak uruchomić procesy, których nie jesteśmy do końca w stanie przewidzieć, bo system przyrodniczy i klimatyczny nie zmieniają się w sposób liniowy. Jedna z hipotez jest taka, że skutkiem roztopienia się lodowca na Grenlandii może być zatrzymanie prądu zatokowego, Golfsztromu, który ogrzewa Europę. I efektem globalnego ocieplenia może być powrót lodowca w niektóre rejony Europy lub bardziej surowych warunków niż obecnie.

Wszystkie dostępne scenariusze skutków zmiany klimatu w Polsce wskazują, że możemy się spodziewać pogłębiania zaburzeń w gospodarce wodnej. Od 2011 r. mamy u nas permanentną suszę letnią i jeśli nie powstrzymamy zmian klimatu, nasz kraj będzie dalej wysychać. A to oznacza pogłębianie problemów z rolnictwem i wzrost kosztów żywności. Już zmienia się struktura upraw. Jeszcze 50 lat temu nie było u nas warunków dla uprawy kukurydzy, a dziś staje się ona podstawowym zbożem.

Wiemy też, że pojawią się nowe szkodniki oraz nowe choroby roślin, zwierząt i ludzi. W Europie zaczął się pojawiać ostatnio wirus ebola i inne choroby, które wcześniej występowały tylko w cieplejszym klimacie. A ofiarami tych zmian – o czym rzadko się u nas mówi – będą ludzie najsłabsi ekonomicznie, którym najtrudniej będzie sobie poradzić ze wzrostem cen czy dostępem do opieki zdrowotnej.

Punktu zwrotnego, o którym Pan mówił, jeszcze nie przekroczyliśmy, a to znaczy, że system klimatyczny wciąż jeszcze jest przewidywalny i wiemy, na jakie ekstremalne zjawiska się przygotowywać. Przygotowujemy się?

Nie mamy długoterminowego, ponadpartyjnego programu. Takiego, który wskazywałby dokładnie, w jaki sposób Polska będzie uczestniczyła w osiągnięciu neutralności klimatycznej i będzie dążyć do redukcji emisji gazów cieplarnianych, wypełniając obowiązki nałożone zarówno przez Protokół Paryski, jak i nasze zobowiązania w ramach Unii ↦

↦ Europejskiej. Z drugiej strony – co w kontekście tej powodzi jest znacznie ważniejsze – nie mamy planu, jak w kontekście skutków zmiany klimatu będziemy budowali bezpieczeństwo i odporność całego państwa.

Mam pretensje do polityków o to, że nie uwierzyli naukowcom, którzy ostrzegali przed konsekwencjami zmian klimatycznych. W przypadku zapobiegania powodziom postawili w zasadzie wyłącznie na inżynierskie metody zarządzania, czego teraz zbieramy konsekwencje. Mamy wały przeciwpowodziowe, ale te wały okazują się niewystarczająco skuteczne w przypadku naprawdę dużych powodzi. Mamy tamy i te tamy też nie wytrzymują naporu wielkiej wody. A do tego nie mamy dobrej koordynacji pomiędzy różnymi podmiotami, czego przykładem była spółka skarbu państwa, która w trakcie powodzi i kulminacji fali powodziowej zrzuciła wodę ze swojego zbiornika bez konsultacji z innymi, przyczyniając się do zwiększenia problemu.

Mamy przecież Politykę Ekologiczną Państwa z 2019 r. I Strategię Adaptacji Polski do Skutków Zmian Klimatu z 2012 r. Obie mają być realizowane do 2030 r. Są złe?

Pytanie, czy Politykę Ekologiczną Państwa czytał minister infrastruktury, który jest odpowiedzialny za zarządzanie rzekami. Czy czytali ją inni ministrowie i koordynują między sobą jej wprowadzanie w życie. Czy znają ten dokument wicepremierowie i szef rządu?

Dziś rozmawiamy o powodzi, która doprowadziła do wielkiej tragedii i strat materialnych, ale zapominamy o konsekwencjach suszy, które są z ekonomicznego i przyrodniczego punktu widzenia znacznie poważniejsze. Czy ktoś się tym zajmuje? Podobnie było w przypadku skażenia, które w 2022 r. zabiło Odrę. Za każdym razem reagujemy dopiero wtedy, gdy dochodzi do tragedii, bo spójnej polityki zarządzania skutkami kryzysu klimatycznego po prostu nie ma. Nie jesteśmy na nie, zarówno jako państwo czy samorządy, jak też jako instytucje i obywatele, przygotowani, nie tylko infrastrukturalnie, ale także organizacyjnie, mentalnie i merytorycznie.

Zamiast tego jesteśmy dobrzy w tworzeniu dokumentów. Strategia Adaptacji Polski do Skutków Zmian Klimatu powstała nie tylko dla całego kraju, ale rząd nawet sfinansował przygotowanie takich strategii dla 44 największych miast w Polsce. Ostatnio zapowiedziano, że wszystkie miasta liczące powyżej 20 tys. mieszkańców będą musiały przygotować takie plany. Będą musiały to jednak zrobić z własnych funduszy. Nie ma też pewności, czy zabezpieczone zostaną środki, żeby te plany zrealizować. Ale idźmy dalej. Gminy mają obowiązek przygotowania programów ochrony środowiska, ale często większość

BEATA ZAWRZEL / REPORTER

Jak zmienia się klimat w Polsce?

- **ŚREDNIA ROCZNA TEMPERATURA** dla poprzedniej dekady przekroczyła 9 st. Celsjusza. Jest wyższa od średniej w okresie 1961-1990 o 1,5 st. (wówczas – biorąc pod uwagę wszystkie pory roku – średnia temperatura w Polsce wynosiła 7,5 st. Celsjusza). Z opublikowanego w ubiegłym roku w magazynie „Scientific Reports" badania uczonych z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu wynika, że do końca stulecia średnia temperatura powietrza w Polsce może wzrosnąć od 1 do 5 st. Celsjusza.

- **DO 1990 R.** odnotowywano w Polsce średnio trzy dni, gdy temperatura przekraczała 30 st. Celsjusza. W ostatniej dekadzie było ich średnio 14-15.

- **W LATACH 1961-1990** było średnio 69 dni z temperaturą poniżej zera, w ostatniej dekadzie – średnio 48. W 2020 r. w niektórych regionach Polski temperatura spadła poniżej zera zaledwie 3-4 razy.

- **ŚNIEG,** który zalegał w minionych dekadach przez średnio 40-90 dni, w poprzedniej dekadzie pojawiał się na mniej niż 20 dni na zachodzie kraju i na 60 dni na wschodzie. W 2020 r. pokrywy śnieżnej w zasadzie nie było.

- **PRZYBYWA OPADÓW** (z badania naukowców z UMK wynika, że wzrosną o 5-16 proc. do końca stulecia), a jednocześnie zmienia się ich struktura – przybędzie dni o większej dobowej sumie opadów.

- **RAPORT** „Zmiany temperatury i opadu na obszarze Polski w warunkach przyszłego klimatu do roku 2100" opublikowany przez Instytut Ochrony Środowiska wskazuje, że – w zależności od tego, na ile zredukujemy globalną emisję gazów cieplarnianych – dni z ekstremalnymi opadami przybędzie. W scenariuszu optymistycznym ten przyrost będzie niewielki, ale w scenariuszu pesymistycznym średnio na obszarze Polski możemy spodziewać się nawet tygodnia niszczycielskich nawałnic każdego roku.

- **W CIĄGU** ostatnich stu lat roczna liczba dni, w których występowały burze, nie zmieniła się istotnie, choć w latach 1951-2018 ich liczba wzrosła na wschodzie Polski, a zmniejszyła się na zachodzie. Wydłużył się natomiast sezon burzowy. Wciąż najczęściej pojawiają się one latem, choć jednocześnie zwiększa się prawdopodobieństwo występowania ich w półroczu zimowym (między październikiem a marcem). Coraz częściej do burz dochodzi też wiosną.

© AK, WB

z nich zleca przygotowanie takiego dokumentu firmie zewnętrznej, bo urzędnicy samorządowi nie mają czasu, a bywa, że i wiedzy, aby to zrobić samodzielnie. Moi doktoranci przeanalizowali ponad sto takich programów z różnych miast w Polsce i znaleźli takie, które były pisane w oparciu o jeden wzorzec, zmieniały się tam tylko dane geograficzne. Nawet błędy ortograficzne czy interpunkcyjne były kopiowane, bo robiła to ta sama firma na jedno kopyto. Obawiam się, że z lokalnymi planami adaptacji będzie tak samo, zwłaszcza jeśli ich tworzenie nie zostanie powiązane z finansowaniem działań w nich zaproponowanych.

To co powinniśmy zrobić?

Oparta na wiedzy naukowej polityka adaptacji do zmian klimatu powinna powstawać na poziomie państwa, województw i gmin, a wszystkie te plany powinny być ze sobą spójne. Tego dziś nie ma, a nawet jeśli w jakimś regionie pojawia się dobry plan, to nikt nie egzekwuje jego wykonania. Na gminy nałożono dużo obowiązków, również – jak już powiedziałem – w zakresie przygotowywania dokumentów, i gminy są przyzwyczajone do tego, że budują jakieś strategie, piszą jakieś dokumenty, bo taki jest wymóg prawny. Nikt natomiast nie sprawdza, czy gmina wywiązuje się z tego, co jest w planie, czy nie, bo nie ma żadnych konsekwencji, jeśli władze samorządowe robią coś przeciwnego niż zaplanowano. Gdyby przyznawanie funduszy było powiązane z wdrażaniem celów dokumentów lokalnych, zapewne to by się zmieniło. Ale dziś takich mechanizmów po prostu nie ma.

Światełkiem w tunelu są przepisy, które nakażą gminom do 2025 r. przygotować plany zagospodarowania przestrzennego. Dziś rozmawiamy o powodzi, która niesie tragiczne konsekwencje dla ludzi i dla infrastruktury. Dobre zagospodarowanie przestrzenne sprawiłoby, że straty spowodowane przez takie ekstremalne zjawiska byłyby mniejsze, choćby dlatego, że nie byłoby pozwoleń na stawianie budynków czy obiektów infrastruktury na terenach zalewowych. Tego w Polsce od czasu powodzi w 1997 r. nie zrobiono.

Co z Pana perspektywy jeszcze zaniedbano?

Przez przeszło 25 lat nie słuchano naukowców, którzy przekonywali, żeby stawiać na rozwiązania oparte na naturze, bo są po prostu najskuteczniejsze. W 2010 r., gdy zapowiadano, że fala powodziowa w Warszawie będzie o 20 cm wyższa niż wysokość wałów i miasto szykowało się na powódź taką, jak trzynaście lat wcześniej we Wrocławiu, stolicę uratowało przerwanie wałów w pobliżu Kazimierza Dolnego i Sandomierza. Oczywiście, wiele wsi na tych terenach ucierpiało, ucierpiał też Sandomierz, ale obniżyło to wysokość fali powodziowej i uratowało Warszawę. Mimo tych doświadczeń, ani w tym regionie, ani w żadnym innym, nadal nie ma poważnych rozmów z rolnikami o stworzeniu systemu zatrzymywania wody na łąkach, które będą pełniły funkcję polderów zalewowych.

Zamiast zatrzymywać w sposób bezpieczny dla ludzi wodę tam, gdzie opadła, co ważne jest także w kontekście wysychania Polski, odprowadzamy ją jak najszybciej do Bałtyku. Tak samo nie ma myślenia o tym, że zaprzestanie wycinki górskich lasów zwiększa retencję i spłaszcza falę powodziową. Gdyby tych wycinek w ostatnich latach nie było tak dużo, dziś problemy byłyby znacznie mniejsze. Na te tematy nie ma jednak poważnej dyskusji, nie mówiąc o wdrażaniu rozwiązań.

Czytając dyskusje w mediach społecznościowych można odnieść wrażenie, że dzieje się coś wręcz przeciwnego, a o to, że powódź jest tak katastrofalna, oskarżani są dziś ekolodzy, bo protestowali przeciw budowie zbiorników retencyjnych.

Nie pamiętam już, który z ministrów w 2010 r. opowiadał, że za powódź odpowiadają ekolodzy, bo chronią bobry, a te niszczą wały przeciwpowodziowe. Z tej wypowiedzi wynikało, że to nie państwo powinno dbać o stan tych wałów, tylko ekolodzy, a bobry powinny trzymać się od nich z daleka. Obstawiam, że teraz gdy powodzianom zostanie udzielona najpilniejsza pomoc, znów zacznie się szukanie winnych i znów wina zostanie zrzucona na ekologów.

Jeśli naprawdę chcemy być bezpieczni, to właściwym kierunkiem jest m.in. zarządzanie wodą, a nie walka z nią, bo walkę z wodą zawsze przegramy. Jeśli nauczymy się z nią współpracować, przewidywać, gdzie może wylać, i budować w taki sposób, by infrastruktura ↦

WOJCIECH OLKUŚNIK / EAST NEWS

DR HAB. ZBIGNIEW KARACZUN jest profesorem Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie, pracuje w tamtejszej Katedrze Ochrony Środowiska i Dendrologii. Jest współzałożycielem Koalicji Klimatycznej oraz Climate Action Network Central and Eastern Europe.

Punkty krytyczne dla klimatu

To „**wzmacniające się sprzężenie zwrotne w systemie klimatycznym**", które staje się tak silne, że „po przekroczeniu pewnego progu staje się ono samonapędzające". Opublikowane w 2022 r. w magazynie „Science" badanie identyfikuje kluczowe punkty, które wpłyną na jakość życia ludzi lub funkcjonowanie wszystkich systemów środowiskowych.

SĄ WŚRÓD NICH:

- stopnienie lodowców Grenlandii
- rozpad lodowców zachodniej Antarktydy
- przerwanie ciągłości funkcjonowania Golfsztromu
- zanikanie lasów deszczowych Amazonii
- uwolnienie do atmosfery metanu uwięzionego w wiecznej zmarzlinie
- zanikanie kry lodowej w Arktyce
- wymarcie raf koralowych

Badacze podkreślili, że część z nich ma kwalifikację „**prawdopodobne**" nawet przy globalnym ociepleniu na poziomie 1,5 st. Celsjusza. Wszystkie uznaje się za „**możliwe**", biorąc pod uwagę wciąż rosnące temperatury. © AK, WB

↦ była na nią gotowa, będziemy bezpieczniejsi. Mamy zresztą takie doświadczenia. Mieszkańcy terenów położonych nad Bugiem od stuleci żyli na terenach zalewanych co roku i wiedzieli, co robić, żeby ich domy były bezpieczne. Wiedzieli też, gdzie mają przeprowadzić zwierzęta inwentarskie w momencie, kiedy idzie fala powodziowa.

Jest Pan sygnatariuszem apelu naukowców do parlamentarzystów o nadanie trybu priorytetowego adaptacji do zmian klimatu. Apel pojawił się, gdy trwała już powódź. Piszecie: „Ostrzegaliśmy, a nie widzimy skutecznej inicjatywy politycznej mającej na celu uchronienie obywateli". Sądzi Pan, że tym razem to coś da?

Podpisaliśmy dziesiątki takich listów i odbyliśmy setki rozmów z politykami. Jak dotąd były mało skuteczne, co niestety widać.

Są jednak pewne powody do optymizmu. Rozmawiałem przed wyborami zarówno z marszałkiem Sejmu Szymonem Hołownią, jak i wicepremierem Władysławem Kosiniakiem-Kamyszem. Odniosłem wówczas wrażenie, że są mocno przejęci kwestią zmiany klimatu i jej skutkami. Jednocześnie premier Donald Tusk mówił o tym, że będąc przewodniczącym Rady Europejskiej, zrozumiał, jak poważny jest to problem, a lewica była jedną z partii, które poparły przed wyborami „Manifest 100 dni dla polskiej przyrody i klimatu" przygotowany przez Koalicję Klimatyczną.

Można to wszystko traktować jako przedwyborcze zapowiedzi, ale ludzie, którzy wybierali obecnie rządzących, mieli nadzieję, że te postulaty zostaną spełnione i nowa władza znacznie bardziej efektywnie i aktywnie zajmie się polityką klimatyczną. To budzi we mnie nadzieję, że w końcu podjęte zostaną działania, których dotąd nie było. Z tego powodu tym, czego dziś oczekuję, jest to, że wreszcie powstanie zespół zajmujący się tym problemem i wypracuje rozwiązania, które zostaną przez rząd sfinansowane i wdrożone. Nie musi być duży, ale ważne, by byli w nim zarówno przedstawiciele rządu, jak i opozycji, organizacji pozarządowych, samorządy i naukowcy. Oni wszyscy muszą wspólnie spróbować stworzyć program budowy bezpieczeństwa klimatycznego do 2050 r.

A jeżeli ta władza zlekceważy zagrożenia i nie będzie podejmowała działań mających na celu adaptację Polski do skutków zmian klimatu, czyli zwiększenia bezpieczeństwa nas wszystkich, to zostanie odrzucona przez społeczeństwo. Dlatego myślę, że rządzący nawet we własnym interesie powinni potraktować problem poważniej, niż miało to miejsce dotąd.

Najsmutniejszą refleksją, jaką mam, patrząc teraz na skutki powodzi, jest myśl: a nie mówiłem? Przecież was przed tym od lat ostrzegaliśmy. Te tragedie i katastrofy, które już lata temu przewidywaliśmy, teraz dzieją się na naszych oczach.

© Rozmawiali AGATA KAŹMIERSKA i WOJCIECH BRZEZIŃSKI

REKLAMA

GRZEGORZ
TURNAU
TRASA XL
24.03.2025
TEATR WIELKI OPERA NARODOWA
W WARSZAWIE
BILETY: BILETSERWIS.PL
Koncert z okazji jubileuszu
40-lecia pracy twórczej Grzegorza Turnaua

Prestige 15 lat MJM
BILET SERWIS
TYGODNIK POWSZECHNY
onet
proart
VIXON
KAWAI

TOMASZ

Stawiszyński: *Kruchość i wspólnota*

Ulice zamienione w potoki. Wezbrane rzeki porywające samochody. Znikający w ich toniach dobytek. Tonący ludzie, tonące zwierzęta. Chaos, przerażenie, ale i wielka pomocowa mobilizacja.

To nie jest wysokobudżetowy film katastroficzny. To wdzierająca się w nasze życia – dosłownie: drzwiami i oknami, albo niedosłownie: ekranami i wyświetlaczami – rzeczywistość. I jeśli o czymś boleśnie przypomina, to z całą pewnością o dwóch sprawach.

Pierwsza to kruchość wszystkich tych fortyfikacji, które pracowicie wznosimy, żeby chronić się przed nieprzewidywalnością świata. Przed siłami rozpadu i zniszczenia nieodłącznie wpisanymi w porządek przyrody. Ślepymi i głuchymi na nasze aspiracje i potrzeby.

Druga to potęga wspólnoty, solidarności, współpracy. Jedyna bodaj zdolna przeciwstawić się tamtym, złowrogim potęgom. Stopniowo, krok po kroku, centymetr po centymetrze, razem, bo przecież z ruin nie sposób dźwigać się w pojedynkę.

Łatwo je zlekceważyć, łatwo o nich zapomnieć, kiedy się funkcjonuje w codzienności z pozoru oswojonej. Codzienności, w której rano wstaje słońce, a wieczorem zapada zmrok, pomiędzy nimi zaś rozgrywa się dobrze znany scenariusz: pobudka, praca, sprawy, troski, rozpacze, miłości, zaangażowania, choroby, śmierci, pobudka, praca, sprawy, troski... Nawet jeśli życiem realizującym się wedle tego planu wstrząsają od czasu do czasu jakieś zakłócenia, mieszczą się one – mniej lub bardziej – w tych znanych ramach. Tak sprawnie się mieszczą, tak naturalnie, że w pewnym momencie same ramy stają się niewidoczne. Zwłaszcza jeśli w tle pracuje powszechnie przyjmowana opowieść – że każdy z nas jest na świecie zdany wyłącznie na siebie. Że musi sam siebie wymyślić, zaprojektować i wdrożyć. A za wyniki tej operacji, zarówno pozytywne, jak i opłakane, odpowiada – jakżeby inaczej – również sam.

Ufając tej opowieści, biorąc ją za pewnik – łatwo się zapomnieć, wpaść w trans, stracić czujność. A zresztą, być może nie da się inaczej. Być może to jest właśnie największe osiągnięcie ludzkiej kultury, że doprowadziła do momentu, w którym byliśmy w stanie, przynajmniej niektórzy z nas, przynajmniej na stosunkowo niewielkim obszarze geograficznym, zająć się innymi sprawami niż tylko nieustannym obawianiem się, lękaniem, wznoszeniem fortyfikacji.

Zdaje się jednak, że czas tego zapomnienia, tej stabilności, odchodzi powoli w przeszłość. Przyroda, która wszak nigdy nie przestała być drapieżna i nieprzewidywalna, staje się drapieżna i nieprzewidywalna w skali znacznie większej niż do tej pory. W czym, jak już wiemy, ma swój udział także cywilizacja, budowana przecież po to, paradoksalnie, żeby nas przed siłami przyrody zabezpieczać. Technologia – dzięki której byliśmy w stanie dotrzeć tam, gdzie byśmy w takim tempie nigdy nie dotarli, użyźnić ziemie, które nie dałyby nigdy plonów, zamieszkać tam, gdzie nigdy by się zamieszkać nie dało – przyczyniła się do intensyfikacji właśnie tego, przed czym miała chronić. W efekcie natura stopniowo wypada z tak dobrze nam (w tej szerokości geograficznej) znanej rytmiki: wiosna, lato, jesień, zima... A te nasze dotąd – lepiej lub gorzej – funkcjonalne, dostosowane do niej fortyfikacje okazują się coraz mniej odporne na jej coraz gwałtowniejsze kaprysy.

Do tego (choć to osobna kwestia) dochodzą jeszcze ciemne instynkty działające wewnątrz, w ludzkich duszach, umysłach, psychikach. Stosunkowo krótki – znowu: w tej szerokości geograficznej – czas spokoju, kiedy to wojny, łącznie z globalną, wydawały się już tylko niechlubną przeszłością, także na naszych oczach się kończy. I także przyczynia do coraz większego lęku i pomieszania.

Najłatwiej wtedy szukać winnych (lub winnego). To w jakimś sensie zrozumiała reakcja. Nie jest oczywiście tak, że nikt za to wszystko nie ponosi odpowiedzialności, choć jest ona znacznie bardziej rozproszona, niż nam to podpowiada nasze aktualne poczucie dezorientacji. Przerzucamy się więc oskarżeniami, teoriami spiskowymi, szukamy kozłów ofiarnych, komfortowo usadowieni w fotelach recenzujemy zaangażowanie tych, którzy ryzykują życie niosąc pomoc innym. Politycy oskarżają polityków – wszak każda katastrofa to świetny pretekst do podgrzewania polaryzacji – a w mediach społecznościowych trwa permanentna licytacja na to, kto jest lepszy, mądrzejszy i szlachetniejszy. Kto wcześniej ostrzegał, a kto ostrzeżenia ignorował. Kto rozumie i wie, a kto jest ignorantem i głupcem.

Nie zmienia to jednak faktu, że wobec tych masywnych zagrożeń, masywnych destabilizacji, ruchów tektonicznych chwiejących samą strukturą, samą ramą naszego świata – i dlatego tak przerażających – jesteśmy wszyscy w tym samym dokładnie położeniu. Wzajemne oskarżenia nic tutaj nie zmienią, pozwalają tylko na chwilę nie myśleć o tym, co naprawdę się dzieje, tylko na chwilę odwrócić od tego wzrok.

Tymczasem widać wyraźnie, że to każdego z nas, bez wyjątku, dotyczy. Kruchość ludzkich fortyfikacji wobec drapieżnej, nieprzewidywalnej przyrody oraz siła wspólnoty, solidarności, jedyna, dzięki której możemy razem stawić czoła zagrożeniu. Każdemu – nie tylko ze strony żywiołów. ©

Tomasz Stawiszyński jest filozofem i autorem podkastu „Skądinąd". Autor książek, m.in. „Potyczek z Freudem", „Ucieczki od bezradności" i „Reguł na czas chaosu".

WIARA

DOKTRYNA NIE ZWALNIA Z MYŚLENIA

Wydawałoby się, że dogmaty są jak skała. Tymczasem każde z dobrze nam znanych pojęć opisujących Trójcę Świętą było kiedyś potępione jako heretyckie.

JÓZEF MAJEWSKI

Dogmaty wiary od dawna nie mają łatwego życia. Czy może być inaczej w nowoczesnym świecie, w którym zacofanie, skostniałość, bezmyślność i bezkrytyczność kwituje się określeniami w rodzaju: „to dogmatyzm", „jesteś dogmatyczny"?

Ów radykalnie krytyczny osąd dogmatów zakorzenił się na Zachodzie tak głęboko, że w jednym z polskich słowników wyrazów obcych dogmat został zdefiniowany następująco: „zasada teologiczna (...), podana przez Kościół do wierzenia jako niewzruszona prawda, nie podlegająca krytyce ani dyskusji" – i jeszcze jest to: „twierdzenie przyjmowane bezkrytycznie za prawdę tylko na podstawie autorytetu, bez względu na zgodność z doświadczeniem i zdrowym rozsądkiem" (Władysław Kopaliński). A chociaż w takim definiowaniu można dostrzec cienie antychrześcijańskich ideologii, to jednak prawdą jest i to, że wielu ludzi Kościoła – biskupi, księża, katechetki i katecheci, teologowie i teolożki – wydatnie przyczyniło się do kulturowej, religijnej i duchowej degradacji dogmatów.

W ogniu sporów

Nie trzeba być wybitnym znawcą historii Kościoła, by wiedzieć, że były czasy, kiedy dogmaty, by tak rzec, odrzucały myślenie krytyczne, nie pozwalały na dyskusję, nie nadążały za życiem, zamieniały się w bat na inaczej myślących czy domagały się ślepego posłuszeństwa. Także dzisiaj właśnie tak jawią się one rzeszy ludzi.

Tymczasem historia dogmatów jest dużo bardziej złożona. Uczy, że ich natura jest zgoła odmienna: praktycznie wszystkie rodziły się w gorących debatach i sporach, w trybach krytycznego myślenia, w intelektualnych starciach nierzadko wybitnych umysłów. Wiele w dogmatach było subtelnych dystynkcji, zmian i dojrzewania, poszukiwania, ale też ograniczeń, pytań bez odpowiedzi i zwrotów akcji. Tak naprawdę dogmaty to „byty" żywe, zmieniające się w czasie ilościowo i jakościowo, niezastygające w swoim kształcie. One były i są w drodze – jak ludzie, dla których powstają.

Z ewolucją dogmatów jest podobnie jak z nowymi przekładami Biblii. Jeśli ma ona przemawiać zrozumiale, musi być nieustannie na nowo tłumaczona, musi zmieniać, czasami radykalnie, swój język, bo wersje wcześniejsze mogą być już nieczytelne. Ale kolejne przekłady starają się być też wierniejsze oryginałowi, lepiej oddawać jego sens, usuwać błędy, szlifować styl.

ART IMAGES / HERITAGE IMAGES / GETTY IMAGES

Sukienka ikony Trójcy Świętej autorstwa Andrieja Rublowa, ze zbiorów Ławry Troicko-Sergijewskiej w Rosji.

Co się stało z piątym przykazaniem

Problem w tym, że dla wielu ludzi Kościoła takie rozumienie dogmatu jako „bytu" podlegającego zmianom jest nie do przyjęcia, a wielu ludzi spoza Kościoła wygodnie, bezmyślnie czy bezkrytycznie powiela jego tradycyjne rozumienie. W oczach tych wiernych prawdziwa wiara – wyrażana w doktrynie Kościoła – nie może podlegać zmianom, musi pozostawać niezmienna. Tylko czy będąc taką, w istocie nie oddala się od życia ludzi, które przecież stale i wciąż się zmienia? Przypominają się lata 90. XX i początek XXI w. – i dyskusja, wręcz spór o przykazania kościelne, które dla wielu rzymskich katolików miały rangę dogmatów wiary, a nawet dorastały do wysokości przykazań Bożych.

W 1992 r. ukazał się nowy „Katechizm Kościoła katolickiego" (KKK), autorstwa zespołu biskupów i teologów na czele z kard. Josephem Ratzingerem, ówczesnym prefektem Kongregacji Nauki Wiary (KNW). Część wiernych z wielkim zdziwieniem i jeszcze większą dezaprobatą przecierała oczy, widząc, że jego autorzy mocno zmienili treść obowiązujących przykazań kościelnych. Czwarte (o komunii i spowiedzi) rozbito na dwa, zniknęło piąte, zabraniające urządzania hucznych zabaw w czasach zakazanych. Niektórym katolikom jakby grunt usunął się spod nóg.

Kilka lat później sprawę jeszcze bardziej zagmatwała sama KNW, watykańska strażniczka ortodoksji, która do nowej wersji przykazań kolejny raz wprowadziła zmiany (m.in. pojawiło się przykazanie dbania o potrzeby Kościoła). A oliwy do kościelnego ognia dolał episkopat Polski, który w 2001 r. zaprezentował wersję przykazań w części odmienną od watykańskiej i obowiązującą wyłącznie między Odrą i Bugiem. Okazało się, że w innych ↦

krajach można było przyjmować jeszcze inne wersje.

Mocno zakręciło się w niejednej katolickiej głowie. Jakże to – pytano – zmieniać, bez ostrzeżenia, i do tego tak często, coś, co jest niezmienne? Tymczasem KNW i biskupi wyraźnie pokazali, że przykazania kościelne z istoty nie są „bytami" niezmiennymi, bo wielokrotnie w historii Kościoła podlegały zmianom. Nie są jak przykazania Boże ani też nie mają rangi dogmatów wiary. Niektórzy jednak z co bardziej przywiązanych do tradycji wiernych trwożnie pytali, czy wraz ze zmianami przykazań kościelnych nie otwiera się droga do zmieniania samych dogmatów.

Niereformowalne

Na dowód, że dogmaty są niezmienne, mogli powołać się na naukę przynajmniej dwóch soborów powszechnych: trydenckiego (XVI w.) i watykańskiego I (XIX w.).

Ojcowie tego drugiego, wspierając się na fundamencie orzeczeń pierwszego, orzekli m.in.: „Nauka wiary, którą Bóg objawił, nie została bowiem podana jako wytwór filozofii, który dałby się udoskonalać mocą ludzkich umysłów, ale została przekazana Oblubienicy Chrystusa jako Boży depozyt, by go wiernie strzegła i nieomylnie wyjaśniała. Dlatego należy nieprzerwanie zachowywać takie znaczenie świętych dogmatów, jakie już raz określiła święta Matka Kościół, a od tego znaczenia nigdy nie można odejść pod pozorem lub w imię lepszego zrozumienia".

Wniosek: święte dogmaty wiary są *irreformabilis*, „niereformowalne", „niezmienialne".

Soborowy przełom

Dzięki Bogu w nauczaniu Soboru Watykańskiego I znalazły się także stwierdzenia, które po prawie stu latach pozwoliły Soborowi Watykańskiemu II (1962-1965) dokonać korekty jego nauczania o dogmatach.

Ten pierwszy w „Konstytucji dogmatycznej o wierze katolickiej" oznajmił zgodnie z wielką tradycją teologiczną: „Boże bowiem tajemnice, z samej natury swojej w tak wielkim stopniu wykraczają poza stworzony umysł, że (...) nadal są ukryte za zasłoną wiary i pozostają ogarnięte niejako mgłą, dopóki podczas tego śmiertelnego życia »pielgrzymujemy z dala od Pana, bowiem pielgrzymujemy w wierze, a nie w widzeniu«" (nr 46).

ART IMAGES / HERITAGE IMAGES / GETTY IMAGES

Z ewolucją dogmatów jest podobnie jak z nowymi przekładami Biblii.

Jeśli ma ona przemawiać zrozumiale, musi być nieustannie na nowo tłumaczona, musi zmieniać, czasami radykalnie, swój język.

Ojcowie Soboru Watykańskiego II, bazując na takim nauczaniu i odwołując się do historii doktryny Kościoła, sprowadzili dogmaty na ziemię, pokazując, że są one „bytami" żywymi, podlegającymi ewolucji. Zrobili to ostrożnie, ale wyraźnie, nawiązując do głośnych wówczas słów papieża Jana XXIII: „Czym innym jest sam depozyt, to znaczy same prawdy wiary, a czym innym sposób, w jaki są głoszone, choć takie samo jest ich znaczenie i ta sama zawarta w nich myśl".

Sobór poszedł jednak dalej: dostrzegając fakt, że współcześnie, inaczej niż w przeszłości, ludzkość stawia na poznanie dynamiczne i ewolucyjne, zachęcił teologów, by „nieustannie poszukiwali lepszego sposobu przekazywania doktryny chrześcijańskiej ludziom swoich czasów" („Konstytucja duszpasterska o Kościele", nr 5 i 62). Z kolei w kontekście ekumenicznym Sobór nauczał o uprawnionej różnorodności dogmatycznej w różnych Kościołach: „Przekazana zaś przez Apostołów spuścizna została przyjęta w różnej postaci i w różny sposób i dlatego od zarania Kościoła tu i tam różnie ją wyjaśniano, biorąc pod uwagę różnice mentalności i warunków życia. (...) Nic więc dziwnego, że niektóre aspekty objawionej tajemnicy bywają czasem stosowniej ujmowane i jaśniej przedstawiane u jednych niż u drugich" („Dekret o ekumenizmie", nr 14 i 17). Jak na tamte czasy stwierdzenia te oznaczały prawdziwą rewolucję w nauczaniu o dogmatach.

Psuje się jak manna

Krok dalej w 1973 r. poszła KNW w dokumencie „Mysterium Ecclesiae". Czytamy w nim, że prawda dogmatu najpierw zostaje sformułowana „w sposób niepełny, chociaż nigdy nie błędny", a po jakimś czasie „otrzymuje pełniejsze i doskonalsze wyrażenie". Deklaracja przyjmuje, że język dogmatów nie jest ponadczasowy i uniwersalny, ale należy do kultur konkretnych czasów, a nawet konkretnych szkół teologicznych, odzwierciedlając tym samym partykularne sposoby myślenia, czego nie można pomijać w interpretacji i wykładzie dogmatów. Oznacza to, że ludzie różnych czasów czy różnych miejsc na ziemi mogą potrzebować różnych sformułowań tych samych dogmatów, wyrażonych w języku swoich kultur, z uwzględnieniem ich sposobów myślenia czy ich szkół teologicznych.

Istotne aspekty stanowiska Soboru Watykańskiego II i „Mysterium Ecclesiae" dobrze uchwycił jezuita Karl Rahner, jeden z najwybitniejszych teologów XX w. i doradca biskupów na Vaticanum II: „Myślenie wcześniejszych pokoleń (nawet wówczas, gdy doszłyby one do wyników w formie soborowych definicji [dogmatów wiary]) nigdy nie jest miejscem odpoczynku dla myślenia późniejszych pokoleń. Definicje [dogmatyczne] są nie tyle końcem, ile początkiem, pewnego rodzaju *hic Rhodus*, otwarciem. Nic z tego, co zostało rzeczywiście wywal-

czone, nie zatraca się w Kościele. Nic jednak nie oszczędza teologom natychmiastowej dalszej pracy. To, co jest tylko nagromadzone, tylko przekazane bez nowego, własnego wysiłku (i to *ab ovo*, ze źródła Objawienia) – psuje się jak manna. Im dłużej żywa Tradycja jest przerywana przez mechaniczne przekazywanie, tym trudniej do niej nawiązać".

Co znaczy obcować

Jest dla mnie oczywiste, że podobnie sprawę zmienności dogmatów i w ogóle ewolucji doktryny widzi inny jezuita – papież Franciszek. Z tej racji jest zresztą ostro krytykowany przez liczne grono biskupów, nawet przystrojonych w kardynalskie szaty, księży i świeckich, potępiających jego decyzje dotyczące drogi synodalnej, katolików rozwiedzionych czy osób LGBT. Historia dogmatów stoi jednak po stronie biskupa Rzymu. Oto kilka przykładów ich ewolucji.

Zacznijmy od dogmatu o „obcowaniu świętych" (gr. *koinonia ton hagion*, łac. *communicatio sanctorum*), który – jak spora liczba innych dogmatów – znalazł się już w starożytnych wyznaniach wiary. Historyczne zmiany w jego formule i rozumieniu nie wiązały się z wielkimi debatami czy sporami, z koniecznością zwołania soboru czy specjalnym wystąpieniem papieża, z rzucaniem anatem, ale jednak klarownie ukazują sedno tego, o co tu chodzi.

W Symbolu Apostolskim wyznajemy wiarę w „świętych obcowanie", czyli – w języku bardziej współczesnym – „wspólnotę świętych". Wypowiadając te słowa, zwykle mamy na myśli, jak się zdaje – po pierwsze – świętych w niebie, których dusze zostały już przyjęte łaskawie do wieczności Boga, oraz – po drugie – żywą więź Kościoła pielgrzymującego na ziemi z Kościołem niebieskim, wspólnotą zbawionych w niebie...

Obawiam się, że gdybyśmy takie znaczenie tego dogmatu zaprezentowali starożytnym wyznawcom Chrystusa, to zostalibyśmy uznani za heretyków. Chrześcijanie pierwszych wieków w *communio sanctorum* nie widzieli zmarłych w niebie, ale wyłącznie... Eucharystię. „Nazywa się jeszcze Eucharystię rzeczami świętymi (gr. *ta hagia*, łac. *sancta*) i jest to pierwotne znaczenie »komunii świętych« (świętych obcowania), o której mówi Symbol Apostolski" (KKK, nr 1331). „Święte" z wyznania wiary to nie „mieszkańcy nieba", ale „święte rzeczy", „święte dary" liturgii eucharystycznej: Chleb i Wino, realne symbole Chrystusa, ukrzyżowanego i wskrzeszonego, Świętego, który prawdziwie jest obecny w eucharystycznej wspólnocie wierzących i ich uświęca, zatem „świętymi" są także przystępujący do komunii.

Tymczasem takie pierwotne rozumienie dogmatu o „obcowaniu świętych" w którymś momencie historii Kościoła najpierw przycichło, potem zeszło na dalszy plan, a z czasem praktycznie poszło w zapomnienie. Sam dogmat jednak nie umarł, ale w nowych zmieniających się okolicznościach i kontekstach historycznych zaczął zdobywać nieznane wcześniej znaczenia, a także formuły („komunia świętych", „wspólnota świętych", miast „obcowania").

Heretycki czy nie

O Chrystusa chodzi także w kolejnym przykładzie ewolucji dogmatów. Chrześcijanie starożytni szybko stanęli przed pytaniem o stosunek Chrystusa, nazywanego Synem Bożym, do Boga Ojca. Po rozlicznych debatach doszli do wniosku, że skoro w Chrystusie dokonało się prawdziwe zbawienie – które nie może być dziełem człowieka, lecz wyłącznie Boga – to trzeba przyjąć w wierze, że Chrystus jest Bogiem.

Ale jak wierzyć w Jego bóstwo, nie zdradzając wiary w jednego jedynego Boga, co było przecież absolutnie oczywiste? Jedni proponowali zatem, by do Obu odnosić grecki termin *homoousios* – „jednej istoty", „jednej natury": Ojciec i Syn są jednej istoty, są współistotni. Tą koncepcją w 268 r. zajął się synod w Antiochii, który ostatecznie potępił ten termin, mając go za heretycki. Tymczasem 50 lat później synod w Nicei (z uwagi na jego wielkie znaczenie nazywany soborem) przywrócił do łask ów potępiony termin. To, co heretyckie, teraz okazało się ortodoksyjne i szybko odniesione nie tylko do Boga Ojca i Syna Bożego, ale także do Ducha Świętego, którzy są jednej natury, współistotni.

Podobnie miały się rzeczy z innym terminem, który chrześcijanie dodali do *homoousios*, by dogmatycznie wyrazić wiarę w Trójcę Świętą – gr. *prosopon*, łac. *persona* – „osoba": Bóg Ojciec, Syn Boży i Duch Święty, trzy Osoby jednej natury, współistotne. Nieco wcześniej jednak termin *prosopon* został oficjalnie uznany za heretycki – i z miejsca potępiony, ale w końcu, po ogromnej pracy intelektualno-duchowej, gorących debatach i subtelnej korekcie jego znaczenia, przyjęto go w poczet świętych pojęć.

Ukrzyżowanie potępienia

W ten sposób wyznawcy Chrystusa mogli sformułować dogmat o Trójcy Świętej, udanie wyrażający absolutną specyfikę chrześcijańskiego pojmowania Boga, ale także oferujący światu nieznane wcześniej pojęcie osoby – osoby ludzkiej i jej niezbywalnej godności (tak, antropologiczny fundament cywilizacji Zachodu jest dogmatyczny!).

Mając to wszystko na względzie Joseph Ratzinger, jeszcze jako zwykły ksiądz, we „Wprowadzeniu w chrześcijaństwo", jednej z najważniejszych książek teologicznych XX w., tak ujął sprawę głębi zmian, którym podlegał dogmat o Trójcy Świętej: „Każde z wielkich podstawowych pojęć nauki o Trójcy Świętej zostało kiedyś potępione; wszystkie te pojęcia zostały przyjęte jedynie poprzez to ukrzyżowanie potępienia; mają one znaczenie jedynie, gdy równocześnie są uznane za bezużyteczne i tak, jako nieudolne bełkotanie – i nic ponadto – zostają dopuszczone. Pojęcie *persona* (*prosopon*) zostało (...) niegdyś potępione; najważniejsze wyrażenie *homoousios* (wspólnej z Ojcem natury), będące w IV wieku sztandarem ortodoksji, było w III wieku potępione; pojęcie pochodzenia [»Wierzę w Ducha Świętego, który od Ojca i Syna pochodzi« – JM] też ma za sobą potępienie, i tak można by jeszcze dalej to wyliczać".

Bez przesady

Historia dogmatów uczy, że one ewoluują, podlegają zmianom, zarówno uprawnionym, jak i nieuprawnionym. Z uwagi na tę podwójną możliwość historia Kościoła pełna jest różnego rodzaju potępień – np. tych, które potępiały konkretne poglądy uznane za heretyckie, ale także tych, które potępiały potępienia poglądów za heretyckie uznanych.

Z takiego kształtu historii dogmatów zdaje się płynąć przynajmniej jedna ważna lekcja: w Kościele nie ma co przesadzać z potępieniami, wszak same potępienia także mogą być potępione.

© JÓZEF MAJEWSKI

Wybitny i wybitnie inny

JAN OPIELKA

Aż trudno uwierzyć, że Nick Cave recytujący dziś psalmy to ten sam artysta, który uchodził za jedną z twarzy postpunka i gothic rocka. Anarchista zżerający swój mikrofon wzywa dziś z radością Pana.

Odkąd jako nastolatek zaczyna śpiewać w chórze, uczęszcza również na msze Kościoła anglikańskiego. Zmaga się ze sobą i z Bogiem. Czuje – jak mówi potem w wywiadach – „rosnące zainteresowanie brutalną literaturą, połączone z nienazwanym poczuciem boskości w rzeczach". Stary Testament przemawia do niego, kiedy „wścieka się, syczy i pluje na świat".

Później – już jako dorosły artysta – skieruje się ku Nowemu Testamentowi, czerpiąc z biblijnych motywów i ich symboliki, jak choćby na płycie „The Boatman's Call" (1997). „Kościół jest podobny do mojego życia duchowego – powie. – Kiedyś znajdowałem w nim powody, by nie wierzyć. Teraz znajduję powody, które są nieco bardziej przekonujące".

OGŁOSZENIE

Zapraszamy na spotkanie Klubów „Tygodnika Powszechnego"

REZERWUJ CZAS!

GRUDZIĄDZ,
piątek, 27 września godz. 18.00, wykład otwarty profesor Barbary Płytycz „Biologiczne podłoże niebinarności płci", Spichlerz 57

ZESKANUJ I SPRAWDŹ

więcej informacji na **KlubTygodnika.pl/wydarzenia**

KLUB TP KLUBTYGODNIKA.PL

jt STOWARZYSZENIE IM. JERZEGO TUROWICZA

Ku światu

To już prawie dziesięć lat: w roku 2015 nastoletni syn Nicka Cave'a, Arthur, ginie w tragicznym wypadku. Rok później ta przedwczesna śmierć znajduje wyraz na płycie „The Skeleton Tree", a w niektórych jej utworach, jak „Jesus Alone" czy „Girl In Amber", Cave wyjawia swój ból i niepokojące poczucie roztrzęsienia. Koncerty artysty z tego okresu wypełnione są wyłącznie muzyką, Cave śpiewający przy fortepianie nie chce mówić o śmierci syna. Z czasem to się zmienia.

„Gdy doznajemy takich tragedii – mówi dziś – musimy podjąć decyzję. Mamy wybór: pojawia się pragnienie, aby zwrócić się do wewnątrz, zawijać wokół nieobecności osoby, którą utraciliśmy, tak, jakby była w tym zwijaniu się jakaś szlachetność. Myślę jednak, że to błąd, że musimy raczej zwrócić się na zewnątrz, ku światu, zrozumieć, że jesteśmy jego częścią, i że jest on pełen ludzi, którzy coś utracili".

To, co następuje po tej decyzji, znajduje po raz pierwszy wyraz na płycie „Ghosteen" z 2019 r., przez wielu uznanej za arcydzieło. W 2021 r. ta krucha, doniosła subtelność znów zamienia się jednak w gniewne, głośne brzmienie płyty „Carnage", nagranej wspólnie z multiinstrumentalistą Warrenem Ellisem, szalejącym na koncertach ze skrzypcami lub małym syntezatorem. Jednym z najbardziej wyrazistych kawałków płyty jest utwór „White Elephant" – niepokojący, obsesyjny, kipiący językiem gwałtu i brutalności, nagle przechodzący w gospel.

W maju 2022 r. Cave doznaje kolejnego ciosu – w wieku 30 lat umiera jego najstarszy syn Jethro. Kilka miesięcy później muzyk, tym razem solo, wydaje krótki, recytacyjny album „Seven Psalms" – osobiste modlitwy z subtelnym ambientem w tle, wyrażające nie tylko uczucia związane ze śmiercią drugiego syna, ale religijność artysty jako taką – w nowej odsłonie.

Są na tej płycie psalmy lamentu, pochwały, mądrości, prośby i dziękczynienia. Cave poszerza ten wachlarz o próbę zmierzenia się z winą i niegodziwością. W utworze „Zmiłuj się nade mną" („Have Mercy on Me") minorowe akordy towarzyszą opisowi naprawdę strasznych czynów, a śpiewak prosi o łaskę: „Zjadłem dzieci i zrzuciłem ogień na starców. Zrzuciłem noworodki martwe na skały. Nękałem miasta, wyrzucałem rodziny na mróz. I cofnąłem wszystkie postępujące zegary". Całość kończy się wyznaniem: „Bez tchu, ale do Ciebie".

Aż trudno uwierzyć, że Nick Cave recytujący psalmy to ten sam artysta, który w latach 70. i 80. uchodził za jedną z twarzy ostrego postpunka, mrocznego gothic rocka, konfrontatywnych, przepełnionych agresją występów na żywo. Ten sam, który przez wiele lat uzależniony był od heroiny, uwolnienie od której dobitnie dokumentuje płyta „No More Shall We Part" (2001). I ten sam, który do dziś na koncertach z The Bad Seeds na całym świecie – w Polsce gościł ostatnio w zeszłym roku, zobaczymy go tutaj znów w październiku – gra stare utwory, krzycząc do mikrofonu, przewracając statywy i dając upust wewnętrznej agresji. Tak, człowiek nosi w sobie wszystko, zarówno zło, jak i miłość – istotna część twórczości Cave'a zdaje się ciągłą reinterpretacją tego przekonania.

Ku radości

Wraz z nową płytą „Wild God", wydaną na koniec wakacji, następuje nowy czas miłości, albo raczej: radości z niej. Już otwierająca płytę piosenka „Song Of The Lake" jest nietypowa jak na dotychczasowe albumy Cave'a – jasna, pogodna, beztroska. W utworze „Frogs" historia Kaina i Abla w zaskakujący sposób łączy się z zachwytem nad istnieniem żaby, którą artysta dostrzega, wracając z żoną z kościoła. Tą piosenką Cave rozpoczął ponoć pracę nad płytą i to ona, jak mówi, „nadała ton obrazom i tematom, które nastąpiły później". Jakie to obrazy? Na przykład takie, w których „dzieci w niebiosach skaczą z radości, skaczą z miłości i otwierają niebo powyżej (...) Jest niedzielny poranek, a ja trzymam cię za rękę".

Co prawda i na wielu wcześniejszych płytach Cave'a znajdziemy kawałki o radości i nadziei, jednak różnica pomię-

ASH KNOTEK / REX FEATURES / EAST NEWS

Koncert Nicka Cave'a w Londynie, 22 sierpnia 2022 r.

dzy nimi a „Wild God" jest taka, że tu nie mamy już żadnych zmagań ani walki. Wszelkie cierpienie zostaje wchłonięte przez coś większego, wybrzmiewa już tylko w dziecięcym niemal zachwycie. „Joy", czyli radość, to coś zupełnie innego niż przyjemność, cieszenie się z czegoś poszczególnego. To, w odsłonie muzyki Cave'a, bycie całościowe, wszechogarniające. Ot, taka Cave'owska „Hallelujah" – brak słów wobec piękna bytu.

Ale „Joy" to także wyraz poddania się po „preludium cierpienia", prośba o łaskę. W jednym z wywiadów towarzyszących premierze „Wild God" Cave mówi, że muzyka jest dla niego „jedną z ostatnich uzasadnionych możliwości doświadczania transcendencji". Mając tę wypowiedź z tyłu głowy, warto wsłuchać się np. w świetne „Long Dark Night".

Ku innym

Tak jak Cave na swoich koncertach sprawia wrażenie, że chciałby, by słuchacze i słuchaczki wykorzystali wspólny wieczór dla przeżycia *katharsis*, tak dziesiątki jego piosenek są zaproszeniem do wewnętrznej kontemplacji, medytacji i modlitwy. „Nie musisz modlić się do nikogo szczególnego. Modlitwa wypływająca z niewiary także jest wartościowa, ponieważ jest spotkaniem z samym sobą", pisze Cave na swoim blogu The Red Hand Files, na którym od sześciu lat koresponduje z fanami.

Ten rodzaj komunikacji, jak opowiada, stał się dla niego tak istotny, że spędza dwa dni w tygodniu, aby czytać wszystkie listy – dotychczas blisko 100 tysięcy – i odpowiadać na wybrane. „Red Hand Files stało się filarem. Czuję się nierozerwalnie związany z ludźmi" – mówi. Rzeczywiście: nazwa bloga, nawiązująca do jednego z ikonicznych utworów artysty, „Red Right Hand", jawi się jako medium społecznościowe w najlepszym możliwym wydaniu.

Siła twórczości Cave'a i fakt, że swoim momentami kaznodziejskim przekazem trafia do milionów młodych, niekoniecznie religijnych ludzi, ma swe źródła także w tym, że ten charyzmatyczny „kaznodzieja" jest jednocześnie po prostu *cool*. Koncerty Cave'a przypominają niemal msze, ale nie te w tradycyjnie katolickim wydaniu, tylko bardziej nabożeństwa znane z kościołów czarnych społeczności w USA, gdzie ekstaza przeżywana jest także we wspólnym, namiętnym śpiewaniu i tańcu.

Jednocześnie w jego występach jest jakaś archaiczna siła, dziedzictwo punkowych lat z The Birthday Party. Ich nagrania koncertowe prowokują pytania o to, czy tamten anarchista zżerający swój mikrofon to naprawdę ten sam gość wzywający dziś z radością Pana. Dziennikarka Ann Powers zasugerowała nawet, że „Cave to jakiś święty". Cóż, wśród jego wyznawców nie jest to bynajmniej rzadkie przekonanie. ©

Zespół wystąpi 10 października 2024 r. w łódzkiej Atlas Arenie oraz 11 października 2024 r. w Tauron Arenie Kraków.

Krew i ziemia

MARIUSZ GOGÓL

Przeprowadzone ostatnio analizy krwi i materiałów ziemistych podważają popularną hipotezę, że Całun Turyński jest średniowiecznym fałszerstwem.

MARCO MEROLA / LOOS SCIENCE / EAST NEWS

Profesor Giulio Fanti z Uniwersytetu w Padwie z kopią Całunu. Włochy, 2010 r.

Wizerunek ma formę negatywu, dla nieprzyzwyczajonego oka trudnego do zinterpretowania. Faktyczny wygląd twarzy uwiecznionej na materiale zobaczył dopiero w 1898 r. Secondo Pia – fotograf amator, który wieczorową porą wykonał zdjęcia płótna w katedrze, gdzie było przechowywane. Gdy podczas wywołania fotografii zobaczył wizerunek postaci, na chwilę przestało mu bić serce – wspominał.

Obraz tortur

Można powiedzieć, że Pia wykonał pierwsze amatorskie badanie całunu. Jego dalsze analizy, rozpatrujące kwestie anatomiczne uwidocznionej na nim postaci, ułożenie ran, śladów krwi, biczowania, w opinii wielu dawały argumenty, że człowiek, który został w to płótno zawinięty, faktycznie konał w cierpieniach.

Analizy fotografii całunu w kolejnych latach wykazały, że umęczony mężczyzna doznał ponad 600 ran i urazów; co najmniej 70 głębokich ran znajdowało się w obrębie głowy. Spuchnięty policzek, wyrwana część brody i wąsów w okolicach ust to tylko niektóre ze szczegółów, które można także zauważyć. Sto widocznych na ciele śladów pochodziło od biczowania. Rany, które skrupulatnie zbadali biegli medycyny sądowej, krwawiły zgodnie z krzywiznami ciała.

W 1973 r. naukowcy mogli wreszcie pobrać niewielkie próbki płótna do badań instrumentalnych, które mogłyby potwierdzić ewentualne fałszerstwo lub mu zaprzeczyć. Dostrzeżone ślady krwi zostały zbadane kilka lat później. Badanie miało na celu udzielenie odpowiedzi na kilka pytań: Czy jest to faktycznie krew, a jeśli tak, czy należała do człowieka? Jaka jest grupa krwi i jej skład chemiczny? Czy można znaleźć różnice między krwią wypływającą z żywego ciała a tą pośmiertną?

Autentyczność krwi potwierdzano parokrotnie. Znajdowano cząsteczki świadczące o obecności zarówno czerwonych krwinek, jak i osocza, w którym krwinki są zawieszone. Naukowcy potwierdzili obecność m.in. żelaza znajdującego się w cząsteczce wiążącej we krwi tlen, jedno z najczęstszych białek znajdowanych we krwi, a nawet przeciwciał. Już w 1982 r. Pierluigi Baima Bollone wraz ze współpracownikami potwierdził, że krew należy do grupy AB. Trzy lata później znaleziono w niej tzw. antygen S charakterystyczny tylko dla człowieka. Odróżniono też krew żylną od tętniczej.

Dwa rodzaje krwi

Najnowsze badania prof. Giulio Fantiego z Uniwersytetu w Padwie mogą wzmocnić argumenty na rzecz autentyczności całunu. Część z odkryć dotyczy odnalezionej na płótnie krwi. Do pracy, którą opublikował w „Archives of Hematology Case Reports and Reviews", użyto tych samych skrawków, które pobrano przed 50 laty. Przy pomocy nowoczesnych technik naukowiec odnalazł cząsteczki krwi. Dostrzegł hemoglobinę, czyli molekuły znajdujące się w przenoszących tlen czerwonych krwinkach. Wyróżnił też dwa rodzaje krwi, które pokryły włókna całunu. Pierwsza skrzepła przed śmiercią. Mogło to się stać w trakcie drogi krzyżowej albo podczas męki.

Można było w niej zauważyć cząsteczki kreatyniny, co wiązało się z przeżytymi torturami oraz najprawdopodobniej zaburzoną pracą nerek. Widoczne były znaki zespołu mocznicowego. Ten stan zwykle spotykany jest w chorobach tego narządu, ale niewydolność mogła wynikać również z ich uszkodzenia, np. podczas biczowania.

Drugi z rodzajów to krew pośmiertna, której skład sugeruje znaczne problemy oddechowe. Pokrywa się to z wiedzą na temat śmierci krzyżowej, która wynikała z uduszenia.

Czas i miejsce

Badacze próbowali przez lata ustalić także inne parametry całunu. Jedną z głośniejszych była analiza radioizotopowa przeprowadzona w 1988 r., która miała dać odpowiedź na pytanie o wiek płótna. Według niej całun miałby pochodzić z lat 1260-1390, co skłoniło część badaczy do uznania, iż wizerunek na płótnie jest dziełem średniowiecznego fałszerza. Kard. Anastasio Ballestrero, opiekun całunu, podając wyniki analizy stwierdził, że jest on ikoną, i jako taki posiada swoją niewątpliwą autentyczność. Było to równoznaczne z przyznaniem, że płótno nie jest relikwią.

Z czasem pojawiły się jednak głosy, że pobrany na potrzeby datowania skrawek płótna mógł być zanieczyszczony. Późniejsze analizy starzenia włókien celulozy sugerowały, że całun rzeczywiście mógł powstać w I wieku naszej ery. Niedawne badania prof. Fantiego co prawda nie rozstrzygają tego sporu (by to zrobić, należałoby powtórzyć badania radioizotopowe, wykorzystując w nich nowy fragment całunu), ale pomagają uściślić potencjalną lokalizację miejsca pochodzenia płótna i pochówku. Naukowcy wskazali, że całun zawierał śladowe ilości gliny oraz wapieni. Ten obraz pasuje do skalnego grobu, w którym Jezus miał zostać złożony w Jerozolimie.

Badania naukowe nigdy nie będą w stanie wypowiedzieć się ze stuprocentową pewnością co do pochodzenia całunu. Jednak analizy prof. Fantiego są kolejnym krokiem w kierunku potwierdzenia, iż na płótnie zachowały się prawdziwe ślady umęczonego człowieka, i wsparcia wiary tych, którzy widzą w nim Chrystusa. ©

caritas

Pomóżmy razem powodzianom!

Fot. Sergei GAPON / AFP

Powódź, która nawiedziła południowe regiony Polski pozostawiła po sobie ogrom zniszczeń. Zalane wsie i miasta, zniszczone mosty, domy, a także tragiczne ofiary śmiertelne, to rzeczywistość, z którą zmagają się tysiące osób. Wiele rodzin zostało odciętych od świata, pozbawionych dostępu do podstawowych dóbr, a ich domy zostały zrujnowane.

Caritas Polska nie pozostaje obojętna wobec tego nieszczęścia. Organizujemy wsparcie dla poszkodowanych, wysyłając transporty z żywnością, wodą, środkami higienicznymi oraz sprzętem niezbędnym do walki ze skutkami powodzi. Jednak potrzebujemy Waszej pomocy! Każda złotówka jest na wagę złota, a zebrane środki zostaną przeznaczone na dalsze działania ratunkowe i pomoc długofalową, w tym odbudowę zniszczonych domów i wsparcie dla rodzin, które straciły wszystko. Pomóżcie nam przywrócić nadzieję tym, którzy teraz jej najbardziej potrzebują. Wspólnie możemy zdziałać więcej!

dokonaj wpłaty na stronie **caritas.pl/powodz**

wpłać dowolną kwotę na konto **PL 77 1160 2202 0000 0000 3436 4384** z dopiskiem: **POWODZ**

blik

zrób przelew **BLIK** na telefon **+48 668 07 00 00** o tytule: **POWODZ**

REKLAMA

Wybierz swoją prenumeratę

TYGODNIK POWSZECHNY

JAK ZAMÓWIĆ PRENUMERATĘ PAPIEROWĄ:

- przez internet na **TygodnikPowszechny.pl/sklep**
- wpłacając na konto: Tygodnik Powszechny
  ul. Dworska 1C/LU 3-4, 30-314 Kraków
  Nr konta Bank Pekao SA
  49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Pełna oferta na prenumeratę Tygodnika:
TygodnikPowszechny.pl/sklep

Masz pytania? Zadzwoń lub napisz!

W sprawie prenumeraty papierowej pomocy udziela Agnieszka Dyrcz w godz. 11.00–15.00 pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail:
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

W sprawie zakupu prenumeraty papierowej przez internet pomocy udziela Mateusz Chmielowski w godz. 11.00–15.00 pod nr. tel. 660 692 099 lub adresem e-mail:
kontakt@TygodnikPowszechny.pl

RODZAJ PRENUMERATY PAPIEROWEJ	CENA	
	Z WYSYŁKĄ EKONOMICZNĄ	Z WYSYŁKĄ PRIORYTETOWĄ
Kwartał – 12 wydań	160 zł	200 zł
Rok – 52 wydania	550 zł	680 zł
Rok – 52 wydania w ofercie POKOLENIA	480 zł	
4 Wydania Specjalne (kwartalniki)	100 zł	
Rok – 52 wydania + Wydania Specjalne	640 zł	770 zł
Rok – 52 wydania + Wydania Specjalne w ofercie POKOLENIA*	570 zł	

* POKOLENIA – oferta dla studentów, seniorów i posiadaczy Karty Dużej Rodziny

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

PARTNER MARKETINGOWY SALESmanago marketing automation

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TYGODNIK POWSZECHNY

KS. ADAM BONIECKI: „TESTAMENT"

„Bądźmy wdzięczni. Dziękujmy. Warto sobie uświadomić, że jest za co"– tymi słowami ks. Adam Boniecki rozpoczyna czytany przez siebie audiobook i samą książkę.

Kończy zaś... życzeniami: „Życzę też, byśmy nie byli ponurakami. Zmartwychwstanie jest obietnicą przyszłej nieśmiertelności, więc na wszystko możemy patrzeć w perspektywie wieczności! Alleluja!"

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

ZUZANNA

Radzik:
W miastach z betonu

Dziesięć lat temu mogło się wydawać, że odruch chodzenia zacienioną stroną ulicy jest dziwnym nabytkiem paru lat spędzonych na Bliskim Wschodzie. W dodatku zdawał się zupełnie nieprzydatny w Europie, gdzie wciąż tęsknie wyglądano słońca. Jednak tego lata, czy przechodziłam przez duże warszawskie skrzyżowania, czy tłoczyłam się z innymi turystami w cieniu budynku po jednej stronie ulicy, unikając tej rozpalonej słońcem, pulsowała mi w głowie myśl: to, że nasze miasta są z kamienia i betonu, jest coraz większym problemem. Zwłaszcza gdy nastało u nas to obce, prażące słońce. Nie stąd wzięte. Jak z tym betonem iść w rozgrzaną katastrofą klimatyczną przyszłość? Jak poradzić sobie z potężnymi opadami, również nietutejszymi, tylko z tego nowego katastroficznego świata, w którym zwykła lipcowa burza zmienia się w rwące potoki, a one, płynąc asfaltem, nabierają mocy porywania aut i zalewania tramwajów?

Miasto z betonu i kamienia, niby eleganckie i pomagające w utrzymaniu czystości w takie lato, jak ostatnio, staje się naszym wrogiem. Drzewa okazują się być na wagę złota i robią różnicę. Przypominam sobie o tym zawsze, wychodząc w upalne dni z kościoła położonego obok głównego śródmiejskiego deptaku Brukseli. Ten był do niedawna zwykłą, ruchliwą ulicą, ale kilka lat temu w ramach nowej polityki miejskiej wypierania ruchu samochodowego z centrum zamknięto go dla aut, zostawiając pieszym, rowerom i (niestety) hulajnogom. Zasadzono też krzewy, kwiaty i drzewa, które, gdy się tu przeprowadzałam trzy lata temu, wciąż rosły nieśmiało osłaniane płotkami. Wyglądało to nędznie.

Dziś, chroniąc się pod tymi drzewami, próbuję sobie przypomnieć, czy wtedy już dawały tyle oddechu i cienia. Odcinek, na którym po obu stronach rosną gęstym, choć wciąż niskim szpalerem, daje zaskakującą ulgę, a ta część deptaka, którą otulają krzaki i kwiaty wśród drzew, jest wręcz oazą. Niby to wiem, a za każdym razem cieszę się zaskoczeniem, że zieleń aż taką przynosi ulgę.

Ostatecznie gra idzie nie o estetykę, ale o to, by miasta nadawały się do życia. Stąd sympatię budzą takie działania, jak sąsiedzkie zrywanie płyt chodnikowych, by zasadzić w ich miejsce kwiaty, które pamiętam z Pragi Północ. Albo organizacja Depave działająca w amerykańskim Portland, która likwiduje bruki i rozbija beton (jak sama jej nazwa wskazuje) na parkingach czy szkolnych boiskach, a lokalizacji dla swoich akcji szuka zwłaszcza w biednych dzielnicach, gdzie betonu jest nieproporcjonalnie dużo.

W Szkocji z kolei podobny ruch odbywa się nie tyle z powodu gorąca, co z potrzeby zatrzymywania wody przez miasto, by nie gromadziła się z niszczycielską siłą w czasie gwałtownych opadów, tylko wsiąkała jak w gąbkę w małe zieleńce, deszczowe ogrody i przemyślaną zieloną architekturę miasta. Zresztą, jest to temat, o którym rozmawia się i w polskich miastach, nękanych nawałnicami i podtopieniami, czy teraz, przy powodzi, zwracając uwagę na retencję lasów i nieregulowanych rzek. Wszystko razem każe myśleć, że czeka nas rewolucyjne przekształcanie krajobrazu z powrotem w bardziej dziki, by stał się dla nas bezpieczniejszy.

Spory o to, jak sprawić, by miasto nadawało się do życia, potrafią dzielić mocno, bo dotyczą tego, co bliskie. Ale też codziennego komfortu, nawyków i zgody na drobną niewygodę. I tak po wiosennych wyborach Bruksela wciąż nie ma ukonstytuowanych nowych władz, bo nastąpił paraliż między zwycięskimi partiami. Spór w wyborach ogniskował się wokół tematu samochodów. Frankofońscy konserwatyści zbudowali całą kampanię na sprzeciwie wobec miejskiej polityki Good Move, która wypycha samochody z centrum i poszerza zasięg strefy niskiej emisji, ulice zamienia w deptaki, a dawne parkingi w zielone place. Ich lider nawet nie mieszka w Brukseli, ale zdanie na temat miasta i samochodów ma wyrobione (a w wolnym czasie jeździ ponoć autami rajdowymi). Sprzeciw wobec nowej zielonej polityki przyniósł im wygraną w wyborach, radykalnie osłabił frankofońskich zielonych i tylko ich flamandzcy odpowiednicy wypadli nieźle i bronią obranego kursu.

Brukselski koalicyjny paraliż to skromny przykład, ale przypominający, jak kluczowe są miejskie rozwiązania. W nieodległej Gandawie polityka radykalnego wypychania samochodów z centrum sprawiła, że odpowiedzialny za nią wiceburmistrz otrzymywał groźby śmierci i przez jakiś czas był objęty ochroną.

Być może niewiele jest dziś ważniejszych tematów w miastach niż beton, samochody i zieleń. Pytanie o to, co z nimi zrobimy, czas traktować śmiertelnie poważnie. ©

Zuzanna Radzik jest teolożką i działaczką społeczną zajmującą się dialogiem chrześcijańsko-żydowskim. Autorka „Kościoła kobiet”.

ZAUFANIE W SKRAJNYCH CZASACH

W czeskim społeczeństwie od dawna spada poziom ufności do instytucji, polityków, ekspertów, wreszcie do faktów. Teraz, w chwili kryzysu, obywatele zaufali. To kolosalna zmiana.

TOMASZ MAĆKOWIAK

Gdyby w nieszczęściu, jakim są powodzie, szukać czegoś pozytywnego, to dobra wiadomość jest taka: w czasach fake newsów, teorii spiskowych i katastrofalnego braku zaufania do naukowców oraz polityków – tym razem wygrał rozum. Ludzie posłuchali ekspertów i liderów, a nie szarlatanów. Zbiorowa mobilizacja pozwoliła znacząco ograniczyć liczbę ofiar oraz straty materialne.

Takie wnioski wynikają z lektury czeskich mediów w trakcie tej powodzi i tuż po niej.

Lekcje tamtych powodzi

W Czechach obecna katastrofa naturalna dotknęła północną część kraju: pogranicze z Polską. Przypomina to mrożące krew w żyłach wydarzenia z roku 1997. W Czechach w ciągu dwóch tygodni zginęło wtedy 49 osób. Stało się tak pomimo powszechnej mobilizacji, ofiarności strażaków i ratowników, zaangażowania wojska, wielomiliardowych zbiórek pieniędzy.

Tamtą powódź Polacy zapamiętali, bo u nas również zebrała tragiczne żniwo. Nie pamiętamy natomiast tego, że ledwie pięć lat później – w roku 2002 – w Czechy uderzyła powódź równie potężna. Wtedy jednak zalane zostały tereny odległe od polskich granic, głównie dorzecze Wełtawy. Pod wodą znalazła się spora część Pragi, woda zniszczyła wiele zabytków, w tym cenne archiwa.

Być może wówczas lekcja sprzed pięciu lat została już częściowo przez naszych sąsiadów odrobiona. Bo choć była to jedna z najpotężniejszych powodzi w historii Czech (w Pradze tak wysoki poziom wody zanotowano wcześniej w połowie XIX w.), to skończyła się 17 ofiarami śmiertelnymi.

Zapamiętano też 134 zwierzęta z praskiego zoo, które wtedy zginęły. Do podręczników szkolnych trafił potem samiec uchatki imieniem Gaston, który wezbraną wodą przedostał się do Wełtawy, a potem przepłynął nią 300 km aż do Niemiec. Odłowiony w Saksonii, padł – najprawdopodobniej na skutek przewlekłego stresu.

Zanim się zaczęło

W artykułach o przyczynach powodzi z 1997 i 2002 r. w kółko powtarza się pojęcie „niż atmosferyczny". Dokładnie tak samo jest w tym roku. Jeszcze około 12-13 września prasa publikowała szczegółowe, fachowo brzmiące analizy: „Rozwinął się polarny prąd strumieniowy, czyli wąski pas wiatrów wiejących z zachodu na wschód na wysokości około 10 km. Zimne powietrze arktyczne, w normalnych warunkach zamknięte za barierą prądu strumieniowego w północnych częściach planety, teraz ze strony Islandii przenika do Europy Zachodniej, Alp i obszaru Morza Śródziemnego. Z powodu kontaktu zimnego prądu powietrznego z północy z tropikalnym powietrzem w rejonie śródziemnomorskim uformował się niż, który będzie się teraz przesuwał na północny wschód i zatrzyma się gdzieś nad wschodnimi częściami naszego kraju".

Dodawano, że w ciągu kilku dni spadnie jedna trzecia całorocznych przeciętnych opadów.

Podchwyciły to media, a po chwili także politycy. O grożącej powodzi mówiono już na kilka dni przed tym, zanim się zaczęła. Zaczęły się też przygotowania organizacyjne, sprawą zajął się rząd i kolejne, coraz to niższe szczeble administracji.

Kompromitacja kandydata

I natychmiast uruchomił się też internet. Poszło tym łatwiej, że od dawna na piątek i sobotę, 20 i 21 września, zaplanowane były wybory – cząstkowe do Senatu i samorządowe. Atmosfera była już zatem wstępnie podgrzana, a powodzie stały się kolejnym tematem wyborczym.

Najgłośniej było o Janie Skalickým z Ústí nad Labem – kandydacie do Senatu z ramienia mocno ekstremistycznej koalicji komunistów i nacjonalistów. W przeszłości pracował on w kierownictwie państwowego przedsiębiorstwa administrującego drogami wodnymi w kraju, na gospodarce wodnej zatem na pewno się zna.

Zanim zaczęły się powodzie, Skalický wrzucił do internetu nagranie wideo, w którym pytał: „Czy naprawdę to jest ta wielka woda, z powodu której koniecznie trzeba zamykać wystawy, odwoływać imprezy, zmuszać ludzi, aby siedzieli w domach pod ogromną presją, w panice i strachu? Przeżyliśmy już suszę, covid, wojnę w Ukrainie, a teraz nagle przed samymi wyborami – wielka woda! No proszę! Czy to naprawdę jest aż tak wielka woda, aby ludzie musieli cały czas myśleć o tych katastrofach, aby nie mogli wychodzić z domów, aby uniemożliwić normalny przebieg kampanii wyborczej?".

Dwa-trzy dni później, kiedy były już pierwsze ofiary śmiertelne, wideo zostało zdjęte z sieci.

W czasach ekstremizmu

Dziś Skalický milczy, ale jemu podobni zmienili ton i teraz drążą: jak to możliwe, że rząd wcześniej wiedział, że przyjdą powodzie?

„Zapewne są przekonani, że premier Fiala ma specjalny pulpit z guzikami do wywoływania katastrof. I teraz nacisnął ten z napisem »powódź«" – drwił redaktor naczelny tygodnika „Respekt" Erik Tabery.

Tytuł jego tekstu brzmi „Zaufanie w czasach ekstremizmu". Tabery: „Powodzie pokazały, że w kryzysowych sytuacjach ↦

RADEK MICA / AFP / EAST NEWS

Ewakuacja mieszkańców z powodu powodzi w Ostrawie. Północne Morawy, Czechy, 16 września 2024 r.

↦ jesteśmy zdolni przyjąć informacje, dostarczane nam przez zawodowców".

I dalej: „Wygląda to na banał, ale takie momenty powinniśmy odnotowywać. Od dawna w społeczeństwie spada poziom zaufania do instytucji, do ekspertów, do faktów. Mimo to teraz było widać, jak w chwili kryzysu potrafimy informacje pochodzące od profesjonalistów przyjąć i potem kierować się nimi w naszych działaniach. A stało się tak przecież w chwili, kiedy chodziło »zaledwie« o przewidywania. Widać, jak istotne jest budowanie społeczności zaufania. Nie ślepego, nie bezkrytycznego, ale takiego zaufania, które skłania ludzi, aby w niektórych przypadkach jednak słuchali tego, co mówią fachowcy. Niemal wszyscy zainteresowani – politycy, meteorologowie – powtarzali, że sytuacja jest zupełnie wyjątkowa. I po raz pierwszy kraj się przygotowywał na powódź zawczasu, zanim się jeszcze zaczęła".

Wybory według planu

Prawda jest i taka – podkreśla dziś czeska publicystyka – że w stosunku do roku 1997 oraz 2002 technologia poszła mocno naprzód i metody przewidywania anomalii pogodowych są znacznie skuteczniejsze. Pomógł też internet – paradoksalnie, bo przecież na co dzień buszują w nim szerzyciele teorii spiskowych i konspiracji. W telewizyjnych wywiadach nawet starostowie niedużych osad podkreślali, jak to w pospiesznych przygotowaniach pomagały im nowoczesne środki komunikacji.

W pierwszych dniach powodzi, kiedy ostrzeżenia były już bardzo poważne, roztrząsano, co zrobić z tymi zaplanowanymi na 20-21 września wyborami. Wielu domagało się przełożenia głosowania, argumentując, że w licznych zalanych gminach nie będzie nawet gdzie ustawić urny wyborczej.

Po analizach prawnych premier Fiala oznajmił, że wybory jednak się odbędą, bo to terminy konstytucyjne, a jak rząd zacznie przy nich majstrować, to potem i tak Trybunał Konstytucyjny takie przesunięte wybory unieważni. Stanęło na tym, że tam, gdzie zniszczenia były za duże, organizacją technicznej strony głosowania zajęło się Ministerstwo Spraw Wewnętrznych.

Do piątku 20 września wiadomo było, że na pewno życie straciło pięć osób, a kilka kolejnych było zaginionych. To i tak za dużo. Ale należy pamiętać, że wody w wielu miejscach było teraz znacznie więcej niż w roku 1997.

© TOMASZ MAĆKOWIAK

Austria: czy powódź zaważy na wyborach?

JESZCZE KILKA DNI wcześniej – zanim większość Austrii pogrążyła się w pogodowym chaosie – zdawało się, że wszystko jest przesądzone. W ostatnich miesiącach sondaże zgodnie sugerowały, że pierwsze miejsce w wyborach parlamentarnych, zaplanowanych na ostatnią niedzielę września, zajmie Partia Wolnościowa (FPÖ). Badania dawały jej poparcie rzędu 27-28 proc. głosów.

PIERWSZE MIEJSCE nie znaczy jednak automatycznie, że miejsce zwycięskie. Aby kanclerzem Austrii został lider FPÖ Herbert Kickl, jego prawicowo-narodowe ugrupowanie musiałoby znaleźć sobie koalicyjnego partnera. Tymczasem konserwatywno-chadecka Partia Ludowa (ÖVP), zajmująca dotąd drugie miejsce w sondażach (24-25 proc. poparcia) i programowo będąca najbardziej naturalnym koalicjantem (w latach 2017-19 obie formacje tworzyły już razem rząd federalny), stanowczo wykluczała współpracę z FPÖ, jeśli jej liderem pozostanie Kickl.

KARL NEHAMMER, kanclerz ÖVP – rządzący Austrią przez ostatnie pięć lat w koalicji z partią Zielonych – nazywa Kickla radykałem i twierdzi, że stanowi on zagrożenie dla bezpieczeństwa państwa z powodu prorosyjskich sympatii. Ponieważ jednak FPÖ nie zamierza pozbywać się swojego lidera, Nehammerowi – jeśli chce być dalej szefem rządu – pozostanie szukać partnerów koalicyjnych w Partii Socjalistycznej (SPÖ; poparcie 20-21 proc.) i znów u Zielonych (7-8 proc.). Byłby to jednak sojusz programowo niespójny ze względu na mocno lewicowe postulaty socjalistów – jego główną racją bytu byłoby niedopuszczenie Kickla do władzy w Wiedniu.

PARTIA WOLNOŚCIOWA wysunęła się na czoło sondaży głównie za sprawą jednego tematu – tego, który dominuje dziś w polityce wielu krajów Europy: masowej nielegalnej imigracji, postrzeganej jako coraz większe obciążenie i zagrożenie dla bezpieczeństwa wewnętrznego. FPÖ domaga się nie tylko jej radykalnego ograniczenia – w programie partii mowa jest też o „reemigracji obcych, których nikt nie zapraszał". Wprawdzie ograniczenia nielegalnej imigracji chce także Nehammer, ale nie posługuje się tak skrajną retoryką.

CZY FAKTYCZNIE 29 września FPÖ zajmie więc pierwsze miejsce? Dziś nie jest to już pewne. Wielu komentatorów sądzi, że po tym, jak Austria została doświadczona przez ekstremalną pogodę, nastroje mogą się zmienić. Oraz że wielu Austriaków może zawahać się przed oddaniem głosu na Kickla, który krytykował ekologiczne projekty chadecko-zielonego rządu, a w dyskusji o zmianach klimatu obrażał oponentów, mówiąc o „klimatycznym komunizmie". Kiedy dziś się okazuje, że to działania renaturyzacyjne (tj. odtwarzanie stanu naturalnego w przyrodzie), które prowadzono wzdłuż rzek w Dolnej Austrii, zapobiegły jeszcze większej powodzi w tym regionie.

NIE TYLKO POWÓDŹ paraliżowała w ostatnich dniach Austrię i jej politykę (kampania wyborcza zamarła). O ile regiony położone niżej, w tym dorzecze Dunaju, zalewała fala powodziowa, o tyle w Alpach i na pogórzu spadł obfity pierwszy śnieg. Powyżej 1400 metrów n.p.m. było to aż pół metra. Zwykle takie opady śniegu zaczynają się w listopadzie. „Ilu sygnałów ostrzegawczych jeszcze trzeba? Sami jesteśmy winni tej katastrofie" – pisze „Kronen Zeitung", gazeta najchętniej czytana przez Austriaków i dość konserwatywna, postrzegana trochę jako „głos ludu". ©℗ WP

Wyjazd na trasę z Irpienia do Kijowa w towarzystwie amatorskiej grupy kolarskiej. 11 września 2024 r.

Jakob i jego droga

TEKST I ZDJĘCIA JACEK TARAN Z BORODZIANKI, BUCZY I IRPIENIA

Swoim przykładem chce dać nadzieję okaleczonym ukraińskim żołnierzom, że nawet brak nogi nie musi ograniczać. 67-letni Jakob Kepka pojechał rowerem z Krakowa do Kijowa. Autor „Tygodnika" towarzyszył mu na finalnym etapie.

Przejechał na tym rowerze prawie 1200 kilometrów. – To nie trasa była najtrudniejsza, lecz spotkania z ludźmi. Oni byli też najważniejsi w tej wyprawie – mówi mi Jakob Kepka.

Ten 67-letni Kanadyjczyk polskiego pochodzenia, od wielu lat niepełnosprawny weteran amerykańskich marines, podjął niecodzienne wyzwanie: przejechał na jednej nodze rowerem z Krakowa do stolicy Ukrainy, aby nieść nadzieję na lepsze życie okaleczonym ukraińskim weteranom. Do Kijowa dotarł 11 września.

Borodzianka: osiedle

Wjeżdżając od strony Kijowa do tego miasteczka, w którym do rosyjskiej inwazji żyło 13 tys. ludzi, trzeba skręcić na rondzie w prawo. Ale nie należy się rozpędzać, bo to miasto jednej ulicy – ani się oglądniesz, jak przejedziesz je całe.

Po prawej miniesz zrujnowane osiedle ze śladami uderzeń rakiet. Oderwane ściany odsłaniają wnętrza mieszkań. Tu wciąż, od 2,5 roku, stoi na stole czajnik. Tam przysypane pyłem słoiki z przetworami. Dalej transporter dla kota. Roztrzaskana klawiatura dziecięcych organek.

Mury zdobią graffiti sławiące obrońców. Był tu nawet sławny Banksy: jego „Baletnica", teraz zabezpieczona grubą szybą, widnieje na głównym placu, tuż obok pomnika Szewczenki (z pomnika odpadły betonowe okładziny, spiżową głowę poety podziurawiły kule).

Swoje najtrudniejsze dni Borodzianka przeszła na przełomie marca i kwietnia 2022 r. Rosjanie ostrzelali ją rakietami, trafiając w bloki, przedszkole, szpital. Mieszkańcy, którzy nie uciekli, ukrywali się w piwnicach blisko 40 dni; wielu zginęło. Większość budynków udało się odbudować, ale sporo jest takich, które nadają się tylko do rozbiórki.

Najbardziej brakuje ludzi

Ośrodek rehabilitacji w Borodziance lśni nowością – zniszczony wiosną 2022 r., dziś jest odbudowany i dobrze wyposażony.

Tu spotykamy się z jego wicedyrektorką, Swietłaną Melnyczenko. Podczas rozmowy okazuje się, że to nie brak protez jest największym problemem, lecz ludzi.

Jakob: – Możesz mieć najlepsze protezy świata, ale jak nie masz tych, którzy pomogą ci na nich stanąć, wszystko na nic. Najważniejsi są ludzie, którzy nauczą cię, jak żyć z protezą. Lekarze, fizjoterapeuci, rehabilitanci.

Melnyczenko: – Brakuje nam nie tylko rehabilitantów, ale też psychoterapeutów, psychologów, psychiatrów. Mamy stale do czynienia z syndromem stresu pourazowego. A potrzebna jest też pomoc dla rodzin żołnierzy, szkolenia i wsparcie psychologiczne dla nich. Gdy mężczyzna wraca do domu bez dwóch rąk, jego rodzinie trudno się odnaleźć. Nie wiedzą, jak mu pomagać, jak wspierać w codziennych ↦

↦ czynnościach: myciu, jedzeniu, załatwianiu potrzeb fizjologicznych. Boją się.

Swietłana jest psycholożką, ma troje dzieci. Mieszka w Kijowie, skąd dojeżdża do pracy w Borodziance. Jako wolontariuszka co kilka tygodni jeździ też do strefy frontowej, by udzielać żołnierzom pomocy psychologicznej. Tam też brakuje psychologów.

Bucza: pomnik

Z Borodzianki jedziemy do Buczy. Kubie towarzyszy amatorska grupa kolarska z Irpienia. Na tym krótkim odcinku 25 km to Jakob dyktuje warunki – młodzi rowerzyści z trudem dotrzymują mu tempa. Nie tylko tutaj tak jest – na całej trasie z Krakowa do Kijowa miejscowe grupy kolarskie wspierały Kubę na kolejnych odcinkach.

– Ich wsparcie było ważne. Przychodzili z nastawieniem, że będą musieli jechać ze mną wolniej, bo jestem stary, bo mam jedną nogę. A tymczasem to często oni nie mogli za mną nadążyć – Jakob się uśmiecha.

Jazda tylko jedną nogą (u Kuby lewą) to technicznie trudne zadanie, przy każdym naciśnięciu jedynego pedała rower przechyla się w stronę osi jezdni. Kuba musi kontrować ten ruch kierownicą. Dlatego ręce bolą go bardziej niż noga. Dłonie ma szorstkie, twarde.

W Buczy krótki przystanek pod pomnikiem upamiętniającym mieszkańców, którzy zginęli w 2022 r. Na pomniku postawionym przy cerkwi św. Andrzeja Apostoła – w miejscu, gdzie były masowe groby – jest 576 nazwisk. Data śmierci niemal taka sama: marzec 2022 r.

Irpień: dwa mosty

Na drodze między Buczą a Kijowem leży Irpień. Zdjęcia z ewakuacji mieszkańców, którzy uciekali po ruinach zniszczonego mostu, obiegły w lutym 2022 r. świat. Most w Irpieniu stał się jednym z symboli tej wojny.

Potem, w niewiele ponad rok, zbudowano nowy most. Ruiny starego zachowano na pamiątkę. Na dnie koryta rzeki wciąż spoczywa biała furgonetka, rzucona brzuchem do góry jak nieporadny żuk, który nigdy już nie wstanie.

Zniszczonych aut jest w Irpieniu więcej. To kolejny pomnik, dziwny i wstrząsający – cmentarz aut przy wylotówce na Kijów. Hałda wraków, zardzewiałych, spalonych. Wciąż są w nich rzeczy pasażerów: zabawki, książki, fotelik dla dziecka. Na wrakach ktoś namalował słoneczniki, jeden z symboli Ukrainy.

Jakob Kepka przed pomnikiem Tarasa Szewczenki. Borodzianka, 9 września 2024 r.

Zbombardowany most w Irpieniu dziś jest miejscem pamięci. Irpień, 9 września 2024 r.

Ślady wojny członkowie wyprawy spotykali zresztą na całej trasie: na cmentarzach we wsiach i miasteczkach, przez które jechali, widać liczne nowe groby – żołnierskie. Rozpoznać je łatwo: stoją na nich flagi, niebiesko-żółte, a także flagi jednostek, w których służyli polegli.

„Towarzyszy mi płacz"

Trudno się do tych widoków przyzwyczaić, trudno przestać je zauważać.

Jakob opowiada „Tygodnikowi": – Nie jestem zmęczony fizycznie. Jestem zmęczony psychicznie. Dziennikarze zadają mi wciąż te same pytania. Ale jeszcze cięższe bywają spotkania z żołnierzami. Całą drogę towarzyszy mi płacz – mój lub ich.

I dalej: – Niektórzy są bardzo wylewni, inni nie chcą w ogóle rozmawiać. Czuję czasami, jak się spinają, jak kumuluje się w nich agresja. Oni są bardzo okaleczeni, nie tylko fizycznie. Jednak to spotkania z ludźmi są najważniejsze.

Podczas kolejnych etapów wyprawy Jakob także kwestował: zbierał pieniądze na pomoc dla weteranów, na protezy, rehabilitację. Także wówczas dochodziło do spotkań. Kepka: – Gdy staruszka wyciągała pomięte banknoty albo gdy jakiś ksiądz w mijanej cerkwi dawał sporą sumę, na którą składały się same małe nominały, widać, że

Ruiny osiedla mieszkaniowego w Borodziance. 8 września 2024 r.

Miejsce pamięci „Cmentarz samochodów". Irpień, 9 września 2024 r.

Na trasie Borodzianka Bucza, 9 września 2024 r.

od ludzi, to było naprawdę wzruszające. To dobro, które płynie od najbiedniejszych.

– Paradoksalnie, ja na rowerze odpoczywam – dodaje. – Wtedy jestem tylko ja, rower i moja noga. To jest jak medytacja. Kiedy jadę, to czasami się modlę.

Irpień: zapach jabłek

W Irpieniu spotkanie z merem Ołeksandrem Markuszynem. To stały punkt wyprawy, podobne spotkania odbywały się niemal w każdym mieście na trasie.

Spotykamy się na placu blisko ratusza. Nieopodal ciągnie się długa aleja: portrety żołnierzy z okolic Irpienia, którzy zginęli. Pod niektórymi leżą kwiaty, płoną znicze. Daty urodzenia różne: od lat 60. XX w. aż do roku 2002.

Helena Jampolska z urzędu miasta darowała Kubie bransoletkę z tryzubem, godłem Ukrainy, wygrawerowanym na kawałku żelaza ze zniszczonego rosyjskiego czołgu. Pokazuje w telefonie nagranie ze zbombardowanego Irpienia. – Wszystko odbudowaliśmy – mówi.

Rzeczywiście, śladów zniszczeń nie widać już wiele. W niektórych miejscach ciągle trwają remonty. Jednak wielu mieszkańców, którzy uciekli w lutym 2022 r., nie wróciło.

Dziś w ich przydomowych sadach nie ma kto zbierać owoców. W połowie września Irpień pachnie zgniłymi jabłkami.

Kijów: o dostępności

Podobne spotkanie odbywa się następnego dnia w Kijowie – w sali konferencyjnej, przy dużym okrągłym stole. Ekipę przyjmuje Olena Howorowa, wiceprzewodnicząca rady miejskiej Kijowa i była mistrzyni olimpijska w lekkoatletyce (brązowy medal w trójskoku, Sydney 2000).

Howorowa mówi o znaczeniu sportu w rehabilitacji. Kuba podkreśla, że równie ważna jest „dostępność miasta". Wylicza: – Czyli podjazdy, ułatwienia, to wszystko musi być funkcjonalne i łatwe do użycia dla osób, które mają problem z poruszaniem się. Trzeba zmienić myślenie o mieście, o projektowaniu. Sport jest ważny, mnie uratował. Ale każdy musi znaleźć swoją drogę. Dla kogoś to może być sztuka, muzyka, zwierzęta, wolontariat. Trzeba robić to, co dodaje siły, zwłaszcza mentalnej. ↦

↦ Później Kuba powie: – Urzędnicy muszą zmienić myślenie. Miasta muszą postawić na żywy kontakt z weteranami. Trzeba rozmawiać i poznać potrzeby. Nie może być tak, że jest winda dla wózka, ale trzeba do niej dojść po stromych schodach. Ważne, by integracja weteranów ze społeczeństwem zaczęła się już teraz, gdy dużo się o nich mówi. Ale jak wojna się skończy, łatwo o nich zapomnieć. Do tego nie można dopuścić.

Życie musi trwać

Czy spełniły się cele jego wyprawy, które sobie stawiał?

Kuba: – Chciałem pokazać wszystkim, których spotkam po drodze, albo którzy spotkali mnie przez media, że można pokonać własne słabości. Życie nie kończy się, gdy stracisz rękę czy nogę. Jest trudniej, ale to nie koniec. Moja misja ma dawać nadzieję. Oczywiście nie pokonasz własnej ułomności od razu, to wymaga ciężkiej pracy. Ale to możliwe.

Jak pomagać? To niełatwe, przyznaje Jakob Kepka: – Trzeba pamiętać, że ludzie z amputacjami wciąż są ludźmi. Trzeba zauważać ich potrzeby. Oni nadal chcą być kochani, mają marzenia, lęki, radości. Amputacja im tego nie zabiera ani nie definiuje ich w całości. Trzeba tak pomagać, żeby sami nie zaczęli tak o sobie myśleć.

A największe zaskoczenie w czasie podróży? Jakob: – Ludzie nazywają mnie bohaterem. Wcale się tak nie czuję. Bohaterami są ci, którzy walczą na froncie, tracą zdrowie, kończyny, by ratować swój kraj. Bohaterowie leżą w klinikach rehabilitacyjnych.

Wspomina: – Przed spotkaniem w kijowskim merostwie byłem u fryzjerki. Zajęła się mną starannie. Na koniec nie wzięła pieniędzy. Powiedziała, że widziała mnie w telewizji, i że w ten sposób chce mi podziękować.

©℗ JACEK TARAN

Organizatorem wyprawy była krakowska fundacja Freedom Space, wspierana przez Jerry'ego E. Foksa z Teksasu i jego fundację Elevate Ukraine, która sfinansowała przejazd Jakoba i wspierającej go ekipy. „Tygodnik" objął patronat medialny nad wyprawą.

Tysiące wybuchowych gadżetów

AGATA KAŹMIERSKA, WOJCIECH BRZEZIŃSKI

Atak z użyciem pagerów zamienionych na małe bomby nie zmienił strategicznego obrazu konfliktu Izraela z Hezbollahem. Niesie za to groźbę dalszej eskalacji. Być może tego właśnie chce Izrael.

Dziewięcioletnia Fatima Abdullah zaczęła czwartą klasę podstawówki. Właśnie wróciła do domu po pierwszym dniu w szkole. Była w kuchni, gdy zabrzęczał pager jej ojca. Chciała mu go podać. Zginęła na miejscu.

Dziewczynka jest jedną z co najmniej 12 ofiar śmiertelnych ataku wymierzonego w bojowników Hezbollahu, polityczno-militarnej organizacji szyickiej, która kontroluje libańskie południe. We wtorek 17 września, o godzinie 15.30, pagery należące do członków tej organizacji eksplodowały niemal jednocześnie w Libanie i Syrii. Fala wybuchów raniła ok. 2,8 tys. osób.

Dzień później doszło do kolejnej fali eksplozji. Tym razem eksplodowały należące do Hezbollahu krótkofalówki. Okazały się jeszcze bardziej śmiercionośne: zginęło co najmniej 25 osób, w tym czworo dzieci. Setki osób odniosły obrażenia.

Długofalowa operacja

„Pytacie mnie, gdzie są agenci? Odpowiadam: to telefon w waszych rękach, w rękach waszych żon i waszych dzieci. To on jest agentem. Pogrzebcie go. Zamknijcie go w metalowym pudełku i zamknijcie na klucz" – grzmiał przywódca Hezbollahu Hassan Nasrallah w telewizyjnym orędziu.

Było to w lutym tego roku, wkrótce po serii ataków wymierzonych w czołowych bojowników tej organizacji. Hezbollah zorientował się, że izraelskie służby do namierzania celów wykorzystują telefony komórkowe i zakazał ich stosowania. Zamiast tego jego członkowie – i bojownicy, i ludzie zajmujący się cywilną, administracyjną stroną działania organizacji – mieli porozumiewać się za pomocą pagerów (prostych urządzeń, które służą tylko do komunikacji tekstowej) i krótkofalówek.

Czy izraelskie służby to przewidziały? Według źródeł „New York Times" – tak. Operacja Mosadu, izraelskiego wywiadu, miała zacząć się kilka miesięcy przed przemówieniem Nasrallaha. Wówczas to na Węgrzech powstała firma BAC Consulting, która kupiła licencję na produkcję pagerów od znanej tajwańskiej firmy Gold Apollo. Gdy potem Hezbollah zaczął rozglądać się za możliwością zakupu innych środków łączności niż komórki, Mosad był gotowy. Wewnątrz urządzeń znajdował się pentryt, materiał wybuchowy zmieniający gadżet w małą bombę.

Skala zinfiltrowania

W ten sam sposób zmodyfikowane miały być dostarczone Hezbollahowi krótkofalówki. Miały logo japońskiej firmy Icom. Ta jednak twierdzi, że takiego modelu nie ma w sprzedaży od 10 lat. Część ekspertów, w tym dystrybutor tej marki w USA, utrzymuje, że urządzenia, których używał Hezbollah, to nie oryginalne *walkie talkie* firmy Icom, lecz podróbki.

Wedle źródeł „New York Timesa" zawierały one większą ilość materiałów wybuchowych, stąd choć wybuchów było mniej niż dzień wcześniej, zabitych jest więcej. Libańska obrona cywilna podała, że eksplozje krótkofalówek wywołały 71 pożarów w domach i sklepach.

Jak te urządzenia trafiły do członków Hezbollahu? Zapewne Mosad miał swoich agentów w organizacji i zaaranżował sprzedaż. „Nie chcesz, aby tysiące wybuchowych pagerów krążyło po Libanie, więc kret musiał dostarczyć je do odpowiednich osób" – mówił magazynowi

BALKIS PRESS / ABACPARESS / EAST NEWS

Zrzut obrazu z nagrania z monitoringu w momencie eksplozji pagera klienta sklepu warzywnego. 17 września 2024 r.

„Wired" Jake Williams, wiceprezes ds. badań i rozwoju w firmie Hunter Strategy, a wcześniej pracownik Agencji Bezpieczeństwa Narodowego USA.

Williams mówił też, że jest zszokowany złożonością tej operacji: „Skala zinfiltrowania ciągów zaopatrzeniowych jest bezprecedensowa. Trudno wyobrazić sobie, jaką technologię Hezbollah może teraz uważać za bezpieczną".

Dlaczego teraz?

„Ten atak jest jak uderzenie w piętę achillesową, bo pozbawił Hezbollah środków komunikacji" – mówił na łamach „New York Times" Keren Elazari, analityk bezpieczeństwa na Uniwersytecie w Tel Awiwie. Podkreślał: „Widzieliśmy już wcześniej takie ataki, ale nigdy nie były tak wyrafinowane".

Izraelczycy specjalizują się w takich złożonych operacjach. Już w 1996 r. dzięki namierzeniu telefonu zabili w Gazie Yahyę Ayyasha, pseudonim „Inżynier", głównego konstruktora bomb Hamasu, odpowiedzialnego za serię zamachów na izraelskich przystankach i w autobusach. Trzy lata później bomba w telefonie zabiła Samiha Malabiego, aktywistę Fatahu. Wkrótce po tym, jak jesienią 2023 r. zaczęła się obecna wojna w Gazie, pojawiły się doniesienia, że Izrael dokonuje zmasowanych ataków właśnie dzięki namierzaniu telefonów.

Nie jest jasne, dlaczego Izrael zdecydował się na przeprowadzenie tak zmasowanego ataku właśnie teraz. Część ekspertów spekulowała, że może to być preludium do większej ofensywy – operacja doprowadziła bowiem nie tylko do okaleczenia znacznej liczby członków Hezbollahu, ale też sparaliżowała na jakiś czas jego łączność. Hipotezę taką podważa jednak fakt, że nie było od razu ciągu dalszego – podczas gdy eksperci od wojskowości twierdzą, że ofensywa powinna nastąpić natychmiast.

Wykorzystaj lub stracisz

Przyczyna, dla której przeprowadzono oba ataki, mogła być jednak dużo bardziej prozaiczna. „To była decyzja typu »wykorzystaj swoje możliwości albo je stracisz« – mówił portalowi Axios urzędnik administracji USA.

Wedle tego źródła dwóch członków Hezbollahu miało zgłosić dowództwu swoje podejrzenia dotyczące pagerów. Izrael zaś, obawiając się, że w ciągu kilku kolejnych dni misterna intryga zostanie przejrzana przez przeciwnika, wykorzystał natychmiast pułapkę, którą zastawił być może z myślą o użyciu przed lądową ofensywą na Liban.

Jednak Yossi Melman, autor książek o Mosadzie, twierdzi w rozmowie z dziennikiem „Guardian", że choć atak demonstruje techniczne i wywiadowcze możliwości Izraela, to jest on „oznaką paniki", a uderzenie wymierzone w tysiące ludzi w żaden sposób nie zmienia strategicznego obrazu tego konfliktu. Poza tym, że przyniósł ryzyko dużej liczby postronnych ofiar – oraz że może doprowadzić do dalszej eskalacji.

Tymczasem eskalacja jest dokładnie tym, czego chcą uniknąć dziś sojusznicy Izraela, na czele ze Stanami Zjednoczonymi. Sekretarz stanu Antony Blinken zapewniał, że Waszyngton nie został uprzedzone o planach Izraela. „USA nie miały tu wiedzy i nie brały udziału w tych incydentach. Nadal zbieramy informacje i fakty" – stwierdził.

Metody zabijania

Do ataków z użyciem pagerów i krótkofalówek dochodzi po miesiącach narastającego konfliktu między Hezbollahem a Izraelem. Zarówno rakietowe ostrzały ze strony Hezbollahu, jak też – dużo silniejsze – bombardowania ze strony Izraela przyniosły blisko tysiąc zabitych (niemal wszystkie w Libanie), a Izrael, jak niedawno pisał na łamach „Tygodnika" Krzysztof Strachota, analityk Ośrodka Studiów Wschodnich, do perfekcji opanował metody zabijania liderów Hezbollahu. Ostatnia głośna ofiara to zabity w lipcu lider jego struktur wojskowych Fu'ad Szukr. Teraz wśród rannych jest Mojtaba Amani, ambasador Iranu w Libanie.

Armia Izraela na pytania mediów o wybuchy odpowiedziała tradycyjnym: „bez komentarza". Hezbollah zapowiada, że w odpowiedzi na atak wymierzy „sprawiedliwą karę". Organizacja Human Rights Watch wzywa do przeprowadzenia dochodzenia i podkreśla, że nikt nie był w stanie śledzić lokalizacji zamienionych w bomby urządzeń, w związku z czym eksplozje mogły uderzać tak w cele wojskowe, jak i cywilne.

„Międzynarodowe zwyczajowe prawo humanitarne zabrania używania bomb-pułapek – obiektów, które dla cywilów kojarzą się ze zwykłymi cywilnymi zastosowaniami – właśnie dlatego, by unikać tworzenia śmiertelnego zagrożenia dla cywilów i scen, jakie obserwujemy w Libanie" – napisała Lama Fakih, dyrektorka HRW na Bliski Wschód i Afrykę Północną. ©

Tekst ukończono 19 września.

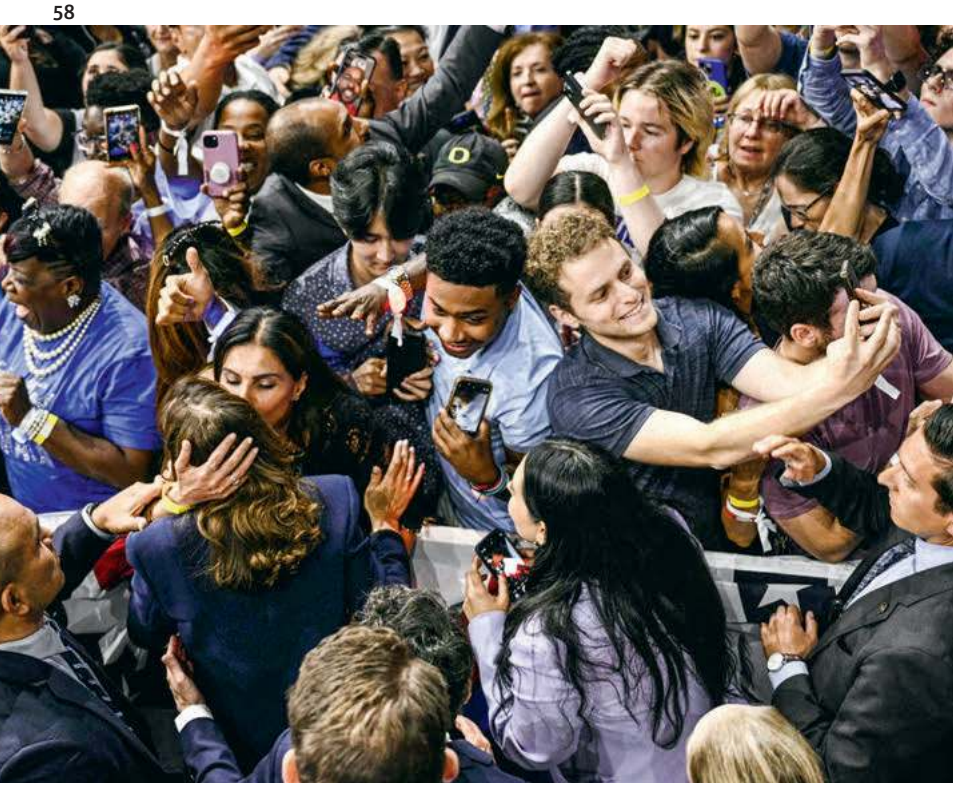

BRENDAN SMIALOWSKI / AFP / EAST NEWS

Kamala Harris entuzjastycznie witana na wiecu wyborczym w Filadelfii, sierpień 2024 r.

Amerykańska arytmetyka

MARTA ZDZIEBORSKA

Specyfika wyborów prezydenckich w USA polega na tym, że wyścig Trump–Harris rozstrzygnie się w siedmiu stanach, gdzie żadna ze stron nie może być dziś pewna, co zrobi większość głosujących. Rozmawiamy z ich mieszkańcami.

W swoim życiu Ellen Cox widziała kawał świata. Dziś 57-latka, mieszkająca w parotysięcznym Doylestown w stanie Pensylwania, jako oficer marynarki wojennej stacjonowała m.in. na Haiti i we Włoszech. Odwiedziła też Polskę: poznała Gdańsk, kojarzy Lecha Wałęsę.

Ellen przywołuje jego nazwisko, gdy zestawia powojenną historię Polski z sytuacją na granicy USA–Meksyk. W ostatnich latach doszło tam do rekordowego napływu nielegalnych imigrantów. Tylko w roku fiskalnym przypadającym na pierwsze miesiące rządów Bidena (ten trwa w USA od października do października) straż graniczna zatrzymała prawie 1,7 mln osób – cztery razy więcej niż w ostatnim roku rządów Trumpa.

– Wy Polacy wiecie, jak to jest być otoczonym wrogami! – mówi Ellen w rozmowie z „Tygodnikiem". Jest zwolenniczką Trumpa i dała się porwać jego słowom o przestępcach i gwałcicielach, którzy szturmują granice USA. – My też mamy swoją inwazję. Tylko czekać, aż dojdzie do ataku terrorystycznego, jak w 2001 r. na World Trade Center – obawia się Amerykanka.

Hrabstwo Bucks, w którym mieszka Ellen, a które obejmuje przedmieścia Filadelfii, jest jednym z tych regionów Pensylwanii, gdzie walka o Biały Dom jest wyjątkowo wyrównana. Do tego stopnia, że w lipcu ogólnokrajowe media odnotowały, iż po raz pierwszy od 15 lat było tu więcej zarejestrowanych wyborców Partii Republikańskiej niż Demokratycznej. Na początku mowa była o przewadze zaledwie ok. 250 osób. Ale w walce o Pensylwanię – jeden z tych stanów, w których wynik wyborów z 5 listopada będzie kluczowy – nawet taki sygnał niepokoi Demokratów.

Stany, które „wahają się"

Specyfika wyborów prezydenckich w USA polega na tym, że najbardziej intensywna kampania toczy się dziś tylko w siedmiu stanach, które określa się mianem „stanów wahających się". To miejsca, gdzie z wyborów na wybory większość głosów może paść albo na kandydata Demokratów, albo Republikanów. W pozostałych stanach wynik jest właściwie przesądzony: wiadomo, że np. w liberalnej Kalifornii większość zawsze dostanie Partia Demokratyczna, a w Teksasie czy na Alasce – Republikańska.

Ponieważ w 48 spośród 50 stanów ordynacja zakłada, że zwycięzca zgarnia całą pulę głosów elektorskich przypadających na dany stan, o ostatecznym wyniku wyścigu o Biały Dom przesądzą więc mieszkańcy siedmiu kluczowych stanów. Są to: Pensylwania, Michigan i Wisconsin (wszystkie trzy należą do tzw. Pasa Rdzy, doświadczonego upadkiem przemysłu ciężkiego), a także Arizona, Karolina Północna, Georgia i Nevada. Wszędzie tam trwa dziś ostra walka – i mocno wyrównana.

Od drzwi do drzwi

Zaangażowana w nią jest też Ellen Cox, lokalna działaczka Partii Republikańskiej, a ostatnio delegatka wybrana do reprezentowania hrabstwa Bucks na konwencji Republikanów. Miała ona miejsce tuż po lipcowej próbie zamachu na Trumpa na wiecu w Butler, w Pensylwanii.

Dziś Ellen robi wszystko, by pociągnąć hrabstwo Bucks jeszcze mocniej na stronę Trumpa: chodzi od drzwi do drzwi i przekonuje tych, którzy jeszcze się nie zdecydowali. Zauważyła, że w tych rozmowach dominują dwa tematy: polityka imigracyjna i ceny żywności. Są one wyższe niż za rządów Trumpa – w ciągu ostatnich czterech lat, gdy prezydentem był Biden, podskoczyły o jedną piątą.

Na ten temat wyczulona jest też sama Ellen. Jako konsultantka sprzedająca kosmetyki ma wyraźnie mniej klientek, a jej mąż, doradca biznesowy, stracił kilka

ważnych zleceń. Na rachunki starcza, ale nie mogą sobie pozwolić np. na remont tarasu w ogrodzie. Ellen martwi się też, że przez chwiejną sytuację na giełdzie jej oszczędności emerytalne straciły na wartości. Na odłożenie dodatkowych pieniędzy nie ma szans, bo pomagają dwóm córkom w opłaceniu studiów.

– Niektórzy ekscytują się tym, że Harris zastąpiła Bidena. Dla mnie to kolejna marionetka Demokratów, która na równi z prezydentem jest odpowiedzialna za to, że w Stanach żyje się gorzej – przekonuje Ellen.

Emocje po obu stronach

Ellen ma żal, że niektórzy nazywają ją ekstremistką. Wylicza, że przed wyborami w 2020 r. aż siedem razy wyrywano tablicę z poparciem dla Trumpa, którą postawiła w ogródku. Problem ten notowano wówczas po obu stronach barykady. W hrabstwach Bucks i Northampton niszczono tablice i flagi agitujące na rzecz i Trumpa, i Bidena.

Także dziś problem ten budzi emocje. Na facebookowej grupie „Pennsylvanians defeating Trump" (Pensylwańczycy pokonają Trumpa) zwolennicy Kamali Harris piszą, że boją się wystawić przed domem tablicę z poparciem dla niej, gdyż nie są pewni reakcji sąsiadów o konserwatywnych poglądach.

Jordan Rhone, 27-letni prawnik z Filadelfii i lokalny działacz Partii Demokratycznej, tłumaczy, że założył tę grupę na Facebooku, by mobilizować tutejszy elektorat. – Niektórzy nasi sympatycy, zwłaszcza ci żyjący na wsi, mówili mi, że czują się osamotnieni, jakby żyli sami wśród trumpistów – opowiada „Tygodnikowi" Jordan.

Można odnieść wrażenie, że jest on politycznym sobowtórem Ellen – tyle że w innej drużynie. Tak jak ona, Jordan puka do drzwi i przekonuje, że Harris to lepszy wybór dla Ameryki. Agituje tak w hrabstwie Montgomery, na przedmieściach Filadelfii. W 2020 r. ich mieszkańcy pomogli wygrać Bidenowi w Pensylwanii.

– Jako Demokrata, wychowany w tym mocno republikańskim hrabstwie, mogę powiedzieć, że przybywa tu wyborców, zwłaszcza kobiet, które nie chcą dopuścić do sukcesu Trumpa – przekonuje Jordan. – Nie chcą być częścią ślepego kultu Trumpa. Coraz trudniej utożsamiać im się z Partią Republikańską, zdominowaną przez jego radykalną retorykę.

ARCHIWUM PRYWATNE x3

DANIELLA GORAL *waha się między Trumpem a Harris. Kampania przypomina jej kiepski film political fiction.*

ARIKA LYCAN *nie poprze ani Demokratów, ani Republikanów, bo obie partie bezwarunkowo wspierają Izrael.*

KATEY MORSE *odda głos na Kamalę Harris, ale głównie dlatego, że boi się powrotu Trumpa do władzy.*

Na ostatniej prostej

Ellen i Jordan walczą o każdy głos w Pensylwanii, gdzie do zdobycia jest aż 19 głosów elektorskich (w skali całego kraju do zwycięstwa potrzeba ich 270). Tych 19 głosów to ważny kawałek wyborczego „tortu" także dlatego, że w dziesięciu spośród dwunastu poprzednich wyborów prezydenckich droga po zwycięstwo wiodła właśnie przez Pensylwanię.

Dziś jest to także stan, do którego – przy niezwykle wyrównanym wyścigu – sztaby wyborcze obojga kandydatów pompują najwięcej środków na reklamy. Właśnie tutaj odbyła się 10 września telewizyjna debata, podczas której nie zabrakło wątków ważnych dla Pensylwanii.

Prowadzący debatę dziennikarze telewizji ABC dopytywali więc Kamalę Harris, dlaczego zmieniła zdanie w sprawie wydobycia gazu łupkowego metodą hydraulicznego szczelinowania (tzw. *fracking*). Pięć lat temu, występując jako kandydatka do nominacji Partii Demokratycznej (otrzymał ją wtedy Biden), Harris opowiedziała się za zakazem tej kontrowersyjnej technologii. Dziś, walcząc o głosy w Pensylwanii, gdzie przemysł wydobywczy napędza tutejszą gospodarkę, Harris nie chce słyszeć o restrykcjach. Mimo to Trump straszy, że jej zwycięstwo oznaczałoby koniec frackingu.

Gest wobec Las Vegas

To, jak ważni dla obu kandydatów są mieszkańcy Pensylwanii, pokazuje również spór wokół perspektywy sprzedaży US Steel – firmy z Pittsburgha, która produkuje stal. Chce ją przejąć japońska spółka Nippon Steel. W imię obrony amerykańskiego przemysłu, a przede wszystkim przypodobania się wyborcom ze związków zawodowych, transakcji sprzeciwiają się zgodnie Trump, Harris i Biden. Według mediów jego administracja prawdopodobnie podejmie decyzję w sprawie przejęcia US Steel dopiero po wyborach.

Stawka w Pensylwanii jest tak duża, że oba sztaby mocno zabiegają nie tylko o głosy niezależnych wyborców, mieszkańców wsi i pracowników fabryk, ale też Latynosów i Amerykanów polskiego pochodzenia – ci drudzy stanowią ok. 5 proc. ludności w tym stanie.

Wyrównana walka toczy się nie tylko o Pensylwanię. Podobna sytuacja jest także w sześciu innych stanach „wahających się". W Nevadzie doszło do tego, że oboje kandydaci składają takie obietnice jak zniesienie opodatkowania napiwków dla pracowników sektora usług i branży hotelarskiej. To gest adresowany do mieszkańców Las Vegas, stolicy światowego hazardu.

Harris i Trump prześcigają się także w propozycjach, jak ulżyć klasie średniej. Demokratka obiecuje rządowe dopłaty do kredytów hipotecznych, ulgi podatkowe dla rodzin z dziećmi oraz dla małych przedsiębiorców. Z kolei Trump zapowiada, że zdusi inflację, obniży podatki i całkowicie zniesie podatek od emerytur.

Sto tysięcy przeciw Bidenowi

Na Arikę Lycan, osobę niebinarną z Ypsilanti, niespełna 20-tysięcznego miasta w stanie Michigan, takie obietnice nie działają. Arika pracuje w dziale administracji na University of Michigan i ma to szczęście, że razem z partnerem spłacili już kredyt hipoteczny na dom. Ich syn dorasta, nie muszą więc wydawać ponad tysiąc dolarów miesięcznie na żłobek. ↦

Dla Ariki tematem, który odgrywa istotną rolę, jest wojna izraelsko-palestyńska w Gazie, a konkretnie sposób, w jaki prowadzi ją Izrael. Zginęło tam już ponad 40 tys. Palestyńczyków, głównie cywilów. Arika nie chce patrzeć na to obojętnie. Głos przeciw Bidenowi w lutowych prawyborach Partii Demokratycznej – to był akt protestu Ariki wobec wsparcia rządu USA dla Izraela.

Takich jak Arika w Michigan, gdzie mieszka duża społeczność amerykańsko-arabska, było ponad 100 tysięcy, czyli 13 proc. głosujących. Czerwoną kartkę Bidenowi pokazały z tego powodu także tysiące wyborców w innych stanach.

„Nie popieram ludobójstwa"

Od miesięcy Arika, lat 39, angażuje się w propalestyńskie protesty. Także w ten w Chicago, gdzie w czasie konwencji Partii Demokratycznej demonstranci domagali się zawieszenia broni w Gazie i embarga na dostawy broni z USA dla Izraela.

Arika nie kryje frustracji, że Harris jest gotowa w dużym stopniu kontynuować politykę bliskowschodnią Bidena. Pokazała to podczas przemówienia na konwencji: wprawdzie mówiła o cierpieniu cywilów w Gazie, ale jednocześnie poparła prawo Izraela do samoobrony (w języku amerykańskiej polityki oznacza to wsparcie dla izraelskiego rządu) i zaznaczyła, że musi mieć on na to fundusze. Podczas konwencji aktywistów rozczarował też fakt, że na mównicę nie zaproszono przedstawiciela palestyńskich Amerykanów – choć wystąpili bliscy jednego z izraelskich zakładników.

Arika: – Mam niewielkie nadzieje, że Harris zdobędzie się na zmianę kursu wobec Izraela. Jako osoba niebinarna boję się powrotu Trumpa. Jednak głosowanie na kandydatkę wspierającą ludobójstwo jest dla mnie równie nieakceptowalne, co poparcie dla jej rywala.

Dlatego Arika rozważa głosowanie na jednego z kandydatów niezależnych. Choć w Stanach, zdominowanych przez dwie partie, ich start w zasadzie się nie liczy. Najbardziej prominentny z nich, Robert F. Kennedy Jr., na finiszu kampanii mógł liczyć na zaledwie 7 proc. poparcia. Pod koniec sierpnia zrezygnował z wyścigu i poparł Trumpa.

ARCHIWUM PRYWATNE

ELLEN COX *jako delegatka hrabstwa Bucks na lipcowej konwencji Partii Republikańskiej w Milwaukee.*

DOMENICA FREIRE / ARCHIWUM PRYWATNE

JORDAN RHONE *chodzi od drzwi do drzwi i przekonuje mieszkańców hrabstwa Montgomery do Kamali Harris.*

Ze strachu przed Trumpem

Katey Morse, 44-letnia pracowniczka banku z Grand Rapids w zachodnim Michigan, przyznaje, że kilka miesięcy przysłuchiwała się z ciekawością wystąpieniom Kennedy'ego. Choć to antyszczepionkowiec znany z rozsiewania teorii spiskowych, zainteresował ją centrowymi poglądami – jak walka z nielegalną imigracją przy jednoczesnym utrzymaniu przychylnej polityki dla imigrantów, którzy chcą przyjechać do USA legalnie.

Katey rozglądała się za jakąś alternatywą, bo była zawiedziona faktem, że musiałaby znowu – jak w 2020 r. – wybierać między Bidenem a Trumpem. Dziś, gdy Bidena zastąpiła 59-letnia Harris, Katey czuje ulgę i mówi, że podobają jej się niektóre postulaty, jak ulgi podatkowe dla małych przedsiębiorstw. Podkreśla jednak, że odda głos na Harris głównie dlatego, że boi się powrotu Trumpa do władzy.

Tłumaczy przy tym, że nie chce popełnić tego samego błędu co w 2016 r. Wówczas, zwiedziona obietnicami rozkręcenia amerykańskiej gospodarki, zaufała nowojorskiemu biznesmenowi. Dzięki takim wyborcom jak Katey wygrał on wtedy w – decydujących dla jego finalnego zwycięstwa – stanach Michigan, Pensylwanii i Wisconsin. Pokonał tam Hillary Clinton niewielką przewagą – niecałych 80 tys. głosów.

„Z przymrużeniem oka"

– Dla mnie Trump to egocentryk i mizogin, dla którego nie liczy się dobro Ameryki, lecz zaspokojenie własnych ambicji. Do tego jest groźny dla bezpieczeństwa naszego kraju: spójrzmy, jak dobrze dogadywał się z dyktatorami, takimi jak Kim Dzong Un czy Władimir Putin. To przerażające – uważa Katey Morse.

Z tym poglądem Katey zapewne nie zgodziłby się Scott Mann, także wyborca z Michigan. Dyrektor sprzedaży z White Lake, cytowany przez dziennik „Detroit Free Press", uważa, że to właśnie Donald Trump byłby skuteczniejszy niż Kamala Harris w naciskach na rozwiązanie światowych konfliktów.

Na Trumpa głosować planuje także Lori Mayer, 64-letnia kierowca autobusu szkolnego. Mayer mówi, że zrobi to z dwóch powodów. Według niej były prezydent lepiej poradzi sobie z inflacją i napływem nielegalnych imigrantów do USA, którzy podbierają jej mężowi pracę przy malowaniu domów. „Na Trumpa trzeba patrzeć z przymrużeniem oka. Większość polityków kłamie, a on przynajmniej mówi to, co uważa, i nie muszę się niczego domyślać" – mówi Lori Mayer, cytowana przez „Detroit Free Press".

Pośrodku

Na sześć tygodni przed wyborami są też tacy, którzy nie podjęli jeszcze decyzji, na kogo głosować. Daniella Goral, 38-letnia Amerykanka polskiego pochodzenia,

OGŁOSZENIE

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

NASZE DZIENNIKARKI i NASI DZIENNIKARZE goszczą co tydzień w „Światopodglądzie" radia Tok FM. Słuchaj nas, gdziekolwiek jesteś.

95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław | 96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź | 97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań
87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń | 89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin | 94,9 FM Kielce **www.tokfm.pl**

nia, mówi mi wprost, że tegoroczna kampania przypomina jej kiepski film *political fiction*.

– Trochę mi wstyd, że choć mamy tak wielu polityków w Ameryce, to po raz kolejny wystawiliśmy Trumpa i Bidena, którego na ostatniej prostej zastąpiła Harris – tłumaczy Daniella i dodaje, że ma wątpliwości, czy Demokraci są pewni kompetencji Harris, skoro wystawili ją do walki tak późno.

Do kompetencji Harris nie przekonała Danielli wrześniowa debata telewizyjna. – Owszem, ona atakowała Trumpa, mówiła o Polonii w USA i nie gadała głupstw o imigrantach zjadających koty – mówi Daniella, nawiązując do słynnych słów Trumpa na temat haitańskich imigrantów, którzy rzekomo mieli zjadać koty i psy w mieście Springfield w stanie Ohio.

Jednak dla Danielli to nie jest wystarczający powód, żeby poprzeć Harris. – Z drugiej strony – dodaje – gdy oglądałam tę debatę, przypomniałam sobie o szturmie na Kapitol 6 stycznia 2021 r. i problemach prawnych Trumpa. No więc, choć chciałabym zagłosować na Partię Republikańską, bo bardziej podoba mi się jej program gospodarczy, to trudno jest mi poprzeć tego faceta... – wyznaje konsultantka w branży przemysłowej, do której trafiają obietnice odbudowy amerykańskich fabryk.

Arytmetyka po amerykańsku

Z punktu widzenia wyniku walki o Biały Dom dylematy Danielli Goral nie mają jednak aż tak istotnego znaczenia.

Choć pochodzi ona z Pensylwanii, dziś mieszka w New Jersey. Tymczasem od roku 1992 większość mieszkańców tego stanu nieprzerwanie i konsekwentnie głosuje w wyborach prezydenckich na kandydatów Demokratów.

O tym zaś, kto z tej dwójki – Harris czy Trump – przekroczy magiczną granicę 270 głosów elektorskich, zdecydują na koniec przede wszystkim mieszkańcy tych siedmiu stanów „wahających się". Tak działa arytmetyka amerykańskiej demokracji.

© MARTA ZDZIEBORSKA

Autorka jest dziennikarką „Press" i stałą współpracowniczką „Tygodnika Powszechnego".

GRAŻYNA MAKARA & KATARZYNA WŁOCH

Ewelina Burda:

Nie potrafię sama wytłumaczyć świata. Ale szukam bohaterek i bohaterów, z którymi wspólnie próbujemy. Łamiemy tabu. Odzyskujemy przemilczane tematy: od menopauzy do rodzicielstwa osób z niepełnosprawnościami. Nowym językiem mówimy o sprawach starych jak świat. A kolejne czekają na prawdziwe opowiedzenie.

Na zdjęciu w towarzystwie koleżanek z „Tygodnika": Anny Łabuszewskiej, Anny Goc, Anny Golus, Katarzyny Kubisiowskiej, Moniki Ochędowskiej i Zuzanny Radzik

Autorki „Tygodnika" odważnie prowadzą Czytelniczki i Czytelników przez nasz skomplikowany świat, zachęcają do patrzenia na rzeczywistość z różnych perspektyw.

powszech.net/dar

TYGODNIK POWSZECHNY

Twoje wsparcie dla Fundacji Tygodnika Powszechnego pozwala zmieniać świat. Naprawdę

OPP

NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

HISTORIA

WIELKI MISZA

Jego życie toczyło się oszałamiającymi zygzakami: od celebryty przez więźnia gułagu po współpracę z Hollywood. Ciosy od losu przekuwał w sukcesy. 120 lat temu urodził się Michał Waszyński, najsłynniejszy reżyser filmowy międzywojennej Polski.

STANISŁAW CALIK

To, co o nim wiemy, jest mieszanką faktów i legend. Ukrywał wiele rzeczy, nie zostawił wspomnień. Miał wyjątkowy talent do opowiadania historii. Ale to, co mówił o sobie nawet przyjaciołom, często ubarwiał fantastycznymi szczegółami.

MISZA | W połowie lat 30. XX w., gdy stanie się już znanym reżyserem filmowym, będzie twierdzić, że urodził się w Warszawie w polskiej rodzinie katolickiej. Będzie pokazywać nawet dokument mający potwierdzać chrzest w stołecznym kościele.

W rzeczywistości przychodzi na świat 29 września 1904 r. w wołyńskim Kowlu (wtedy Imperium Rosyjskie, dziś Ukraina), w wielodzietnej żydowskiej rodzinie jako Misze (lub Mosze) Waks. Jego ojciec jest kowalem, matka sprzedaje drób na targu.

Od tamtych wołyńskich czasów, gdy ma ulicznych towarzyszy zabaw, prosi, by nazywać go Misza. Przez resztę życia, gdziekolwiek będzie – czy to w Ukraińskiej Republice Ludowej, czy w międzywojennej Polsce, a potem na Bliskim Wschodzie, we Włoszech, Hiszpanii – będzie nazywać się tylko tak.

Nazwisko zmieni w Warszawie, na początku swojej kariery filmowej.

UCIEKINIER | Wróćmy do Kowla. Chłopiec kończy tam żydowską szkołę i wstę-

Michał Waszyński w środku. Na zdjęciu ponadto operatorzy Juliusz Mars i Ferdynand Vlasak, reżyser Henryk Szaro (drugi z prawej) i aktor Zbigniew Sawan (pierwszy z prawej). Ok. 1925-1930 r.

puje do jesziwy, wyższej szkoły religijnej. Lecz nagle ten doskonały dotąd uczeń zostaje wydalony – z powodu skandalu. Natychmiast opuszcza też Kowel.

Co się stało? Później będzie wyjaśniać to niemal heroiczną historią: oto podczas lekcji rabin miał opowiadać, jak unikać diabłów, a Waks zuchwale miał zapytać, czy one w ogóle istnieją. Rabin rozgniewał się, spoliczkował go i wyrzucił z klasy...

Czy byłby to jednak powód do wydalenia? A tym bardziej do ucieczki z rodzinnego miasta? Bardziej prawdopodobne jest, że w tym czasie u 14-latka, który przechodzi okres dojrzewania, już wtedy ujawnia się homoseksualizm. Być może ma miejsce jakaś intymna historia – być może Misza okazuje „oznaki uwagi" koledze lub przyjacielowi; może wydarza się coś więcej. To zaś rzeczywiście może być podstawą do wydalenia.

W każdym razie jest rok 1918, gdy rodzice szybko odsyłają syna z Kowla.

AKTOR | Biografowie Waszyńskiego udzielają różnych odpowiedzi na pytanie, dokąd się udał. Niektórzy uważają, że w ogóle nie wiadomo na pewno, gdzie przebywał w latach 1918-22. Inni twierdzą, że pojechał od razu do Warszawy. Jeszcze inni, że do Kijowa, gdzie uczył się w gimnazjum razem z Hryhorijem Kozincewem, przyszłym reżyserem filmowym.

Z dokumentów wynika, że pod koniec 1918 r. Misza istotnie jest w Kijowie, wtedy stolicy niepodległej Ukrainy rządzonej przez hetmana Skoropadskiego. Zamieszkuje u krewnych. Jednak nie uczy się w V gimnazjum, do którego chodzi Kozincew. Byłoby dziwne jechać tam dwoma tramwajami przez całe miasto, skoro bliżej są inne gimnazja. Zresztą z powodu trwającej wojny z bolszewikami wszystkie gimnazja są wtedy zamykane.

W Kijowie Waks jest za to kolegą Kozincewa w eksperymentalnym teatrzyku Arlekin. Wkrótce ten teatr zostanie zamknięty, a Misza dołączy do studia aktorskiego Młodego Teatru Polskiego, prowadzonego przez nowatorską reżyserkę Stanisławę Wysocką.

W październiku 1919 r. Wysocka jedzie do Warszawy. Wydaje się, że wcześniej doradza utalentowanemu uczniowi, by ten kontynuował naukę w III Studiu Teatru Artystycznego w Moskwie (prowadzi je reformator sceny Jewgienij Wachtangow). Wysocka wie o tym studiu od Konstantina Stanisławskiego, założyciela Moskiewskiego Teatru Artystycznego, z którym koresponduje.

Późniejsze opowiadania Waszyńskiego, że studiował u Wachtangowa, nie muszą być więc fikcją. Żaden z jego biografów jednakże w to nie wierzy.

SPOTKANIE | Wiosną 1922 r. Waks otrzymuje list z Warszawy: Wysocka informuje go, że wykłada w szkole aktorskiej przy wytwórni filmowej, i pyta, czy chciałby dołączyć do jej klasy. Oczywiście, że chce. Jedzie do stolicy Polski. Za chwilę skończy 18 lat.

Kurs w szkole aktorskiej trwa cztery miesiące. Wysocka uczy mimiki, dykcji, plastyki i rytmu. Kurs ruchu scenicznego prowadzi z kolei Bronisława Niżyńska, młodsza siostra tancerza Wacława Niżyńskiego. Szkołę aktorską zaś prowadzi jej założyciel Wiktor Begański, aktor i reżyser, pionier polskiego kina i właściciel wytwórni filmowej.

Spotkanie z Begańskim okazuje się przełomowe. Po pierwsze, w jego filmie „Zazdrość" Misza debiutuje jako aktor filmowy i otrzymuje przychylne recenzje krytyków. Po drugie, szef doradza mu, aby dla dobra przyszłej kariery zmienił imię i nazwisko na polskie. I tak zamiast Misze Waksa pojawia się Michał Waszyński. A gdy postanawia zostać reżyserem, Begański pomaga mu znaleźć pieniądze na staż w Berlinie, ówczesnej stolicy europejskiego kina.

STAŻYSTA | Później, w latach 60., Waszyński będzie się chwalić, że w Berlinie pracował jako asystent Friedricha Murnaua, klasyka światowego kina. I że nawet nakręcił na jego zlecenie prawie połowę słynnego filmu „Nosferatu – symfonia grozy".

Czy to prawda? Z „Nosferatu" zdecydowanie przesadził – premiera w Niemczech ma miejsce w marcu 1922 r., gdy on dopiero wyjeżdża do Warszawy.

A czy mógł asystować Murnauowi przy innych filmach? Czasopisma „Kino" (w 1934 r.) oraz „Film" (w 1938 r.) będą twierdzić, że Waszyński asystował Murnauowi. Cóż, dziennikarze mogli to napisać na podstawie jego własnych słów. Ale sowieckie publikacje z lat 80. również będą twierdzić, że był asystentem Murnaua.

W każdym razie, w Berlinie Misza asystuje również innym reżyserom. Na przykład Johannesowi Guterowi przy filmie „Die Prinzessin Suwarin" (Księżniczka Suwarin).

DEBIUTANT | Wróciwszy z Berlina, przez pięć lat Waszyński pracuje w Warszawie jako asystent znanych reżyserów – i sam staje się znany jako najlepszy w zawodzie asystenta. Marzy jednak o tym, by znaleźć producenta dla własnego filmu.

Wreszcie w 1929 r. debiutuje melodramatem „Pod banderą miłości". Jest on reklamowany na plakacie jako „pierwszy polski film morski".

Pomysłowy Misza zadziwia widzów: na ekranie pojawia się – po raz pierwszy w polskim kinie – blondynka, i to od razu w roli głównej! Wcześniej reżyserzy obsadzali aktorki i aktorów o ciemnych włosach, gdyż taśma ortochromatyczna nie odbierała kolorów żółtego i czerwonego, więc blondynki i blondyni wyglądali nieatrakcyjnie.

Jednak Waszyński dostaje nowy rodzaj taśmy filmowej: panchromatyczną, która nie ma tej wady. W głównej roli obsadza blondynkę Marię Bogdę, czyniąc z niej gwiazdę – i wprowadzając nowy standard ekranowego piękna.

Utalentowanemu debiutantowi powierzona zostaje polsko-austriacka koprodukcja „Kult ciała" z udziałem europejskich gwiazd. „Kurjer Filmowy" nazywa ten film „hitem sezonu" i „arcydziełem polskiej produkcji". Film zostaje kupiony przez 11 europejskich krajów i zdobywa Grand Prix oraz Złoty Medal na międzynarodowym konkursie w Nicei.

O 26-letnim Waszyńskim zaczyna mówić cała Polska. Nie on szuka już producentów, lecz oni ustawiają się do niego w kolejce.

PIONIER | Uwielbiają go zarówno producenci (filmuje szybko, za minimalne pieniądze, a filmy osiągają wyniki kasowe), jak i aktorzy (robi z nich gwiazdy). Publiczność zaś czeka na jego filmy, bo jego nazwisko na plakacie zapowiada ciekawą komedię czy melodramat. ↦

NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE x2

Od lewej: Michał Waszyński, 1931 r. Z aktorką Elżbietą Kryńską, 27 stycznia 1939 r.

↦ On sam stara się w każdym filmie zaskoczyć czymś widzów: kręci pierwszą polską komedię muzyczną, pierwszą polską komedię sportową, pierwszą polską komedię wojenną, pierwszy polski film nakręcony w Afryce, pierwszy polski film z Tahitanką w roli głównej, pierwszy hollywoodzki film w Polsce, pierwsze filmy fabularne o Lwowie, pierwszy polski film, w którym pokazano „film w filmie" (to, co dzieje się na ekranie, jest snem bohatera).

Zrobi też jeden z pierwszych na świecie muzycznych wideoklipów. Piosenki z jego filmów stają się przebojami i są wydawane na płytach.

Waszyński jest czempionem polskiego kina międzywojennego. W ciągu 10 lat kręci 40 filmów. Niektóre są dziś uznawane za klasykę polskiego kina, a „Dybuk" za klasykę światową.

LUKSUS | Nie ma jeszcze 35 lat, a żyje już nie tylko w sławie, ale też w luksusie.

Jego honoraria sięgają 12 tys. zł za film. Czyli, kręcąc średnio cztery filmy rocznie, zarabia w rok ok. 48 tys. zł. Dla porównania: górnik zarabia średnio 2100 zł rocznie, hutnik 2700 zł, urzędnik państwowy 3600 zł, pułkownik 8400 zł.

Apartament, w którym mieszka, przypomina pałac z tysiąca i jednej nocy: pokoje mają wykwintne żyrandole ze szkła weneckiego, a łazienka jest wyłożona marmurem z Carrary. W salonie i sypialni leżą perskie dywany. Naokoło zaś arabska ceramika, orientalne rzeźby, egzotyczne lampiony. Gości wita młody sługa ubrany w orientalny strój.

Reżyser ma też garaż z drogimi samochodami i własną stajnię z końmi (do gry w polo). W weekendy wyjeżdża zaś z kolejnym kochankiem do swojego wiejskiego domu pod Warszawą.

DROGA | Wybuch II wojny światowej niszczy także jego świat.

Ucieka z Warszawy. Zdaje sobie sprawę, że Niemcy szybko zweryfikowaliby jego pochodzenie. Porzuca wszystko: nieruchomości, auta.

Najpierw trafia do Białegostoku, okupowanego przez Związek Sowiecki, a potem do Lwowa. Tu aresztuje go NKWD (świadkiem aresztowania jest żona kompozytora Henryka Warsa). Trafia na Syberię, do gułagu. W filmie „Wielka droga", który nakręci w 1946 r. we Włoszech, będąc żołnierzem stacjonującej tam armii Andersa (to pierwszy powojenny fabularny film polski), przedstawi życie w stalinowskim obozie koncentracyjnym z taką precyzją, jaką może odtworzyć świadek.

Z gułagu ratuje go – jak innych zesłańców – atak Hitlera na Stalina w 1941 r. Dyktator udziela „amnestii" (za nieistniejące winy) więźniom-obywatelom II RP i pozwala im wstępować do armii polskiej gen. Andersa, tworzonej w Związku Sowieckim.

W jej szeregach kapral Waszyński dowodzi małą ekipą filmową, która dokumentuje wojenny szlak tej armii: z sowieckiej nieludzkiej ziemi do Iranu, potem na Bliski Wschód i do Włoch. Grupa Waszyńskiego kręci także epizody bohaterskiego szturmu Monte Cassino.

KSIĄŻĘ | Po wojnie „wielki Misza" (tak nazywa go Irena Anders, żona generała) zostaje we Włoszech. Zaprzyjaźnia się z hrabiną Marią Dolores Carancini, która zapoznaje go z włoską arystokracją. W jej kręgach emigrant „podbija stawkę": przedstawia się jako polski książę. Opowiada o szczęśliwym dzieciństwie w majątku ojca z wielkim pałacem, parkiem, jeziorami, kościołem, niekończącymi się polami i lasami. Twierdzi, że ojca zabili naziści, a majątek skonfiskowali komuniści.

Kontakty wśród włoskich arystokratów pozwalają mu nawiązać znajomości z wpływowymi osobami: brytyjską królową Elżbietą, majętną rodziną Dupont itd. Udaje mu się zorganizować audiencję u papieża Piusa XII dla hollywoodzkiego reżysera Mervyna LeRoya.

W Rzymie Misza uzyskuje nawet dokument, który poświadcza jego książęcy tytuł.

Polskich emigrantów unika – ci mogliby zdemaskować jego legendę.

PRODUCENT | W tym czasie studia z Hollywood szukają kogoś, komu mogłyby powierzyć zarządzanie kręceniem swoich filmów w Europie – jest to tańsze niż w Ameryce. Taką osobą staje się Misza. Bierze udział w powstaniu światowych hitów: „Rzymskie wakacje", „Upadek Cesarstwa Rzymskiego", „Quo Vadis" i innych. Filmy te zdobywają Oscary, Złote Globy i nagrody na Festiwalu Filmowym w Cannes.

Waszyński produkuje filmy o rekordowych budżetach, zarządza dziesiątkami milionów dolarów. Staje się jednym z najbardziej wpływowych producentów filmowych na świecie.

Współpracuje z wybitnymi reżyserami, jak Orson Welles, Joseph Mankiewicz, Nicholas Ray. Z gwiazdami filmowymi – jak Gregory Peck, Gina Lollobrigida, Humphrey Bogart, Ava Gardner. Odkrywa dla kina takie gwiazdy jak Audrey Hepburn i Sophia Loren.

EPILOG | Michał Waszyński z rozmachem reżyserował nie tylko filmy, ale i własne życie. Oto finał: w lutym 1965 r. ten chłopiec z Wołynia, zmarły przedwcześnie w wieku 60 lat, jest chowany w Rzymie z prawdziwie książęcymi honorami – na cmentarzu Campo Verano, obok grobów słynnych włoskich kardynałów i przedstawicieli arystokratycznych rodzin.

© STANISŁAW CALIK

WŁÓCZYKIJ KULTURALNY

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK SPECJALNY
„TP" 39/2024

„ahat ilī. Siostra bogów", reż. Anna Augustynowicz, Teatr Polski w Bydgoszczy, premiera 31 sierpnia 2024 r.

NATALIA KABANOW / MATERIAŁY PRASOWE

Najważniejsze teatralne premiery sezonu

DARIUSZ KOSIŃSKI

Nie ma rady: trzeba brać do ręki kalendarz i zapisywać daty kolejnych świetnych spektakli w Gdyni, Kielcach, Łodzi, Rzeszowie, Szczecinie czy Warszawie. Oto nasz przewodnik na najbliższe miesiące.

↦

Na afisze wielu polskich teatrów powróciły tytuły, których premiery odbyły się krótko przed wakacjami, a nawet takie, które po raz pierwszy pokazano w ich trakcie. Swoistym rekordzistą jest tu **Teatr Polski w Bydgoszczy**, który zakończył sezon 31 sierpnia premierą wyreżyserowanego przez Annę Augustynowicz przedstawienia „ahat ilī. Siostra bogów", odwołującej się krytycznie do babilońskiego mitu o Inanie adaptacji książki Olgi Tokarczuk. Coś jest na rzeczy z tymi boginiami, bo w **Teatrze im. Jaracza w Olsztynie** Justyna Łagowska przygotowuje przedstawienie „Mitologia. Nie-boginie" według tekstu Darii Sobik, w którym przyjrzymy się krytycznie mitom.

Za to już 14 września w **Teatrze Muzycznym w Gdyni** miłośnicy musicali i twórczości Henryka Sienkiewicza mieli okazję spotkania z „Quo vadis" w adaptacji i reżyserii Wojciecha Kościelniaka, z muzyką Mariusza Obijalskiego. Tego samego dnia na przeciwległym końcu Polski i teatralnych estetyk odbyła się premiera „Przemiany" Franza Kafki w reżyserii i adaptacji Michała Kmiecika (**Wrocławski Teatr Współczesny**). Tydzień później kolejna radykalna zmiana: „Balladyna" Juliusza Słowackiego przerobiona przez Joannę Zdradę dla warszawskiej **Rampy** na osadzoną w latach 90. muzyczną opowieść kryminalną.

Sensacyjnie zapowiada się także weekend najbliższy: 27 września w **Teatrze Śląskim w Katowicach** Janusz Opryński pokaże własną adaptację „Wojny i pokoju" Lwa Tołstoja. Rosyjska powieść o wojnie wystawiona zostanie w czasach realnego zagrożenia wojną rosyjską, do tego w połączeniu z „Wojną peloponeską" Tukidydesa.

O walkach nieco mniejszego kalibru, ale nie mniej zaciętych, tego samego dnia opowie **Teatr Polski w Bydgoszczy**, który zaprasza na premierę przedstawienia „Fight Club, czyli męskie kręgi". Rzecz dzieje się w pralni Jutrzenka, reżyseruje Marcel Osowicki. Dzień później, bo 28 września, kolejny, tym razem superklasyczny konflikt dwóch rodów z Werony: premiera Szekspirowskiego „Romea i Julii" w **Teatrze Muzycznym Capitol we Wrocławiu** w reżyserii Jana Klaty i z muzyką Endy'ego Ydena, czyli Andrzeja Strzemżalskiego. A ponieważ Szekspir jest najpopularniejszym autorem teatralnym w Polsce, już kilkanaście dni później, 10 października, premierę będzie mieć kolejny jego dramat, „Henryk IV", którego na scenie **Teatru Polskiego w Warszawie** reżyseruje Ivan Alexandre.

MATERIAŁY PRASOWE

Plakat spektaklu „Hotel ZNP", Teatr Nowy w Łodzi.

W październiku

Dwa ostatnie weekendy października przyprawią miłośników teatru o ból głowy. Ponieważ w listopadzie jeden po drugim czekają nas przedłużone okresy świętowania, większość teatrów tak układa repertuar, by zdążyć z premierami tuż przed nimi. I tak już 18 października będzie można się przekonać, co w praktyce oznacza zapowiadane przez nowe kierownictwo **Narodowego Starego Teatru w Krakowie** umiędzynarodowienie repertuaru. Tego dnia ma się odbyć premiera autorskiego spektaklu niemieckiego reżysera Juliana Hetzela „Ziemia jest płaska", zapowiadana jako multidyscyplinarna spekulacja na temat alternatywnych wyobrażeń i narracji. Także 18 października, ale w **Teatrze Polskim w Poznaniu** Piotr Paczesiak zaprezentuje własną adaptację głośnej powieści Jeana Geneta „Querelle z Brestu".

Następnego dnia z Krakowa bądź z Poznania warto się udać do Warszawy, gdzie w **Teatrze Powszechnym** przedstawienie na podstawie głośnego filmu Larsa von Triera „Przełamując fale" przygotowuje Ewa Platt, albo do Łodzi, gdzie w **Teatrze Nowym** Kuba Kowalski wystawi napisaną przez Małgorzatę Maciejewską adaptację powieści Izabeli Tadry „Hotel ZNP". Geograficznie rozrzut spory, ale wygląda na to, że gdziekolwiek by się pojechało – będzie zarówno niecodziennie, jak i queerowo.

Na pandemonium teatralne zanosi się w ostatni weekend października. Z jednej strony oczekiwane od dawna wielkie święto sceny kieleckiej: otwarcie po wieloletnim remoncie siedziby **Teatru im. Stefana Żeromskiego** inscenizacją „Baśni o wężowym sercu" Radka Raka w reżyserii Marcina Libera. Z drugiej – w **Teatrze Narodowym w Warszawie** premiera „Fausta" Johanna Wolfganga Goethego w reżyserii Wojciecha Farugi. Oba spektakle – 26 października.

Dzień wcześniej miłośnicy teatru będą zapewne w Sosnowcu, gdzie w piątek 25 października **Teatr Zagłębia** pokaże „Historię Sosnowca" napisaną przez Weronikę Murek i wyreżyserowaną przez Katarzynę Szyngierę. Wdzięczność należy się scenie zagłębiowskiej, że premierę planuje właśnie tego dnia, bo już w sobotę 26 października odbyć się mają także: pierwsze prezentacje „ONO-1", czyli projektu Wery Makowskx podejmującej refleksję nad sztuczną inteligencją (**Teatr Kochanowskiego w Opolu**), premiera głośnych „Córek Leara" Elaine Feinstein w reżyserii Darii Kopiec (**Teatr Bogusławskiego w Kaliszu**) oraz przedstawienie pod roboczym tytułem „Nieprzekupna", w którym Jolanta Janiczak i Wiktor Rubin chcą się przyjrzeć niesamowitej osobowości i biografii Stanisławy Przybyszewskiej (**Teatr Fredry w Gnieźnie**). Tego się po prostu pogodzić nie da!

W listopadzie

Wobec takiego bogactwa wczesnej jesieni trzeba tym bardziej wyróżnić teatry, które odważyły się zaplanować swoje premiery w trakcie jednego z przedłużonych weekendów – 9 listopada. Pierwszy to **Teatr Modrzejewskiej w Legnicy**, który na ten dzień zapowiada pokaz adaptacji głośnej książki Joanny Kuciel-Frydryszak „Chłopki", nad którą pracuje duet Hubert Sulima i Jędrzej Piaskowski. Drugi to **Teatr Współczesny w Szczecinie**, gdzie czeka nas premiera autorskiej adaptacji zupełnie innej książki – „Frankensteina" Mary Shelley. Na scenę przystosował ją Mateusz Górniak, reżyseruje Grzegorz Jaremko.

W poświąteczny weekend 15 listopada wrocławski **Teatr Polski w Podziemiu** zaprasza na pierwszą z kilku w tym sezonie premier przygotowanych przez Ka-

MATERIAŁY PRASOWE

PRZEMYSŁAW BURDA / MATERIAŁY PRASOWE

„Przemiana" wg Franza Kafki, reż. Michał Kmiecik, Wrocławski Teatr Współczesny. Poniżej: „Quo vadis", reż. Wojciech Kościelniak, Teatr Muzyczny w Gdyni.

tarzynę Minkowską: autorską adaptację popularnej powieści Ali Smith „Jesień". Reżyserka, która w poprzednich sezonach błyskawicznie zdobyła pozycję jednej z najzdolniejszych artystek młodego pokolenia, będzie w tym sezonie bardzo zajęta: w lutym 2025 r. w **Nowym Teatrze** wystawi spektakl dla dzieci na podstawie książki Marzeny Matuszak „Człowiek, jaki jest, każdy widzi", na wiosnę zaś w **krakowskim Starym** zapowiadana jest jej wersja „Scen z życia małżeńskiego" Ingmara Bergmana.

Ostatnie tygodnie przed wielkim świętowaniem końca rocznego cyklu też będą intensywne. Miłośnicy sprawdzonych marek i znanych nazwisk z pewnością nie pominą premiery „Pułapki na myszy" Agathy Christie w **Teatrze Ateneum w Warszawie**.

Ciekawi nowych interpretacji klasycznych dzieł wybiorą się zapewne do **Teatru Słowackiego w Krakowie**, by zobaczyć, co z „Panem Tadeuszem" zrobił Wojtek Klemm. A ulegający wpływom listopadowych cieni zwrócą uwagę na kolejną propozycję **TR Warszawa,** czyli „Orfeusza" w reżyserii Anny Smolar, antycznego mitu podejmującego temat utraty i żałoby.

Na listopad zapowiadane są jeszcze dwie interesujące premiery: adaptacja powieści Édouarda Louisa „Zmiana", którą przygotuje w **gdańskim Wybrzeżu** Radosław Rychcik, oraz „Zmęczone" Darii Sobik – gorzko-śmieszna opowieść o niedocenianych pracowniczkach nieartystycznych działów instytucji kultury, którą **Teatr Nowy w Łodzi** przemyślnie i przewrotnie przygotowuje na swój jubileusz 75-lecia (reżyseruje Joanna Drozda).

W grudniu

W grudniu nadal będzie się dziać wiele. Już pierwszego dnia miesiąca w krakowskiej **Łaźni Nowej** odbędzie się premiera „farsy religijnej" Mateusza Pakuły pt. „Latający Potwór Spaghetti", odwołującej się do Kościoła czczącego tę postać. Tydzień później, czyli 7 grudnia, w **Teatrze Polskim w Warszawie** Joanna Szczepkowska pokaże autorski spektakl „Separatka", a następnego dnia, też w Warszawie, w **Studio** odbędzie się frapująca premiera „Mahagonny. Afterparty" w reżyserii Krystiana Lady, łącząca słynny singspiel Weilla i Brechta z nową kompozycją Katarzyny Głowickiej i tekstami Bartosza „Fisza" Waglewskiego.

W kolejny weekend we **Wrocławskim Teatrze Współczesnym** odbyć się ma premiera adaptacji „Czekając na barbarzyńców" Johna Maxwella Coetzeego, autorstwa i w reżyserii Marka Fiedora, a tuż przed sezonem świątecznym, 19 grudnia, w **Teatrze Powszechnym w Warszawie** pojawi się tytuł jak najbardziej na ten czas odpowiedni – „Opowieść zimowa" według Williama Szekspira i w reżyserii bardzo zapracowanej w tym sezonie Pameli Leończyk.

W styczniu i lutym

Nowy Rok rozpocząć można hucznie w warszawskiej **Komedii** przypomnieniem wodewilu „Karnawał warszawski" Cyryla Danielewskiego z 1905 r. w reżyserii Sławomira Narlocha i z gwiazdorską obsadą. Niedługo potem radykalna zmiana i kolejna „buddyjska" premiera coraz bardziej zadomowionego w Krakowie Luka Percevala, który w **Starym Teatrze** przygotuje adaptację cyklu powieści Emila Zoli „Rodzina Rougon-Macquartów". Kluczowe dla podróżującego widza pytanie: ile trwa ten spektakl, nabiera tu znaczenia niemal metafizycznego.

Zimowe miesiące 2025 roku będą też czasem rodzimej superklasyki. **Teatr Polski w Warszawie** zapowiada premierę „Ślubów panieńskich" Fredry w reżyserii Dana Jemmetta, gdańskie **Wybrzeże** adaptację „Potopu" Sienkiewicza autorstwa Michała Siegoczyńskiego, a **Stary Teatr** dopełni wielką trójcę narodowego kanonu inscenizacją „Strasznego dworu" Stanisława Moniuszki w wersji Anny Obszańskiej. Po klasykę, tyle że ↦

JEREMI ASTASZOW / MATERIAŁY PRASOWE

KAROL BUDREWICZ / MATERIAŁY PRASOWE

Próba spektaklu „Historia Sosnowca" Weroniki Murek w reżyserii Katarzyny Szyngiery, Teatr Zagłębia w Sosnowcu. Po lewej: próba spektaklu „Chłopki", reż. Hubert Sulima i Jędrzej Piaskowski, Teatr Modrzejewskiej w Legnicy. Po prawej: „Trilogia Cadela Força–Capitulo I", reż. Carolina Bianchi, spektakl prezentowany w ramach Międzynarodowego Festiwalu Nowa Europa w Nowym Teatrze w Warszawie 18–19 października 2024 r.

↦ europejską, sięgnie dyrektor warszawskiego **Teatru Powszechnego** Paweł Łysak, wystawiając „Wiśniowy sad" Czechowa.

Na pierwsze miesiące nowego roku planowane są też interesujące premiery, których daty (a częściowo i tytuły) nie są jeszcze ustalone. W **Nowym Teatrze w Warszawie** Katarzyna Kalwat przygotuje spektakl oparty na tekstach francuskiej filozofki, Sarah Kofman, a we **wrocławskim Capitolu** Wiktor Rubin wystawi napisaną na zamówienie teatru przez Jolantę Janiczak sztukę „Gry wstępne", odwołującą się do głośnej historii śmierci Gabby Petito. **Teatr Śląski w Katowicach** planuje nową premierę Mai Kleczewskiej – spektakl będzie inspirowany twórczością Kazimierza Kutza.

Co ciekawe, na temat dwóch ostatnich interesujących premier pierwszej części sezonu mamy już komplet informacji. W **Teatrze Współczesnym w Szczecinie** 22 lutego pokazany zostanie spektakl nowego dyrektora artystycznego Michała Buszewicza, „Dom niespokojnej starości", podejmujący – jak łatwo się domyślić – jeden z najważniejszych życiowych tematów, z którym niemal wszyscy wcześniej czy później będziemy się musieli zmierzyć. Tydzień później, 28 lutego, w **Teatrze Szaniawskiego w Wałbrzychu** Agnieszka Olsten po raz kolejny zajmie się głośną sztuką Thomasa Bernharda „Immanuel Kant".

Festiwale teatralne

Jakby tego wszystkiego było mało, po pandemicznym kryzysie odradza się w Polsce życie festiwalowe. Sezon zaczęła przeniesiona na wrzesień odnowiona poznańska **Malta**. Między 28 września a 8 października odbywa się w warszawskim Studio **Przystanek Śląsk**. Rdzeniem przeglądu są prezentacje przedstawień teatrów Śląskiego i Korez, a także niezwykłego miłośniczego Teatru Naumionego z Ornontowic, który właśnie obchodził swoje 20-lecie.

Między 29 września a 13 października w Kielcach odbędzie się już szósty **Międzynarodowy Festiwal Teatralny**, na którym zaprezentowane zostaną najciekawsze nowe przedstawienia polskie oraz zaproszone spektakle z Berlina, Awinionu i (w późniejszym terminie) z Islandii.

Zdecydowanie wielodyscyplinarny charakter ma festiwal **Łódź Wielu Kultur** (4–14 października). Jego teatralny czy może raczej performatywny nurt tworzą: projekt Michała Zadary „400 m² nadziei" będący połączeniem instalacji i wykładu performatywnego, prezentacja romskiego teatru feministycznego Giuvlipen z Rumunii, premiera „Kliniki ocalenia złamanego serca" ukraińskiej artystki Victorii Myronyuk w niezwykłych przestrzeniach Collegium Anatomicum

CHRISTOPHE RAYNAUD DE LAGE / MATERIAŁY PRASOWE

oraz spektakle przeznaczone dla młodszych widzów.

W tym samym czasie (między 11 a 13 października 2024 r.) w Warszawie odbędzie się **23. Międzynarodowy Festiwal Sztuki Tańca i Performansu „Ciało/Umysł”**, na którym po raz pierwszy w Polsce pokazane zostaną spektakle Alessandra Sciarroniego, Adrienn Hód czy Anne Nguyen. Wkrótce potem, 18 października, rozpocznie się rzeszowski **Festiwal Arcydzieł**, w którego programie m.in. premiera „Miarki za miarkę” w reżyserii Szymona Kaczmarka przygotowana przez gospodarzy, czyli Teatr im. Siemaszkowej, oraz „Matka” Witkacego z Teatru Ateneum, „Gusła” Grzegorza Brala z Zielonej Góry i „Grecy” Elmarsa Senkovsa z Liepajas Teatris z Łotwy.

Zupełnie nową propozycję festiwalową przygotowuje Teatr Polski w Poznaniu, gdzie w dniach 20–27 października odbędzie się **QueerFest**, zrodzony z konstatacji, że w ostatnich latach nastąpił w Polsce wysyp spektakli o tematyce queerowej. W trakcie przeglądu pokazane zostaną przedstawienia reprezentatywne dla tego nurtu, odbędzie się też konferencja naukowa oraz queerowy pokaz mody.

Nowy festiwal proponuje też Teatr Nowy w Łodzi. Nosi on nazwę **Festiwal Teatru Niezbędnego**, a odbędzie się w terminie niestety kolidującym częściowo z przeglądem poznańskim: 25–27 października. Na inaugurację gospodarze zaprezentują prapremierę „Ciała dziewczyny” Darii Sobik w reżyserii Pameli Leończyk – inspirowaną prozą Annie Ernaux intymną fantazję na temat pamięci i pożądania. Poza tym będzie można zobaczyć m.in. „Chamstwo” Agnieszki Jakimiak i Mateusza Atmana oraz „Lesbian Sunset” kolektywu Teraz Poliż.

Zupełnie inną formułę festiwalową wybrał warszawski Nowy Teatr dla **Międzynarodowego Festiwalu Nowa Europa**, który tym razem odbywa się pod hasłem „Głośniej!” i namawia do krzyku. Zamiast kilkudniowego przeglądu festiwal odbywać się będzie jako comiesięczny cykl prezentacji. Między wrześniem a grudniem zobaczyć będzie można przedstawienia artystek poszukujących nowych teatralnych sposobów mierzenia się ze światem: Rébeki Chaillon (20–21 września), Caroliny Bianchi (18–19 października), Nadii Beugré (8–9 listopada) oraz Miet Warlop (6–7 grudnia 2024 r.).

Do tego całego bogactwa dodać jeszcze trzeba markowe festiwale teatralne, których programu jak dotąd nie ogłoszono, ale które na pewno będą atrakcyjnymi przeglądami tego, co w teatrze polskim najlepsze: bydgoskie **Prapremiery** (17–23 listopada), katowickie **Interpretacje** (18–24 listopada) i krakowską **Boską Komedię**.

Doprawdy trudno się dziwić, że kalendarzyk pęka w szwach, a Włóczykij Teatralny naprawdę nie wie, co robić. Oby tylko z tego wszystkiego nie machnął ręką i nie został w domu, gdzie czeka na niego pełen atrakcji sezon odnowionego Teatru TV. © DARIUSZ KOSIŃSKI

REKLAMA

REBIS

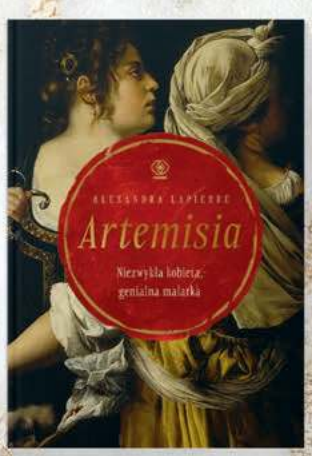

Biografia jednej z pierwszych wielkich malarek w historii – ikony feministycznej zemsty

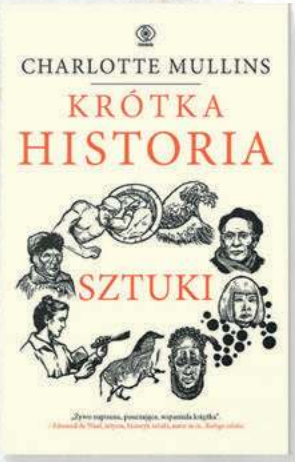

Inspirująca podróż w czasie przez sto tysięcy lat ludzkiej kreatywności

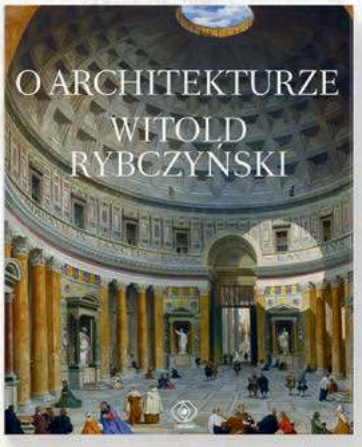

Wybitny znawca tematu przybliża dzieła architektury i sztukę konstruowania budowli

Dom Wydawniczy Rebis Sp. z o.o. rebis.com.pl FB/REBIS rebis_inspires

REKLAMA

Teatr Polski w Poznaniu 1875

BLISCY NIE ZNAJOMI

QueerFest

Poznań | 20-27.10.24

Repertuar Festiwalu dostępny na www.teatr-polski.pl

partnerzy

patroni medialni

18 PAŹDZIERNIKA w Teatrze Polskim w Poznaniu odbędzie się premiera spektaklu „Querelle" w reż. Piotra Pacześniaka.

Powstający spektakl jest inspirowany powieścią Jeana Geneta, której adaptacja filmowa w reżyserii Rainera Wernera Fassbindera była jednym z fundamentów kształtowania się europejskiej kultury gejowskiej i queerowej. Genet, wybitny prozaik i dramaturg, *bad boy* francuskiej literatury, wprowadza nas w świat portowych spelunek, wyuzdania i perwersji, walcząc jednocześnie o zbawienie współczesnej duszy.

„Idea morderstwa często przywołuje wizję morza i marynarzy. Morze i marynarze nie jawią się jako wyraźny obraz, morderstwo wzbudza w nas raczej emocje, które rozbijają się o fale. Porty często bywają teatrem zbrodni i nie będziemy się tu rozwodzić nad tym faktem, którego wytłumaczenie jest całkiem proste, ale znamy wiele kronik, z których dowiadujemy się, że morderca był żeglarzem, prawdziwym czy przebranym, a jeśli przebranym, to tym bardziej związana jest z morzem. (...)
Tak więc dramat, który się tutaj rozegra, pragniemy przedstawić w formie szczególnego mechanizmu wewnętrznego. Dodajmy jeszcze, że przeznaczony on jest dla homoseksualistów. Idei morza i zbrodni towarzyszy w naturalny sposób idea miłości lub rozkoszy – a raczej idea miłości wbrew naturze"
Jean Genet, „Querelle z Brestu"

Dwa morderstwa. Dwóch sprawców.
Dwa motywy. Policja w Breście błędnie przypisze oba morderstwa jednemu ze sprawców, drugiego pomijając. Oto cała historia. Banalna. Nie ma nic banalniejszego niż morderstwo w teatrze.

„Querelle" to opowieść o ludziach poszukujących miłości. Targani są poczuciem winy, które nie pozwala im zaakceptować własnej tożsamości. To, jacy są, wydaje im się zbrodnią popełnioną w chwili narodzin. Rozpięci między pragnieniem niewinności a potrzebą wolności, kuszeni perspektywą pełniejszego życia, świadomi nieuchronnego końca, a jednocześnie w lęku przed jakąkolwiek zmianą. Wszystko zmieni się, gdy próg burdelu La Feria przekroczy marynarz, morderca i przemytnik – Georges Querelle.

Reżyser spektaklu, Piotr Pacześniak, jest autorem dobrze przyjętych przez poznańską publiczność „Taśm rodzinnych" na podstawie książki Marcina Marcisza.

MATERIAŁ PARTNERA

MATERIAŁ PARTNERA

Widownia Dużej Sceny Teatru Polskiego w Poznaniu.

OD 20 DO 27 PAŹDZIERNIKA w Teatrze Polskim w Poznaniu – i nie tylko – trwać będzie festiwal Bliscy Nieznajomi. QueerFest 2024.

Ostatnie sezony w polskich teatrach to wysyp spektakli mierzących się z tematyką queerową.

Czas zrobić podsumowanie tego trendu, dać mu należne miejsce w naszej kulturze i zastanowić się, co sygnalizuje na temat świata, w którym żyjemy i który tworzymy.

W pierwszej edycji QF zaprezentowane zostaną spektakle: „Very Funny" (reż. Dominika Knapik, Patrycja Kowańska, Gruba i Głupia), „Tom na wsi" (reż. Wojtek Rodak, TR Warszawa), „Fucking Truffaut" (reż. Roza Sarkisian, Bliadski Circus Queelektyw), „Niewolnica Isaura" (reż. Martyna Majewska, Teatr Dramatyczny w Wałbrzychu), „Stella Walsh. Najszybsza osoba świata" (reż. Jan Jeliński, Teatr Polski w Bydgoszczy), „Królowa" (reż. Piotr Sieklucki, Teatr Proxima w Krakowie), „Threesome/Trzy" (reż. Wojciech Grudziński, Nowy Teatr w Warszawie) oraz „Clara" (reż. Liliana Lam Hernandez, Hawana, Kuba).

QF towarzyszyć będzie konferencja pod opieką naukową prof. Błażeja Warkockiego z UAM oraz queerowy pokaz mody, przygotowany przez Jolantę Łobacz, Konrada Parola i Konrada Cichonia. Spektakle, które pokażemy w ramach QF, to tylko część nurtu, który ciągle owocuje nowymi premierami. Przyjrzymy się im w kolejnych edycjach festiwalu.
Poznań, jako queerowa stolica Polski, będzie organizować w kolejnych latach następne edycje QueerFest.

NA DRUGĄ POŁOWĘ LISTOPADA zaplanowana jest natomiast kolejna edycja Modjeska Calling.

Jest to konkurs dla aktorek i aktorów na interpretację monologów Szekspirowskich Heleny Modrzejewskiej organizowany od 2016 r. przez Teatr Polski w Poznaniu. Wydarzenie organizowane jest w celu upamiętnienia tej światowej sławy artystki, która święciła triumfy również na deskach poznańskiego Teatru Polskiego.

Teatr Polski w Poznaniu 1875

Tylko i aż teatr

Po zamachach terrorystycznych na Teatr na Dubrowce, Crocus City Hall pod Moskwą czy zbombardowaniu teatru w Mariupolu, teatr stał się miejscem niebezpiecznym. A my chcemy, żeby było odwrotnie.

MICHAŁ SOWIŃSKI: Czego można się spodziewać jesienią i zimą w Starym Teatrze – pod nowym zarządem?

DOROTA IGNATJEW: Wspólnym mianownikiem nowej dyrekcji będzie z pewnością wrażliwość społeczna – ale nie polityczna, to ważne rozróżnienie. Jesteśmy prohumanitarni, zawsze stajemy w obronie słabszych, wykluczonych i potrzebujących. Chcemy myśleć o teatrze w szerokiej perspektywie – ważne jest dla nas otwarcie na rzeczy nowe, jednocześnie z szacunkiem dla tego, co było. Podobnie obecność w debacie publicznej, szczególnie w kontekście funkcji i miejsca Teatru Narodowego. Myślę, że w repertuarze będą spektakle takie, wśród których każdy widz znajdzie coś dla siebie.

JAKUB SKRZYWANEK: Podkreśliłbym jeszcze europejskość. Hasło naszej kadencji to „My, naród, Europa", bo nieustannie stawiamy pytanie o nasze miejsce, zarówno w lokalnej, jak i globalnej wspólnocie. Polskość i europejskość to nasza tożsamość – pytanie tylko, co to dziś znaczy.

W tle naszej rozmowy słyszymy próbę spektaklu „Ziemia jest płaska", który będzie miał niedługo premierę. O czym będzie?

JS: „Ziemia jest płaska" to rodzaj artystycznej prowokacji. Reżyser, Julian Hetzel, mówi, że jest to spektakl o wątpliwościach – dlaczego w wielu kwestiach, co do których jeszcze niedawno panował konsensus, teraz znów się wahamy? To także społeczna opowieść o teoriach spiskowych – o tym, z którymi warto wchodzić w dyskusję, a z którymi nie. Sztuka ciekawa formalnie, ale też zadająca niezwykle ważne i aktualne dziś pytania.

DI: Zaczęliśmy urzędowanie z początkiem września, a tę sztukę zakontraktowała jeszcze poprzednia dyrekcja, dzięki czemu mamy czas spokojnie się wdrożyć w obowiązki. Każde z nas jest z innego miasta, teatru – aczkolwiek oboje z teatrów repertuarowych ze stałymi zespołami. Na razie spokojnie rozeznajemy się w nowych realiach.

To może dla odmiany o klasyce, czyli „Strasznym dworze".

DI: Reżyserką jest wschodząca gwiazda polskiego teatru, Anna Obszańska. Spektakl oparty będzie na ruchu, obsada siedmioosobowa. Zadamy pytanie: co dziś straszy w „Strasznym dworze"?

NATALIA KABANOW / MATERIAŁY PRASOWE X2

Dorota Ignatjew – dyrektorka Starego Teatru, aktorka, reżyserka teatralna, menadżerka kultury.

STARY TEATR KRAKÓW

NARODOWY STARY TEATR

Jakub Skrzywanek – zastępca dyrektorki Starego Teatru ds. artystycznych, reżyser, autor scenariuszy teatralnych, twórca instalacji performatywnych.

JS: Reżyserkę zainteresował początek tej historii, czyli powrót do domu weteranów z powstania styczniowego. Ich dylemat wiąże się z poświęceniem – co jest dla nich w tym momencie ważniejsze? Naród czy rodzina? Wspólnota czy jednostka? Walka czy miłość? To tematy bardzo aktualne, ale też wpisane w genotyp polskości. Niemniej ciekawe jest rozpoczęcie spektaklu od perspektywy ciała – doświadczonego przez wojnę, straumatyzowanego. Czy jest ono jeszcze zdolne do kochania? Dodatkowo spektakl powstaje w Sali Modrzejewskiej, znanej w ostatnich latach z Salonu Poezji Anny Dymnej – a w tym sezonie zmieni się w Krakowski Salon Poezji i Tańca.

Muszę też zapytać o sztukę pod tytułem „Zamach na Narodowy Stary Teatr".

JS: To opowieść o lęku, w którym dziś żyjemy, niepokoju, jaki jest udziałem nas wszystkich. Stworzymy spektakl, który będzie się dział w kilku przestrzeniach przy ul. Jagiellońskiej. Będzie rekonstrukcją fikcyjnego wydarzenia – zamachu na Stary Teatr. Akcja będzie działa się tuż po nim. Nie chodzi jednak o straszenie kogokolwiek, ale o krytyczną analizę. Chcemy sprawdzić, jak tego typu wydarzenia funkcjonują społecznie – jak są wykorzystywane przez media i polityków. Jak działają na nas, nasze poczucie bezpieczeństwa i, w konsekwencji, na przyzwolenie ograniczania wolności osobistej.

DI: Ten tytuł jest częściowo dosłowny, częściowo metaforyczny.

Zamach w przestrzeni teatru to zamach szczególny?

JS: Po zamachach terrorystycznych na Teatr na Dubrowce w 2002 r., Crocus City Hall pod Moskwą w 2024 r. czy zbombardowaniu teatru w Mariupolu, teatr stał się miejscem niebezpiecznym. A my chcemy, żeby było odwrotnie. Dlatego ten spektakl to rodzaj prowokacji, ale też manifest – próba przywrócenia teatrowi bezpiecznej przestrzeni w debacie publicznej, miejsca bez przemocy, gdzie rządzi sztuka i fantazja.

DI: Wchodząc do teatru, wchodzimy do świata sztuki, gdzie nic nie jest naprawdę, ale też wszystko powinno być traktowane poważnie. To aż i tylko teatr. ©℗

Pełna wersja rozmowy dostępna na stronie „Tygodnika" w otwartym dostępie.

MATERIAŁ PARTNERA

JEREMI ASTASZOW / MATERIAŁY PROMOCYJNE X3

Od lewej: Ewelina Starejki; Maciej Sajur, Ewa Mitoń; Justyna Schneider, Aleksandra Godlewska, Izabela Kubrak i Wojciech Leonowicz.

Teatr Bagatela

Zbieżność nazwisk przypadkowa, czyli premiera na 105. urodziny Teatru Bagatela

Kronikarska pasja, dociekliwość i detektywistyczne zaangażowanie Ambrożego Grabowskiego pozwoliły ustalić nazwisko autora ołtarza w kościele Mariackim. Ten niezwykły księgarz opisywał też zwyczaje i topografię miasta, a także zawody jego mieszkańców. Dziś pojawia się na scenie Teatru Bagatela.

Kiedy niejaki Ambroży Grabowski, syn organisty, miał czternaście lat, opuścił rodzinne Kęty i udał się do Krakowa terminować w jednej z tutejszych księgarni. Choć ukończył tylko czteroletnią szkołę powszechną, pilna praca u słynnego Antoniego Grőbla pozwoliła mu po paru latach awansować na subiekta, a po śmierci księgarza zostać wspólnikiem nowego właściciela. Później, przez niemal dwadzieścia lat, Grabowski prowadził własną księgarnię przy Rynku Głównym pod numerem 13.

Lubiany i znany w Krakowie, byłby może tylko jedną z barwnych postaci żyjących w naszym mieście w połowie XIX w. i nikt by o nim dzisiaj nie wspominał, gdyby nie to, że stał się pierwszym zbieraczem „krakowskich starożytności historycznych". Szalenie pracowity samouk, historyk i kolekcjoner był pasjonatem dziejów Krakowa, które nie obejmowały wyłącznie czasów mu współczesnych, starał się zapisywać i dokumentować wieki wcześniejsze.

Etnograficzno-historyczna kronikarska pasja Grabowskiego, dociekliwość i wręcz detektywistyczne zaangażowanie pozwoliły mu – między innymi – ustalić nazwisko autora ołtarza w kościele Mariackim. To dzięki Grabowskiemu wiemy, że nazywał się Wit Stwosz. Grabowski opisywał także krakowskie zwyczaje i topografię miasta, a także zajęcia i zawody jego mieszkańców.

Liczne, często ilustrowane współczesnymi rycinami dzieła mają wspaniałe, barokowo długie tytuły, które uzmysławiają współczesnym spektrum zainteresowań księgarza. Czyż nie brzmią zachęcająco? Jak ten: „Dawne zabytki miasta Krakowa. Przypomnienia przeszłości, o niektórych starożytnych zwyczajach miesczan [!] krakowskich, o bramach, basztach i wszelkich tej niegdyś stolicy kraju obronach. Z dodatkiem różnych do dziedziny pamiątek należących wiadomości" (1850).

Niewykluczone, że uwiedziony właśnie jednym z takich tytułów reżyser Mikołaj Grabowski (zbieżność nazwisk przypadkowa) podjął się zaadaptować kilka dzieł Ambrożego i przenieść je na deski Teatru Bagatela. W ten sposób powstał wieloobsadowy spektakl, który za temat ma Kraków i jego mieszkańców. „Starożytnicze wiadomości o Krakowie. Zbiór pism i pamiętników tyczących się opisowej i dziejowej przeszłości, oraz zwyczajów tej dawnej stolicy kraju z dodatkiem różnych szczegółów Polaków zająć mogących" (1852) – tytuł jednej z prac Ambrożego – jest cudownie celnym opisem przedstawienia przygotowanego na 105. urodziny Teatru Bagatela.

Teksty Ambrożego, przefiltrowane przez dowcip i inteligencję Mikołaja, uzupełnione dzisiejszymi smaczkami, przynoszą spektakl opowiadający z dużym przymrużeniem oka o naszym mieście.

Co zobaczymy? Poczet barwnych, często lekko „szurniętych" postaci – od wieków lubiących żyć w grodzie Kraka – które pojawiają się w typowych, rozpoznawalnych dla miasta miejscach. Na tle imponującej panoramy Krakowa, strawestowanej przez autora scenografii Pawła Dobrzyckiego, dzieją się najrozmaitsze historie, wcale nie aż tak „starożytne", pomimo stylizowanych kostiumów. Niektóre fragmenty przedstawienia są śpiewane, i to do wymagającej wirtuozerskich umiejętności muzyki skomponowanej przez jakże krakowskiego – Zygmunta Koniecznego.

Kalejdoskop krakowskich dziwactw, zwyczajów, historyjek i dykteryjek będzie można zobaczyć w przedstawieniu, które ironicznie przeprowadza widzów przez lokalną historię.

© MAGDALENA MUSIALIK

Ambroży Grabowski, czyli wszystko, co chcecie wiedzieć o Krakowie, a se nie wyguglacie, Teatr Bagatela, Kraków.

MATERIAŁ PARTNERA

ALEXANDRE QUENTIN / FESTIVAL D'AVIGNON / / MATERIAŁY PRASOWE

CAROLINA BIANCHI – brazylijska twórczyni teatralna, autorka i performerka, od 2020 r. mieszkająca i tworząca w Amsterdamie. Liderka kolektywu Cara de Cavalo z São Paulo, z którym stworzyła między innymi: „O Tremor Magnífico" (2020) i „Trilogia Cadela Força" (2022-25). Jej twórczość zostanie zaprezentowana w Polsce po raz pierwszy na zaproszenie Nowego Teatru w Warszawie.

BEZ KATHARSIS

Carolina Bianchi, reżyserka:

Nie chcę leczyć żadnych ran. Niektóre nie goją się do końca życia i trzeba o tym pamiętać.

Michał Sowiński: O czym właściwie opowiada „Siła suki"?

Carolina Bianchi: Nie ma tu jednej historii – wręcz przeciwnie, zależało mi na stworzeniu wielowątkowej opowieści, w której różne nitki się przeplatają, ale też nie dają się łatwo uporządkować. Łączy je temat przemocy seksualnej – niektórym ofiarom udaje się przeżyć, niekiedy jednak mamy do czynienia z kobietobójstwem.

Punktem wyjścia jest jednak historia Pippy Bacca.

To performerka, która została zgwałcona i zabita w Turcji w 2008 r. Wraz z Silvią Moro jeździły autostopem po świecie w sukniach ślubnych, promując wiarę w ludzką dobroć. Jej historia długo nie dawała mi spokoju.

„Siła suki" to trylogia, jej pierwsza część nosi tytuł „Panna młoda i Śpiący Kopciuszek". Śpiący Kopciuszek to brazylijska nazwa tabletki gwałtu.

Czego dowiedziałaś się o przemocy wobec kobiet badając setki podobnych historii?

Bardzo wiele. O przemocy seksualnej nie jest łatwo mówić, nie tylko jej ofiarom. Tego typu historie powodują u słuchających silny dyskomfort – i jako artystkę to doświadczenie bardzo mnie interesuje. Nie chcę, żeby widzowie czuli się dobrze na moim spektaklu, żeby doświadczyli jakiejś płytkiej formy empatii i wynikającej z niej ulgi. Stąd też pomysł na trylogię – jeden spektakl to za mało, żeby zanurzyć się odpowiednio głęboko w ten temat.

To także pytanie o rolę sztuki?

A raczej o jej wyporność – czy jest w stanie udźwignąć tak trudny i bolesny temat.

Teatr ma tu coś szczególnego do zaoferowania?

Wydaje mi się, że tak, aczkolwiek to jedno z pytań, jakie stawiam w trylogii. Teatr może uobecnić to, co się wydarzyło, odtworzyć traumatyczną historię. A jednocześnie wytwarza lukę czasową między tym, co było, a reprezentacją, którą widzimy na scenie. To rozsunięcie zarazem otwiera i zamyka dostęp do traumatycznej przeszłości. Tak więc nie mam pewności, że teatr to najlepsze medium do tego typu działań. Ma jednak olbrzymi potencjał.

W czasie spektaklu zażywasz środek nasenny i przez większą jego część jesteś nieprzytomna. A jednocześnie reżyserujesz całość – musi to być spore wyzwanie.

Mało kto zwraca na to uwagę – ale rzeczywiście, ta opowieść o przemocy i traumie jest wyreżyserowana. W świadomy sposób zaplanowałam, żeby pozbawić się przytomności na scenie, nie jestem więc jedynie bierną ofiarą. Bardzo ważne jest zaufanie do całej ekipy, z którą pracuję już od wielu lat. Na potrzeby tej sztuki musieliśmy wymyślić nowy model współpracy. Niemniej jako artystka musiałam się zgodzić, że zdarzą się rzeczy, na które nie będę miała wpływu – nawet nie będę ich pamiętać. A jednocześnie, dzięki zaufaniu do moich współpracowników, czułam się bezpiecznie. To niezwykle intensywne doświadczenie.

Czy czułaś lęk, że Tobie, podobnie jak Pippie, może przytrafić się coś złego?

Nie, bo dzięki tej sztuce udało mi się wytworzyć dystans. Zaczynam od miniwykładu, w którym opowiadam o niej, o jej życiu. Bardzo mi zależało, żeby nie stała się wyłącznie symbolem – żeby nie jawiła się jako męczennica, ale kobieta z krwi i kości. Z drugiej strony to opowieść o tym, co nieuniknione. Pippa w pewnym momencie musiała zdać sobie sprawę, jaki los ją spotka, tak samo jak ja wiem, co się stanie po zażyciu tabletki gwałtu.

„Fuck catharsis"? Na scenie pojawiają się te słowa.

W klasycznym rozumieniu *katharsis* to rodzaj ulgi, jakiej doświadczamy po konfrontacji ze sztuką. Paradoksalnie, wiele osób mówiło mi, że po moim spektaklu doświadczyło czegoś w tym rodzaju. Ciekawie coś takiego usłyszeć, niemniej nie to było moim celem. Nie chcę leczyć żadnych ran – niektóre nie goją się do końca życia i trzeba o tym pamiętać. ©

NOWY TEATR

Siła suki – Trylogia. Rozdział 1: Panna młoda i Śpiący Kopciuszek,
reż. Carolina Bianchi,
18-19 października,
Nowy Teatr, Warszawa
Spektakl jest częścią 5. Międzynarodowego Festiwalu Nowa Europa. Głośniej!
Więcej informacji na **www.nowyteatr.org**

MATERIAŁ PARTNERA

Teatr Zagłębia stawia na lokalne historie

Nowy sezon zapowiada się ekscytująco dzięki bogatej ofercie przedstawień eksplorujących historie lokalne i temat emancypacji.

„Tu był las, nie było niczego" – tymi słowami rozpoczynają swoją opowieść bohaterowie nowego spektaklu Teatru Zagłębia. Pytania, które się w nim pojawiają, skłaniają do refleksji, czym było owo „nic" w naszym regionie.

„Czym było »nic« i czym skusiło bogatych mieszkańców Saksonii? Czym jest »życie za swoje« w rozumieniu charyzmatycznych postaci, które zamieszkiwały Sosnowiec lub były z miastem związane: Fanny Lamprecht, braci Schoen, Beli Szwarc, Alicji Dorabialskiej, Frumki Płotnickiej, Tacjanny Wysockiej czy zespołu piłkarskiego Czarnych Sosnowiec? Jak w kalejdoskopie stają przed nami, aby za sprawą biografii opowiedzieć o kawałku historii miasta i jego okolic" – wyjaśnia Weronika Murek, autorka tekstu.

W jej „Historii Sosnowca", wyreżyserowanej przez wielokrotnie nagradzaną, w tym m.in Paszportem Polityki, Katarzynę Szyngierę, widzowie zobaczą walkę o swoje miejsce w świecie i próbę wyjścia poza ograniczenia narzucone przez konwenanse. Twórczynie spektaklu czerpały inspiracje z warsztatów z lokalną społecznością, źródeł dokumentalnych oraz osobistych rozmów z mieszkańcami, co pozwoliło na odnowienie nie tylko pamięci o konkretnej postaci, ale i starych, lecz wciąż żywych miejscach, takich jak Huta Katarzyna czy legendarne Zakłady Dziewiarskie Wanda.

Teatr Zagłębia uzyskał na realizację tego unikalnego przedsięwzięcia dofinansowanie z Funduszu Promocji Kultury ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

■ ■ ■ ■ ■ ■

Bohaterem kolejnego nowego spektaklu w repertuarze Teatru Zagłębia będzie Władysław Szpilman. Przedstawienie, luźno oparte na życiorysie urodzonego w Sosnowcu kompozytora, nie będzie jednak typową biografią ani lekcją historii. Twórcy pragną wprowadzić widzów w głębokie, emocjonalne doświadczenie związane z ukrywaniem się, którego Szpilman doświadczył w czasie II wojny światowej.

Zagadnienie staje się szczególnie aktualne, gdy zastanowimy się, co oznacza „ukrywanie się" w warunkach pokoju. Współczesny świat skazuje nas często na izolację, zarówno w wymiarze fizycznym, jak i psychicznym. Mniej lub bardziej świadomie wybieramy zamknięcie w domach bądź w kręgach własnych myśli i emocji, co może prowadzić do uczucia osamotnienia.

Jak mówi reżyser Cezary Tomaszewski, planuje więc ukazać nie tylko dramatyczne aspekty życia Szpilmana, ale także odzwierciedlić problemy egzystencjalne, z którymi mierzą się ludzie w dzisiejszych czasach. Jego intencją jest pokazanie, jak mroczne i przerażające może być życie w ukryciu oraz jak trudne jest wydostanie się z niego, zarówno fizycznie, jak i emocjonalnie.

Mimo poruszanych egzystencjalnych tematów, spektakl nie będzie pozbawiony charakterystycznego dla Tomaszewskiego poczucia humoru. Dzięki niemu przedstawienie nie będzie trudnym i jednowymiarowym przeżyciem, ale barwną i optymistyczną w wymowie opowieścią, będącą hołdem dla życia. Szpilman zostanie przedstawiony jako artysta światowego formatu, czego my, rodacy, nie zawsze jesteśmy świadomi.

■ ■ ■ ■ ■ ■

Na koniec sezonu Teatr Zagłębia planuje wystawienie „Ziemi obiecanej" na podstawie powieści Władysława Reymonta. Choć nie chcemy jeszcze zdradzać szczegółów, jesteśmy pewni, że nie zabraknie mocnych akcentów związanych z historią regionu. Będzie można zobaczyć, jak industrializacja wpływa na relacje międzyludzkie oraz sposób myślenia i działania głównych bohaterów. Historia, która na kartach powieści Reymonta toczy się w Łodzi, mogłaby równie dobrze rozgrywać się w Zagłębiu Dąbrowskim, które, bliźniaczo podobne, równolegle z Łodzią stawiało pierwsze kroki na drodze przemysłowego rozwoju Polski.

Inscenizacja „Ziemi obiecanej" w Zagłębiu Dąbrowskim ma na celu nie tylko rekonstrukcję historyczną, ale także refleksję nad aktualnymi problemami społecznymi. W dobie rosnącej globalizacji i przemian technologicznych historia naszych bohaterów staje się uniwersalnym przesłaniem o dążeniu do spełnienia marzeń, ale także o odpowiedzialności za innych.

Zaproszenie do tego teatralnego doświadczenia będzie więc nie tylko wejściem do świata literackiego. Poprzez pryzmat „Ziemi obiecanej" w Zagłębiu Dąbrowskim widzowie będą mieli okazję na nowo odkryć wartość współczucia, solidarności i wytrwałości w dążeniu do celu.

Reżyserii podejmie się Maja Kleczewska, wybitna polska reżyserka, znana m.in. z głośnych inscenizacji „Dziadów" i „Wesela" w Teatrze Słowackiego w Krakowie. ©

MATERIAŁ PARTNERA

Moda na Filharmonię Poznańską

Na koncertach Filharmoników Poznańskich sala wypełniona jest po brzegi.

PIOTR SKÓRNICKI / FILHARMONIA POZNAŃSKA

Częstym gościem Filharmonii Poznańskiej jest Rafał Blechacz – na zdjęciu podczas koncertu z Orkiestrą Filharmonii Poznańskiej pod batutą Łukasza Borowicza, w Auli Uniwersyteckiej w Poznaniu.

„Otacza go [Samuela Hasselhorna] majestatyczny i różnorodny dźwięk orkiestry, jaki nieczęsto towarzyszy tego rodzaju retorycznym popisom, czy to u Karajana, czy u Thielemanna i Bouleza: nigdzie symbioza głosu i orkiestry nie jest tak doskonała jak tutaj" – pisze Remy Franck na łamach prestiżowego luksemburskiego portalu muzycznego Pizzicato.

To tylko fragment jednej z wielu świetnych recenzji najnowszego albumu Filharmoników Poznańskich „Urlicht. Songs of Death and Resurrection", nagranego pod batutą Łukasza Borowicza ze znakomitym niemieckim barytonem Samuelem Hasselhornem. Album, z pieśniami i ariami kompozytorów przełomu XIX i XX w., wydany przez wytwórnię harmonia mundi, otrzymał już także kilka wyróżnień.

To kolejne wyrazy uznania dla Orkiestry Filharmonii Poznańskiej, która ma na koncie także prestiżowe nagrody: ICMA 2018 (International Classical Music Awards) za „Quo vadis" Feliksa Nowowiejskiego czy Fryderyka 2023 za nagrania koncertów fortepianowego i wiolonczelowego Feliksa Nowowiejskiego. W Filharmonii Poznańskiej chętnie sięga się po muzykę polską, zwłaszcza tę mało znaną lub zapomnianą. Cykl albumów płytowych z utworami Michała Bergsona, Feliksa Nowowiejskiego, Stefana Bolesława Poradowskiego czy Grzegorza Fitelberga to światowe premiery fonograficzne. Do nieznanych lub zapomnianych utworów Filharmonicy Poznańscy wraz z dyrygentem-szefem Łukaszem Borowiczem sięgają od lat, prezentując w wersji koncertowej „nieznane opery" podczas kolejnych edycji Wielkanocnego Festiwalu Ludwiga van Beethovena w Warszawie.

W Beethovenowskim festiwalu orkiestra weźmie udział także w nowym, 78. sezonie artystycznym, który w Filharmonii Poznańskiej rozpocznie się 11 października 2024 r. Gwiazdą wieczoru otwierającego sezon będzie skrzypaczka Viviane Hagner, artystka-rezydentka Filharmonii Poznańskiej w sezonie 2024/2025, współtwórczyni i dyrektorka Festiwalu Krzyżowa Music, a cały koncert będzie retransmitowany 24 października o godz. 20.03 przez niemiecką stację radiową Deutschlandfunk Kultur, która od lat regularnie nagrywa i retransmituje koncerty Orkiestry Filharmonii Poznańskiej.

– Choć sezon zaczyna się w październiku, to swoistą uwerturą do niego było siedem naszych koncertów wrześniowych, w tym znakomicie przyjęty koncert otwierający V Festiwal Szymanowskiego w Krakowie – mówi Wojciech Nentwig, dyrektor Filharmonii Poznańskiej. – A nowy sezon to nowe wyzwania, w tym także wydarzenia, które nasi melomani szczególnie lubią i cenią – koncerty prowadzone przez naszych znakomitych głównych dyrygentów gościnnych: Paula McCreesha i Ariela Zuckermanna, cykle: „Gwiazdy światowych estrad" czy „Zwycięzcy międzynarodowych konkursów muzycznych", prapremiery utworów zamawianych przez nas u poznańskich kompozytorów. Cykl koncertów dadzą „Poznańskie Słowiki", obchodzące 85-lecie działalności.

– Od kilku sezonów, obok zapraszanych przez nas polskich i zagranicznych muzyków, na estradzie stają jako soliści także muzycy naszej orkiestry – dodaje Łukasz Borowicz, dyrygent-szef Orkiestry Filharmonii i dyrektor muzyczny Filharmonii Poznańskiej. – To dla nich wyróżnienie, a dla nas powód do dumy. Nie ma chyba w Polsce drugiej takiej orkiestry, której członkowie tak licznie i regularnie występują jako soliści.

I nie jest to jedyny wyróżnik Filharmonii Poznańskiej – to tu działają instytucje i realizowane są projekty, jakich nie mają inni. Legendarny Chór Chłopięcy i Męski Filharmonii Poznańskiej „Poznańskie Słowiki", założony przez prof. Stefana Stuligrosza, to symbol chóralistyki w Polsce – śpiewał w wielu krajach na kilku kontynentach, m.in. dla prezydentów, koronowanych głów czy papieży. Albo Pro Sinfonika – unikatowy w Polsce ruch młodych ludzi słuchających klasyki na koncertach organizowanych dla nich w Auli Uniwersyteckiej, jak również w szkołach Wielkopolski.

Są wreszcie Koncerty Poznańskie, odbywające się od ponad 60 lat, które tylko na początku oferowały „łatwą i przyjemną" klasykę dla tych, którzy swoją przygodę z filharmonią rozpoczynali. I choć ich formuła jest inna niż piątkowych koncertów, nadal mają (nad)komplety publiczności. Podobnie jest na wszystkich filharmonicznych koncertach, na których frekwencja zazwyczaj przekracza 100 proc., a Aula Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza (będąca salą koncertową nieposiadającej swojej siedziby Filharmonii Poznańskiej) nie może pomieścić wszystkich melomanów. Nic dziwnego, że w Poznaniu mówi się o... modzie na filharmonię. ©

FILHARMONIA POZNAŃSKA
im. Tadeusza Szeligowskiego

MATERIAŁ PARTNERA

Kraków

Repertuar

STU

Krakowski Teatr Scena STU
Al. Z. Krasińskiego 16-18
30-101 Kraków
www.scenastu.pl

PAŹDZIERNIK 2024

Wt.	1.	Inne rozkosze	19.00
Śr.	2.	Inne rozkosze	19.00
Czw.	3.	Tartuffe, czyli oszust	19.00
Pt.	4.	Tartuffe, czyli oszust	19.00
Sob.	5.	The Best of Sławek Uniatowski koncert w hołdzie Andrzejowi Zausze i Zbyszkowi Wodeckiemu	19.00
Wt.	8.	Śluby panieńskie	11.00 19.00
Śr.	9.	Śluby panieńskie	11.00
Czw.	10.	Balladyna	19.00
Pt.	11.	Balladyna	11.00
Wt.	15.	Czarna komedia	19.00
śr.	16.	Czarna komedia	19.00
Czw.	17.	Czarna komedia	19.00
Pt.	18.	Czarna komedia	19.00
Sob.	19.	Czarna komedia - premiera	19.00
Nd.	20.	Czarna komedia - premiera	18.00
wt.	22.	Nasze żony	19.00
Śr.	23.	Nasze żony	19.00
Pt.	25.	Cabaret	19.00
Sob.	26.	Cabaret	19.00
Nd.	27.	Cabaret	18.00
Wt.	29.	Zemsta	19.00
Śr.	30.	Zemsta	19.00
Czw.	31.	Zemsta	19.00

Nasze żony

LISTOPAD 2024

Sob.	2.	Leopold	19.00
Nd.	3.	Leopold	18.00
Wt.	5.	Tartuffe, czyli oszust	19.00
Śr.	6.	Tartuffe, czyli oszust	19.00
Czw.	7.	Wariacje Tischnerowskie	19.00
Pt.	8.	Wariacje Tischnerowskie	19.00
Sob.	9.	Cnoty niewieście	19.00
Nd.	10.	Cnoty niewieście	18.00
Pon.	11.	Spowiedź chuligana	19.00
Wt.	12.	Spowiedź chuligana pożegnanie z tytułem	19.00
Śr.	13.	Balladyna	19.00
Czw.	14.	Balladyna	11.00 19.00
Pt.	15.	Nasze żony	19.00
Sob.	16.	Nasze żony	19.00
Nd.	17.	Nasze żony	18.00
Wt.	19.	Hamlet	18.00
Śr.	20.	Hamlet	18.00
Czw.	21.	Hamlet	18.00
Pt.	22.	Hamlet	18.00
Sob.	23.	Hamlet	18.00
Nd.	24.	Hamlet	16.00
Wt.	26.	Boże mój	19.00
Śr.	27.	Boże mój	19.00
Czw.	28.	Śluby panieńskie	19.00
Pt.	29.	Śluby panieńskie	19.00
Sob.	30.	Czarna komedia	19.00

Tartuffe, czyli oszust

GRUDZIEŃ 2024

Nd.	1.	Czarna komedia	18.00
Wt.	3.	Zemsta	19.00
Śr.	4.	Zemsta	11.00 19.00
Czw.	5.	Błękitne krewetki	19.00
Pt.	6.	Błękitne krewetki	19.00
Sob.	7.	Leopold	19.00
Nd.	8.	Leopold	18.00
Wt.	10.	Nasze żony	19.00
Śr.	11.	Nasze żony	19.00
Czw.	12.	Nasze żony	19.00
Sob.	14.	Trzy siostry	19.00
Nd.	15.	Trzy siostry	18.00
Sob.	21.	Koncert Fundacji Zdrowia Publicznego	19.00
Sob.	28.	Przybory Wasowskiego. Dom wyobraźni	19.00
Nd.	29.	Przybory Wasowskiego. Dom wyobraźni	18.00
Pon.	30.	Przybory Wasowskiego. Dom wyobraźni pożegnanie z tytułem	19.00
Wt.	31.	Przybory Wasowskiego. Dom wyobraźni SYLWESTER	19.00

Rezerwacja i sprzedaż biletów:
tel. 12 433 27 44
bilety@scenastu.pl

Czarna komedia

KRAKOWSKI TEATR SCENA STU - INSTYTUCJA KULTURY MIASTA KRAKOWA

REKLAMA

„Ślub”: Witold Gombrowicz w czystej postaci

W Teatrze Wielkim w Poznaniu trwają przygotowania do prapremiery opery „Ślub” Zygmunta Krauzego. Spektakl uświetniający 120-lecie urodzin oraz 55. rocznicę śmierci Witolda Gombrowicza tuż po premierze zostanie zaprezentowany w Teatrze Wielkim – Operze Narodowej.

Pierwsza w Polsce operowa inscenizacja „Ślubu”, jednego z ważniejszych dramatów literatury współczesnej, została przygotowana dla Teatru Wielkiego w Poznaniu w ramach programu „Zamówienia kompozytorskie”, realizowanego przez Narodowy Instytut Muzyki i Tańca. Warstwę muzyczną dzieła stworzył Zygmunt Krauze, uznany polski kompozytor przełomu wieków. Artysta wśród trojga głównych realizatorów jest tym, który po raz pierwszy współpracuje z poznańską sceną. Za libretto i reżyserię odpowiada Krzysztof Cicheński, od lat eksplorujący przestrzenie leżące na styku teatru dramatycznego i operowego. Kierownictwo muzyczne powierzono Katarzynie Tomali-Jedynak, posiadającej w repertuarze wiele współczesnych realizacji. W głównych partiach wystąpią: Michał Partyka, Jan Jakub Monowid, Łukasz Konieczny i Gosha Kowalinska.

Gombrowicz zaczął pisać „Ślub” w czasie wojny, w Buenos Aires, a ukończył go w 1948 roku. To jeden z jego trzech utworów scenicznych, obok dramatów „Operetka” i „Iwona, księżniczka Burgunda”. Autor perfekcyjnie lawiruje tu między formami gęstymi od emocji i mnogości znaczeń, pozostawiając szerokie pole do psychologiczno-filozoficznej refleksji nad ludzkim ego. „Ślub” to studium dramatu człowieka, który nie potrafi znaleźć własnego, autentycznego oblicza. Widz obserwuje konflikt pomiędzy światem młodych i starych, między byciem sobą

Teatr Wielki w Poznaniu
piątek, 22.11.2024, godz. 19:00 PRAPREMIERA
sobota, 23.11.2024, godz. 19:00
niedziela, 24.11.2024, godz. 18:00

Teatr Wielki – Opera Narodowa
niedziela, 1.12.2024, godz. 18:00

a sztucznością. Gombrowicz tworzy rzeczywistość-nierzeczywistość: szaloną i absurdalną, pokazując świat zniszczony wojną, którego nie da się odbudować według dawnych reguł. Ten kontekst gombrowiczowskiego dramatu wybrzmiewa dziś szczególnie, gdy w Europie i na świecie toczą się konflikty zbrojne, a widmo kolejnej wielkiej wojny wychodzi poza sferę abstrakcji. Henryk, główny bohater, śpi i śni o Ojcu, Matce, Mani, o władzy i o Polsce. Wszystko wydaje mu się bardzo rzeczywiste, swojskie, jednak w codzienne sytuacje, znane sprzed wojny, wkradają się sprzeczności i deformacja. Mimo że akcja dramatu to sen, a postaci są wytworem wyobraźni Henryka, mają one na niego wpływ, wymagają zachowywania się w określony sposób. To źródło poczucia pustki głównego bohatera i problemów z określeniem własnej tożsamości. Właśnie ta przytłaczająca wręcz pustka jest doświadczeniem człowieka XX i XXI wieku, uczestniczącego w wojnie, będącego świadkiem, sprawcą lub ofiarą bestialskich czynów przeciw ludziom i ludzkości. Pytanie, jak z tej pustki odtworzyć świat, jak zaprowadzić nowy porządek, zadają ci, którzy patrzą z bliska na zniszczone miasta, odgruzowują pozostałości po budynkach, odnajdują kolejne masowe groby torturowanych dorosłych i dzieci. Henryk robi to z pobudek egoistycznych, dla własnej satysfakcji, ale też i z zemsty za utracone na wojnie lata – powołuje świat na wzór dawnego, w którym funkcjonował, czuł się bezpiecznie, snuł plany i miał marzenia. Tym samym sprowadza na swoje „królestwo” te same klęski, z którymi zmaga się ludzkość.

„Ślub” to Gombrowicz w czystej postaci: ironia, deformacja i absurd. Przejmująca muzyka Zygmunta Krauzego doskonale dopełnia dramat rozgrywający się na scenie. Wejście w oniryczny, tajemniczy świat spektaklu uzmysławia, że megalomania, władza i chęć kontroli to grzechy nie tylko czasów przeszłych, to również skaza współczesności. Mocny przekaz, obnażenie niedoskonałej natury człowieka, zdeformowanej poprzez pragnienia. Obraz ludzkiej psychiki bez filtrów, inscenizacja na miarę obecnych czasów. Czy ku przestrodze?

Tuż po prapremierze „Ślub” pojawi się na scenie Teatru Wielkiego – Opery Narodowej. To kolejna wizyta poznańskiego Teatru Wielkiego w Warszawie. W ostatnich latach koncertowe wykonanie „Parii” Stanisława Moniuszki oraz tryptyk baletowy „BER” spotkały się z zainteresowaniem tamtejszych odbiorców, jak i krytyki. Prezentacja najnowszej poznańskiej produkcji w stolicy to element współpracy między instytucjami kultury oraz inspirująca konfrontacja z nową publicznością.

Opera „Ślub” wpisuje się w hasło POKOLENIA, towarzyszące sezonowi 24/25: realizacja premiery łączy artystów różnych generacji, scala ich wrażliwość i wiąże w nieuchwytnym ciągu wzajemnych oddziaływań.

MATERIAŁ PARTNERA

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury – państwowego funduszu celowego, w ramach programu „Zamówienia kompozytorskie”, realizowanego przez Narodowy Instytut Muzyki i Tańca

Narodowy Instytut Muzyki i Tańca

TEATR WIELKI im. Stanisława Moniuszki w Poznaniu

NARODOWE FORUM MUZYKI PRZEOBRAZIŁO WROCŁAW

Kalendarz koncertowy 10. sezonu Narodowego Forum Muzyki we Wrocławiu wypełniają wykonania najwspanialszych muzycznych arcydzieł i wizyty gwiazd światowych scen. Od 19 lat kształt programu instytucja zawdzięcza swojemu dyrektorowi i twórcy Andrzejowi Kosendiakowi. Nie inaczej było w przypadku sezonu jubileuszowego, którego szczegóły architekt sukcesu NFM przybliża w wywiadzie.

ŁUKASZ RAJCHERT

Andrzej Kosendiak

BARNABA MATUSZ: Nadchodzi 80-lecie NFM Filharmonii Wrocławskiej, a także 15-lecie Chóru Chłopięcego NFM. Czy będzie okazja do celebracji tych wyjątkowych rocznic?

ANDRZEJ KOSENDIAK: Uznaliśmy, że warto skorzystać z szansy na podzielenie się naszą radością: że jesteśmy, działamy i tyle udało się nam tutaj osiągnąć. Kiedy widzimy, jak te emocje udzielają się innym, najpełniej uświadamiamy sobie, że to, co robimy, ma sens. Jubileusze będą okazją do podziękowań dla wszystkich, dzięki którym NFM powstało i funkcjonuje. Symboliczne dla mnie są historyczne początki Filharmonii Wrocławskiej, jej pierwszy koncert w 1945 r. pośród wojennych ruin, do którego nawiążemy podczas najbliższej inauguracji sezonu. Zestawienie tego obrazu z dzisiejszą sytuacją uświadamia nam, jak długą drogę przebyło muzyczne życie we Wrocławiu. Z okazji naszego dziesięciolecia wystąpią orkiestry zagraniczne: Insula Orchestra, Australian Chamber Orchestra czy brazylijska NEOJIBA. Royal Philharmonic Orchestra zagra razem z Yunchanem Limem – triumfatorem Międzynarodowego Konkursu Pianistycznego im. Van Cliburna. W maju kolejne wielkie wydarzenia: koncerty Dresdner Philharmonie z *Symfonią pieśni żałosnych* Henryka Mikołaja Góreckiego oraz Chicago Symphony Orchestra zaliczanej do „Wielkiej Piątki" orkiestr amerykańskich. Wśród solistów nie można pominąć Bomsori Kim, Piotra Beczały, Sergeia Babayana, Emmanuela Pahud, Brunona de Sá, Jakuba Józefa Orlińskiego, Shunske Sato, Giovanniego Sollimy czy Piotra Anderszewskiego. Warto więc śledzić nasz repertuar.

W tym sezonie pracę z NFM Filharmonią Wrocławską rozpoczyna jej nowy szef artystyczny – Christoph Eschenbach. Które z koncertów maestra poleciłby Pan szczególnej uwadze melomanów?

Każdy z sześciu koncertów maestra będzie świętem. Pod jego batutą Wrocławscy Filharmonicy zagrają dzieła Antonína Dvořáka, Hectora Berlioza, Witolda Lutosławskiego, Johannesa Brahmsa, Arnolda Schönberga czy Krzysztofa Pendereckiego. W finale sezonu dokonają też prawykonania nowego utworu Agaty Zubel. Mam w pamięci zeszłoroczną interpretację *Symfonii* „Pastoralnej" Beethovena przez Eschenbacha podczas Wratislavii Cantans. Jego wizja – subtelna i wokalna wręcz – totalnie mnie wtedy zafascynowała. Myślę, że na podobne wrażenia nasza publiczność może liczyć za każdym razem, kiedy ten wspaniały artysta wyjdzie na scenę.

W poniedziałek 2 września środowisko muzyczne poruszyła wiadomość, że rezygnuje Pan z funkcji dyrektora NFM. Skąd taka decyzja?

Zawsze zdawałem sobie sprawę, że ta przygoda kiedyś się zakończy. Zdecydowałem, że to jest odpowiedni moment. Zamknął się istotny etap misji polegającej na przeobrażaniu muzycznego życia Wrocławia. Zarządzanie instytucją oddaję w dobre ręce. Nie można mówić tu o pożegnaniu, bo planuję kontynuować współpracę z naszymi muzykami oraz wspierać nową dyrektorkę – Olgę Humeńczuk. Spełnia ona wszystkie warunki, żeby z powodzeniem wprowadzić NFM w kolejną dekadę działalności.

© Rozmawiał BARNABA MATUSZ

MATERIAŁ PARTNERA

Festiwal Korczak Dzisiaj ogłasza program

DOMINIK BEREZOWSKI

Jeden z najstarszych festiwali teatralnych dla młodej publiczności ogłosił nowy program. Hasłem tegorocznej edycji będzie: „Moje serce mówi". Przedstawienia zagoszczą w warszawskich teatrach i instytucjach kultury, w ambasadzie Szwecji, a nawet w hotelu.

W programie 28. edycji Festiwalu Korczak Dzisiaj znajdziemy: sześć spektakli dla osób w różnym wieku z repertuarowych teatrów z całej Polski ocenianych przez międzynarodowe jury dorosłych oraz jury młodych, cztery przedstawienia ze Szwecji skierowane do nastoletniej publiczności, dwa bezpłatne pokazy Szkoły Aktorskiej Haliny i Jana Machulskich oraz jednodniową konferencję „Focus: Szwecja".

Program Festiwalu to „ścieżka wielu serc". Jedną z nich jest ścieżka serca dziecięcego, które czasem mierzy się z lękiem. Inną – ścieżka serca dociekliwego, tworzącego niesamowite opowieści. Odnajdziemy również ścieżkę serca w momencie dorastania, szukającego siebie i swojego miejsca wśród innych serc, czasem spowitych mrokiem. Wśród spektakli nie zabraknie ścieżki dorosłego serca, które się troszczy, martwi, wspiera lub przeciwnie – nie rozumie, narzuca i nie stwarza miejsca.

Co roku jeden dzień Festiwalu poświęcony jest spotkaniom z artystkami i artystami z wybranego kraju, którzy przybliżają praktyki i kierunki rozwoju sztuk performatywnych młodej publiczności. Tegoroczny „Focus: Szwecja" będzie miał formę jednodniowej konferencji w Nowym Teatrze, podczas której odbędzie się panel na temat nowego dramatu dla dzieci i młodzieży, doświadczeń wynikających ze współpracy dramatopisarzy z teatrami instytucjonalnymi i alternatywnymi oraz wyzwań wynikających z charakteru tej pracy.

Festiwal przyzna trzy nagrody (Grand Prix Festiwalu – Nagrodę im. Janusza Korczaka, Nagrodę im. Stefanii Wilczyńskiej, Nagrodę Machulskich) oraz wyróżnienia. Zostaną one wręczone nie tylko przez jury dorosłych, lecz także jury młodych (oficjalne wyniki 25 października 2024 r. na uroczystej gali w ambasadzie Szwecji). Młodzi pasjonaci pod okiem merytorycznych koordynatorów będą mieli również szansę na dogłębne poznawanie teatru, edukację krytyczną i teatralną przygodę. ©

Cały program na **korczak-festival.pl**.

28. Międzynarodowy Festiwal Teatrów dla Dzieci i Młodzieży Korczak Dzisiaj odbędzie się 18-25 października 2024 r. w Warszawie.

Trzy wernisaże w MOCAK

DOMINIK BEREZOWSKI

10 października to ważna data dla każdego sympatyka sztuki współczesnej. W krakowskim MOCAK-u odbędą się aż trzy wernisaże: dwóch wystaw czasowych i dzieł przekazanych ze zbiorów Teresy i Andrzeja Starmachów.

„WIELCY WSPÓŁCZEŚNI" – DAR TERESY I ANDRZEJA STARMACHÓW

Jesienią 2023 r. Teresa i Andrzej Starmachowie przekazali do Kolekcji MOCAK-u 67 dzieł autorstwa najważniejszych twórców sztuki współczesnej. To największe wsparcie dla polskich instytucji publicznych po monumentalnych donacjach Karoliny Lanckorońskiej i Feliksa „Mangghi" Jasieńskiego. W skład darowizny wchodzą obiekty z zakresu malarstwa, rzeźby, instalacji oraz scenografii, które uzupełniają zbiory o dzieła fundamentalne dla polskiej historii sztuki. Wśród artystów, których prace będzie można obejrzeć, są m.in. Magdalena Abakanowicz, Edward Krasiński czy Jerzy Nowosielski.

ALICJA BIAŁA „ZATRUTY STAW | ACID POND"

W swoich projektach Alicja Biała odnosi się do niepokoju związanego z dominacją człowieka nad środowiskiem naturalnym. Jej wystawa obejmuje dwa wciąż rozwijane cykle: „Open Bite" (2022/2023) oraz „Hiperakumulatory" (2024). Pierwszy to kurtyny wykonane z miedzi i cynku, na które artystka nanosi naturalnej wielkości przedstawienia Adama i Ewy, poddając je działaniu skażonej wody. Drugi prezentowany cykl to rzeźbiarskie przedstawienia pokrzyw i innych roślin, pobierających metale ciężkie z gleby lub wody. Miedziane rzeźby stają się pomnikiem natury, podkreślając jej zdolność samoregulacji i rolę w niwelowaniu skutków oddziaływania człowieka na środowisko.

MAŁGORZATA BLAMOWSKA „WSZYSTKIE WCIELENIA KOBIETY"

Otaczają nas obrazy ludzi. Każdy wyraża jakiś stan napięcia psychicznego, bo swoimi gestami, mimiką i spojrzeniem bez przerwy coś ujawniamy. Małgorzata Blamowska potrafi wybrać takie przedstawienia osób lub grup, które charakteryzują się dużą intensywnością – czy nawet karykaturalnością – cech i zachowań. Bohaterkami, a właściwie głównymi aktorkami jej obrazów, są kobiety. Walczą, pożądają, czasem przegrywają, często odczuwają bezradność lub ponoszą porażkę, „stawiając na mężczyznę". To malarstwo trochę boli, ale przede wszystkim fascynuje przenikliwością energii psychicznej. ©

„**Wielcy współcześni**" – dar Teresy i Andrzeja Starmachów; Alicja Biała „**Zatruty staw | Acid Pond**"; Małgorzata Blamowska „**Wszystkie wcielenia kobiety**". Od 10 października 2024 r.

REKLAMA

POPIÓŁ I DIAMENT

spotkania autorskie

maj — listopad 2024

PROGRAM WYDARZEŃ

Zakład Narodowy im. Ossolińskich

Muzeum Pana Tadeusza Ossolineum

Muzeum Pana Tadeusza
Oddział Zakładu Narodowego
im. Ossolińskich
Rynek 6, Wrocław
księgarnio-kawiarnia Popiół i Diament

muzeumpanatadeusza.ossolineum.pl

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury – państwowego funduszu celowego.

MARTA EJSMONT / MATERIAŁY PRASOWE

Nowy budynek Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie.

Między placem a pałacem

JOANNA MYTKOWSKA, DYREKTORKA MSN W WARSZAWIE:

Masywność fasady nowej siedziby MSN-u z jej rzeźbiarskim różnicowaniem jest odpowiedzią na socrealistyczną architekturę placu Defilad. Jej minimalizm jest z kolei próbą znalezienia się w chaosie zabudowy centrum stolicy.

PIOTR KOSIEWSKI: Już 25 października publiczność będzie mogła wejść do nowego gmachu Muzeum Sztuki Nowoczesnej. Co zmieni jego otwarcie?

JOANNA MYTKOWSKA: Niemalże wszystko. Przede wszystkim nowy gmach da możliwość przygotowania lepszych, bardziej atrakcyjnych wystaw. Przyciągnięcia o wiele większej publiczności, ale też poszerzenia pola dialogu z różnymi grupami odbiorców. Będzie oznaczał większą dostępność sztuki, a dla zespołu to będzie już inna instytucja, odmiennie działająca, o innych priorytetach.

Mamy jako MSN określoną tożsamość, która w znacznej mierze ukształtowała się przez lata starań o miasto bardziej obywatelskie, inny wymiar polityki, inne miejsce sztuki w społeczeństwie. To nasz atut, ale nowy gmach to wyzwanie, jak odnaleźć się w znacznie większej skali. Mam nadzieję, że nadal będziemy bardzo blisko artystów i tego, co dzieje się w sztuce.

Otwarcie naszej nowej siedziby to także początek zmian w centrum Warszawy. Już jest znakiem przełamania historycznej klątwy, że nie da się wypełnić pustki wokół Pałacu Kultury i Nauki.

Budynek będzie oswajał przestrzeń, w której, ze względu na skalę i bałagan urbanistyczny, dotąd trudno było się odnaleźć?

Tak, bo jest to gmach użyteczności publicznej poświęcony kulturze. Nieprzypadkowo na jego otwarcie przygotowujemy wystawę w ramach naszego flagowego festiwalu Warszawa w Budowie zatytułowaną „Trudna miłość. Między placem a pałacem". Będzie opowiadała o okolicach Pałacu, ale też o zmianach, jakie zachodzą w muzeach. Chcemy być częścią tej zmiany. Nasze muzeum ma być otwarte na publiczność. Przy czym nie chodzi o „nabijanie" liczby zwiedzających, tylko realny dialog z odbiorcami i wsłuchiwanie się w ich potrzeby.

A jaką zakładacie liczbę odwiedzających?

Przyjmujemy, że będzie to około 400 tys. widzów rocznie, choć sam budynek jest w stanie przyjąć nawet dwa razy więcej. Nie chcemy być muzeum hermetycznym, wsobnym, ale z drugiej strony naszą ambicją nie jest bicie rekordów frekwencyjnych. Chcemy, aby nasze działania wpływały na postawy odwiedzają-

cych. Dlatego zakładamy pracę z różnymi typami publiczności. Przygotowywanie zarówno wystaw skierowanych do wąskiej grupy, opartych na badaniach akademickich, jak i do szerokiej grupy odbiorców.

Nadal ważny będzie program edukacyjny?

Nie tylko ważny, zupełnie też nowy. Będziemy mogli robić to, co z powodu braku odpowiedniej infrastruktury wcześniej nie było możliwe. Zawsze pracowaliśmy przecież dla szkół, ale w bardzo okrojonej wersji. Teraz przygotowujemy poważny program szkolny, którego znaczącym elementem będą wizyty w Muzeum – będziemy mogli zaprosić około 60 tys. osób rocznie do udziału w wyspecjalizowanych zajęciach.

Co oddanie do użytku budynku będzie znaczyło dla artystów?

Dobra sztuka obroni się w każdej przestrzeni, ale to Muzeum da niedostępne do tej pory możliwości prezentacji dzieł, także tych o dużej skali. Poza tym będziemy starali się kontynuować to, co do tej pory robiliśmy: towarzyszyć temu, co aktualnie dzieje się na scenie artystycznej w Polsce.

A co będzie w gmachu?

Jest on podzielony na dwie zasadnicze części. Parter i poziom minus jeden to przestrzenie publiczne, do których wstęp będzie niebiletowany, poza nielicznymi wydarzeniami, ze względu na konieczność kontroli liczby osób w nich uczestniczących. Tu będą odbywały się wydarzenia, z których MSN zawsze słynął, czyli performance, debaty, rozmowy, spotkania, warsztaty i wszystko inne, co wspólnie z publicznością zostanie wymyślone. W tej części jest audytorium i sala kinowa, są sale edukacyjne, księgarnia i kawiarnia, ale też imponująca klatka schodowa, która również będzie miejscem wydarzeń.

Natomiast wstęp na 1. i 2. piętro będzie płatny. Mieszczą się tam cztery duże galerie, po 1000 m kw. każda, przeznaczone na wystawy i pokazy naszej kolekcji. Nie zamierzamy jednak tworzyć niezmiennej ekspozycji. Nasz pierwszy pokaz będzie się nazywał „Niestała wystawa". Chcemy podkreślić, że dla nas w sztuce współczesnej najbardziej istotna jest ruchomość, negocjowalność hierarchii. Jednocześnie jest to przestrzeń na wystawy czasowe: od 10 do 14 rocznie – dużych, trwających po sześć miesięcy, i małych, prezentowanych krócej.

To plany na przyszłość, a co wydarzy się podczas otwarcia Muzeum w październiku?

Otwieramy budynek z dużą grupą artystów. Przez trzy dni zrealizują oni setkę projektów. Będą także projekcje na fasadzie Muzeum autorstwa Agnieszki Polskiej, a w arkadach instalacja dźwiękowa Wojtka Bąkowskiego. Do tego koncerty, debaty oraz wspomniana już wystawa z cyklu Warszawa w Budowie. Wreszcie działania edukacyjne w ramach realizowanego od kilku lat programu „Formy podstawowe".

Natomiast w salach wystawienniczych zaprezentujemy jedynie 9 prac artystek, pochodzących przede wszystkim z naszej kolekcji. Chcemy w ten sposób pokazać, jak funkcjonują przestrzenie wystawiennicze. Znajdzie się wśród nich słynna rzeźba Aliny Szapocznikow „Przyjaźń", wykonana w 1954 r. dla Pałacu Kultury i Nauki. Stała w jego holu aż do upadku komunizmu, potem została usunięta, a żołnierze w niej przedstawieni utracili ręce i flagę.

Historia tej pracy to opowieść o naszych przemianach, ale też przyczynek do dyskusji o roli muzeów i sposobu opowiadania o przeszłości. Na wystawie będzie też duży „Abakan" Magdaleny Abakanowicz, rzeźby Moniki Sosnowskiej i Żanny Kadyrowej, praca Marieli Scafati poświęcona walkom o prawa kobiet czy monumentalny obraz Karoliny Jabłońskiej.

A co wydarzy się w przyszłym roku?

21 lutego pokażemy 130 prac z naszej kolekcji. Będzie to inauguracja programu wystawienniczego Muzeum. Następnie otworzymy dużą ekspozycję na temat tego, jak mówiono o sztuce kobiet. Szykujemy także obszerną prezentację monograficzną Marii Jaremy oraz Edwarda Dwurnika. Jej kurator, Łukasz Ronduda, pokaże jego twórczość w kontekście historii ludowej czasów PRL-u.

Nosicie nazwę Muzeum Sztuki Nowoczesnej, tymczasem w dotychczasowej działalności skupialiście się na szeroko rozumianej współczesności i jej korzeniach tkwiących w II poł. XX w. Ten wybór określił Waszą tożsamość. Czy tak będzie nadal?

Jak głosi anegdota, na jednym ze spotkań rady programowej muzeum dyskutowano o jego nazwie i Piotr Piotrowski zauważył, że skrót od Muzeum Sztuki Współczesnej to MSW. To się źle kojarzyło.

Tymczasem minęły lata i kolejne pokolenia nie wiedzą, czym w PRL-u było Ministerstwo Spraw Wewnętrznych. Przegapiliśmy jednak moment, kiedy byliśmy młodą instytucją i zmiana nazwy nie byłaby problemem. A potem zaczęto nazywać nas MSN-em. Zaakceptowaliśmy to i dziś cała nasza komunikacja jest zbudowana na tym skrócie. Nawet za granicą przedstawiamy się jako MSN, czyli coś bardzo lokalnego.

Problem z nazwą pokazuje, że nowoczesność w Polsce przejawia się bardziej w formie niż treści. Nie odcisnęła się zbyt mocno w tkance społecznej. A nasza tożsamość? Tworzyła się w zderzeniu z tym, co nas otaczało, wraz ze zmianami, często trudnymi, a nawet bolesnymi, zachodzącymi nie tylko w sztuce, ale przede wszystkim w społeczeństwie. Tę tożsamość formowaliśmy, zastanawiając się nad tym, jak radzić sobie z własnym bagażem doświadczeń jako instytucji szczególnej, powstałej na fali przemian, jakie zachodziły po 1989 r. Jako instytucja publiczna odkryliśmy, że nie musimy podejmować decyzji, za którą ze stron tego sporu się opowiemy, ale możemy animować dyskusję. I towarzyszyć bardzo różnym perspektywom.

Tożsamość Muzeum określały także wystawy oraz tworzona przez Was kolekcja, skupiona na twórczości powstałej w ostatnich trzech dekadach, ale z odniesieniami do dalszej przeszłości.

Kiedyś wybory były dla nas bardziej oczywiste. Punktem wyjścia było powstanie, około 2000 r., nowej, dynamicznej sceny artystycznej. Fundamentem zaś dla niej była niezależna twórczość czasów PRL-u, przede wszystkim o awangardowej tradycji. To dziedzictwo i twórczość z niej wyrastająca dominowały aż do wystawy Aleksandry Waliszewskiej w 2022 r., dla której istotna jest całkiem ↦

↦ inna tradycja, odwołująca się m.in. do symbolizmu z przełomu XIX i XX w.

Kolejnym ważnym punktem było wpisanie naszej rodzimej twórczości w to, co działo się w sztuce w Europie Wschodniej, ale też na całym Zachodzie. Wydobycie z niej wątków emancypacyjnych: sztuki kobiet, progresywnych tematów społecznych, ale też eksperymentów formalnych. Nieprzypadkowo wielką ikoną naszej kolekcji stała się Alina Szapocznikow. Udało się nam wprowadzić jej twórczość do światowej historii sztuki jako eksperymentatorki w dziedzinie rzeźby.

Wreszcie, jest istotny nurt w działalności naszego Muzeum, związany z doświadczeniami ostatnich dziewięciu lat. Z czasami kreowania narracji w słusznej sprawie, jak prawa kobiet, co jednak wiązało się z włączeniem w wojnę kulturową. Ostatecznie utraciliśmy zaufanie do takich wyrazistych narracji i zaczęliśmy przyjmować podejście bardziej etyczne oraz uwzględniające wiele perspektyw.

Otwarcie nowej siedziby zmieni pejzaż instytucji kultury nie tylko w Warszawie, ale i w całej Polsce. Poczynając od tego, że będzie to jedyne miejsce w stolicy, gdzie będzie można oglądać wystawę sztuki ostatnich 50 lat, nie tylko polskiej, ale też międzynarodowej.

Za wcześnie, by odpowiedzialnie powiedzieć, jakie będą następstwa otwarcia naszej siedziby. Trzeba jednak pamiętać, że długo funkcjonowaliśmy w Warszawie w układzie trzech ważnych instytucji: MSN, Zachęta i Zamek Ujazdowski. To nas wzajemnie stymulowało, ale też podpatrywaliśmy, co działo się w pozostałych instytucjach i galeriach.

Ta konstelacja już nie istnieje. Została zniszczona przez działania poprzedniej ekipy rządowej. W ostatnich latach Zachęta została zmarginalizowana, a Zamek Ujazdowski stał się miejscem prezentacji postaw prawicowo-tradycjonalistycznych.

Tak, dzisiaj funkcjonujemy w całkowicie innej sytuacji. Zachęta na nowo siebie definiuje, czego przykładem jest trwająca w ostatnich miesiącach wystawa „Łzy szczęścia", na której znalazły się prace z jej kolekcji. Otwierająca nowy okres po zmianie dyrekcji galerii, a jednocześnie będąca nostalgicznym pożegnaniem z własną przeszłością. Trwają też dyskusje, jaką funkcję ma pełnić Zamek Ujazdowski. Z tego, co można usłyszeć, będzie znowu miejscem eksperymentu oraz przestrzenią dla artystów. Wreszcie, dla pełnego obrazu sytuacji, trzeba dodać galerie prywatne, które w ostatnich latach nie tylko bardzo się wzmocniły, ale także prezentują coraz więcej punktów widzenia.

Nasze Muzeum będzie zaś pełniło różne funkcje, wśród których jedną z najważniejszych będzie dyskusja o tym, co jest naszym wspólnym kanonem nowoczesności w sztuce: jakie zjawiska i postawy, jakie artystki i jacy artyści będą jego częścią. Pewne jest jedno: znajdziemy się w sytuacji większego spluralizowania sceny artystycznej. Tym bardziej że przykład innych miast pokazuje, że powstanie tak dużej instytucji sprzyja tworzeniu kolejnych.

Projektant MSN-u Thomas Phifer mierzył się z trzema wyzwaniami.

1 Pałac Kultury i plac Defilad, czyli miejsce bardzo zdefiniowane architektonicznie, obciążone historycznie i symbolicznie.

2 Miejscowy plan zagospodarowania, który bardzo ściśle określał jego kształt, wysokość i szerokość, a nawet detale, jak głębokość arkad od strony ulicy Marszałkowskiej.

3 Lokalizacja w ścisłym centrum dynamicznie, ale też chaotycznie rozwijającego się miasta. Budynek jest odpowiedzią na te wyzwania.

A jakie znaczenie może mieć otwarcie gmachu dla naszej części Europy?

Na pewno zostanie zauważone. Więcej nawet, docierają do mnie głosy, że jest to moment, w którym nasz region będzie się mógł na nowo zdefiniować. Nie jestem przy tym przekonana, że Europa Wschodnia jako odrębny byt jeszcze istnieje. Między krajami tego regionu są duże różnice polityczne, ale też kulturowe. Natomiast na pewno mamy wspólnotę doświadczenia historycznego, które miało wpływ na sztukę powstającą w tej części Europy. Stąd organizowane przez nas wystawy ważnych dla regionu artystów i artystek, jak Maria Bartuszová, Ion Grigorescu, Edi Hila czy Július Koller. To nadal będzie dla nas ważny nurt działalności.

W ostatnich dekadach, nie tylko w działalności MSN-u, ważne było pokazywanie polskiej sztuki

MARTA EJSMONT / MATERIAŁY PRASOWE X2

Wnętrze nowego budynku Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie, wrzesień 2024 r.

w świecie zachodnim. Mówienie o nas, ale także o całym regionie. Teraz jednak jesteśmy coraz częściej postrzegani jako część Zachodu, a Globalne Południe domaga się dostrzeżenia swojej sztuki, czego przykładem jest tegoroczne Biennale Sztuki w Wenecji – na głównej wystawie twórczość z naszej części regionu była niemalże nieobecna. Przestajemy być wyjątkowi.

Dlatego nigdy nie podkreślaliśmy wyjątkowości geograficznej naszego regionu. Ważne były dla nas pewne tradycje artystyczne czy poszczególne postawy twórcze, ale nigdy Europa Wschodnia jako koncepcja polityczna.

Jednak przede wszystkim staraliśmy się wychodzić od realnego doświadczenia artystycznego czy społecznego. Nie mieliśmy pomysłu, by np. zgodnie z modą na Globalne Południe robić wystawę jemu poświęconą. Opieramy się na pracy z konkretnym artystą lub wokół uchwytnego zjawiska. I tak zajęliśmy się Południem dopiero wtedy, gdy ono do nas „przyszło". Gdy zaczęliśmy sami doświadczać migracji, kryzysu klimatycznego czy dyskomfortu życia w późnym kapitalizmie. Dopiero wtedy mogliśmy przetłumaczyć sztukę powstającą tam na nasze lokalne doświadczenie.

Znaczenie ma także dla nas zmiana pokoleniowa i narracja najmłodszych generacji, które zupełnie inaczej postrzegają kwestie przyszłości. Ich obawy i lęki, które powoli zasłaniają czy mieszają się z naszymi, starymi lękami.

Wróćmy jeszcze do samego gmachu. Na czym polega jego znaczenie?

Jego projektant, Thomas Phifer, mierzył się z trzema głównymi wyzwaniami. Pierwszym był Pałac Kultury i plac Defilad, czyli miejsce bardzo zdefiniowane architektonicznie, ale też obciążone historycznie i symbolicznie. Drugim – miejscowy plan zagospodarowania, który bardzo ściśle określał jego kształt, wysokość i szerokość, a nawet detale, jak głębokość arkad od strony ulicy Marszałkowskiej. Trzecim zaś lokalizacja w ścisłym centrum dynamicznie, ale też niezwykle chaotycznie rozwijającego się miasta.

Budynek jest odpowiedzią na te wyzwania. Jego solidność, wręcz masywność fasady z jej rzeźbiarskim różnicowaniem jest odpowiedzią na socrealistyczną architekturę placu Defilad. Z kolei biały beton, z którego został wzniesiony, jest dyskusją z modernizmem Ściany Wschodniej wznoszącej się po drugiej stronie ul. Marszałkowskiej. Wreszcie jego minimalizm jest próbą znalezienia się w chaosie zabudowy centrum stolicy.

Ogromne znaczenie ma również przeszklony parter zapraszający, a nawet wciągający przechodniów do wnętrza Muzeum. A jednocześnie wnętrza zostały tak zaprojektowane, że można z nich zobaczyć pięknie wykadrowane widoki miasta.

W przyszłości ma mieć swoje „odbicie" w gmachu Teatru TR.

Na który jeszcze poczekamy, bo dopiero teraz rusza jego budowa. Jednak na przykładzie obu budynków dobrze widać, jak wielkim problemem są kwestie własnościowe w Warszawie. Miasto długo walczyło o prawa do działek, na których miały być wzniesione. Prędzej uregulowano kwestie na terenie, na którym stoi dziś Muzeum. Trochę później uzyskano prawo własności do terenu przeznaczonego na teatr. Dlatego ta budowa jest opóźniona.

Nasz budynek jest biały, teatru będzie ciemnoszary. Powstanie surowy cube przypominający telewizyjne studio nagrań. Budynek bardzo wielofunkcyjny i dający bardzo duże możliwości, nie tylko twórcom teatralnym.

A kiedy będzie można powiedzieć: udało się?

Kiedy budynek wrośnie w Warszawę i stanie się zwykłym miejscem, o którym ludzie będą mówili po prostu: idziemy do MSN-u. © Rozmawiał PIOTR KOSIEWSKI

JOANNA MYTKOWSKA, dyrektorka Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie, wrzesień 2021 r.

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO" 39/2024
REDAKCJA: Monika Ochędowska, Michał Sowiński
PROJ. GRAF.: Marek Zalejski | SKŁAD: Agnieszka Cynarska-Taran
FOTOEDYCJA: Edward Augustyn, Dominik Berezowski
OPIEKA WYDAWNICZA: Anna Pietrzykowska, Mateusz Gawron, Marek Bednarz

MATERIAŁ PRASOWY

W LODOWEJ KRAINIE

Nagrodę Literacka Podróż Hestii wręczono po raz czwarty. Tym razem wyróżniono Karolinę Lewestam za powieść „Silla" – opowieść o chłopcu, który musi przywrócić równowagę zagrożonemu katastrofą światu.

Maja Sołtysik

Każdy człowiek potrzebuje czasem ucieczki. Kiedy ciężar otaczającego świata staje się coraz bardziej nieznośny, szukamy sposobów na – choćby chwilowe – zrzucenie go ze swoich barków. W takich sytuacjach sięgnięcie po książkę „Silla" może okazać się strzałem w dziesiątkę.

Losy jedenastoletniego chłopca o imieniu Ari przedstawione w tej powieści to emocjonująca podróż w poszukiwaniu ratunku dla skutej lodem krainy Tlate Hiin. Główny bohater odkrywa nie tylko receptę na przywrócenie równowagi w przyrodzie, ale odnajduje także swoją tożsamość, prawdziwą przyjaźń, szczerą miłość, a nawet szczęście.

Karolina Lewestam już od maleńkości praktykuje technikę ucieczki. Jako młoda dziewczyna, chcąc ukryć się przed przytłaczającą rzeczywistością, kreowała swoją własną – przy pomocy książek. Doskonale pamięta, jakie wrażenie wywarła na niej literatura C. S. Lewisa z magiczną Narnią po drugiej stronie szafy. Już wtedy zapadł werdykt dotyczący jej przyszłości – postanowiła, że zostanie pisarką. I chociaż do momentu wydania jej pierwszej książki musiało minąć trochę czasu, w końcu udało jej się osiągnąć upragniony cel – dotrzymała własnej obietnicy z dzieciństwa.

Głównego bohatera „Silli" wymarzyła sobie ponad piętnaście lat temu. Lecz tak właściwie, trzymając się chronologii myśli w głowie autorki, powinnam wspomnieć o innej postaci – o krowie śnieżnej wpatrującej się w Zorzę, niezwykle istotnym elemencie fabuły. To właśnie zwierzę stanowiło pierwszy fundament książkowej krainy. Później świat „Silli" zmieniał się i ewoluował, podobnie zresztą jak światopogląd i perspektywa pisarki.

Pierwotna wersja zakładała, że akcja będzie miała miejsce w inuickiej wiosce. Z czasem w sercu Karoliny Lewestam zaczęło kiełkować wrażenie, że nie jest to najlepsze rozwiązanie. I pomimo że zdążyła już podejść do swojego zadania bardzo poważnie (zagłębiła się nawet w język inktitut!), postanowiła odłożyć na bok wszelkie zapożyczenia kulturowe i stworzyć własne, fikcyjne miejsce.

Wyszło fenomenalnie. Bardzo umiejętnie udało jej się zbudować relacje pomiędzy bohaterami ludzkimi oraz zwierzęcymi, nie wspominając o niezwykłych opisach przyrody. Nie chcąc podkradać Inuitom ich legend oraz tradycji, spokojnie, bez pośpiechu, oddawała się spisywaniu własnych opowieści owianych chłodem wiatru i nutką tajemnicy.

KAROLINA LEWESTAM – eseistka, pisarka, wykładowczyni, ilustratorka. Obroniła doktorat z filozofii na Uniwersytecie Bostońskim. Autorka „Małej księżniczki" (2021, W.A.B.), zbioru esejów o rodzicielstwie „Pasterze smoków" (2022, Czarne) oraz powieści „Silla" (2023, Agora dla Dzieci) i „Strażniczka Perły" (2024, Agora dla Dzieci) składających się na sagę fantasy „Opowieści świata Zorzy". Wieloletnia felietonistka i publicystka „Dziennika Gazety Prawnej", od kilku lat związana jest z magazynem „Pismo", w którym odpowiedzialna jest za dział „Idee". Wielokrotnie nominowana do nagrody Grand Press, a także do Odkryć Empiku, Książki Roku portalu „Lubimy Czytać", nagrody im. Ferdynanda Wspaniałego i wielu innych. Matka trójki dzieci, współlokatorka trzech kotów. Na zdjęciach: laureatka, wyróżnieni oraz jury podczas gali Nagrody Literacka Podróż Hestii w Sopocie, 13 września 2024 r.

MATERIAŁ PRASOWY

Nie zapominała oczywiście o wymyślonym lata temu bohaterze – osiedliła go w Tlate Hiin i uważnie przyglądała się jego czynom. Na gorąco przypisywała Ariemu różne cechy, uczucia i doświadczenia. Otoczyła go troskliwymi i kochającymi istotami, lecz jednocześnie nie szczędziła nastoletniemu chłopcu kłód rzucanych pod nogi.

Jego historia jest utkana z magicznych i niepowtarzalnych przeżyć, ale nie oznacza to, że młodszym czytelnikom trudno się z nim utożsamić. Każdy z nas, bez wyjątku, odnajdzie część siebie w głównym bohaterze.

„Silla" w konkursie Literacka Podróż Hestii miała niemałą konkurencję i wysoko postawioną poprzeczkę. Co istotne, zauroczyła zarówno dorosłą kapitułę, jak i młodzieżowe jury. Jej powieść pochłania, wzrusza i uczy. Autorka ukryła między wersami sporo cennych wartości i postaw godnych naśladowania. Docenianie rodziny, udzielanie wsparcia, proszenie o pomoc i dbanie o naturę to tematy, z którymi powinien zmierzyć się każdy młody czytelnik. Dodatkowo przeczytanie powieści o zimowych przygodach Ariego pozwala wzmocnić pewność siebie, dając odwagę przy podejmowaniu niełatwych decyzji.

Do nagrodzonej przez Literacką Podróż Hestii książki idealnie pasuje określenie literatury międzypokoleniowej. Co prawda jest ona adresowana do czytelników w kategorii wiekowej 9-12 lat, lecz uważam, że dorośli także odnajdą w niej coś dla siebie. Niewykluczone, że podczas lektury „Silli" kompletnie przepadniecie – jednak bez obaw, druga część serii o mroźnej krainie jest już dostępna w księgarniach oraz bibliotekach, a coś mi podpowiada (być może to Zorza!), że na trzecią nie będziemy musieli długo czekać. ©

MAJA SOŁTYSIK – czytelniczka, autorka bloga czytamaja.pl, rysowniczka, uczennica liceum. Bohaterka książki „Young Power! 30 historii o tym, jak młodzi zmieniają świat" Justyny Sucheckiej. Twórczyni cyklu „Co CzyTa Maja?" w Polskim Radiu Dzieciom. Ambasadorka konkursu Książka Roku Polskiej Sekcji IBBY.

MATERIAŁ PARTNERA

Literacka Podróż Hestii

Konkurs Literacka Podróż Hestii

wyróżnia autorów i autorki klasycznych form: powieści, powieści graficznych i opowiadań – napisanych z myślą o młodych czytelnikach i czytelniczkach (10-15 lat). Wybieramy tytuły, które mają szansę pozostać na długo w kanonie literatury dziecięco-młodzieżowej, a laureaci Nagrody Literacka Podróż Hestii otrzymują 50 tysięcy złotych.

W tym roku Nagrodę otrzymała:

Karolina Lewestam
za książkę SILLA, Agora dla Dzieci
pozostałe nominacje:

- HYDROPOLIS 2. WALCZ, Zygmunt Miłoszewski, W.A.B. / GW Foksal
- KSIĘŻNICZKA NA WYGNANIU, CZYLI OSIEM ŻYWOTÓW REGINY RÓŻYCZKI, Katarzyna Ryrych, Butterfly / Ibis
- HAJDA. BESKID BEZ KITU, Maria Strzelecka / Libra P
- ZGUBA, Natalia Szostak, W.A.B. / GW Foksal

Nagrodzona przez nas powieść Karoliny Lewestam podkreśla wartości, które wyraźnie wpisują się w ideę konkursu Literacka Podróż Hestii. To przede wszystkim potrzeba współpracy, która jest szczególnie ważna w obecnych czasach indywidualizmu i różnorodności. Siłą tej książki są również wątki, które zachęcają do poszukiwania harmonii, pokojowego współistnienia różnych gatunków, postaw i opinii. Treść „Silli" nawiązuje do najlepszych tradycji literackich – powieści inicjacyjnych czy podróżniczych – i w ten sposób jest czytelna dla każdego, nie tylko dla fanów gatunku – mówił Artur Borowiński, prezes Grupy ERGO Hestia, przewodniczący Kapituły Nagrody.

REKLAMA

podróże z muzyką i winem

Wyjazdy operowe

OPERA | WINO | MUZEA | GALERIE SZTUKI | NAJLEPSZE RESTAURACJE

PROGRAM NA SEZON 2024/2025

Gala Pucciniego w Monako

15–18 listopada 2024

W programie gala operowa **Viva Puccini** – w obsadzie Maria Agresta i **Jonas Kaufmann**

Wieczór w Operze Śląskiej w Bytomiu

1 grudnia 2025

W programie **Luisa Miller** Giuseppe Verdiego, w obsadzie **Andrzej Dobber**

Muzyczny Frankfurt i Moguncja przed świętami

5–8 grudnia 2024

W programie opera **Makbet** Giuseppe Verdiego

Operowy Sylwester w Madrycie

29 grudnia 2024 – 1 stycznia 2025

W programie **Maria Stuarda** Gaetano Donizettiego – w obsadzie Krzysztof Bączyk i Szymon Mechliński
Kolacja sylwestrowa w rytmie **flamenco** w restauracji z gwiazdką Michelin

Teatralno-operowy weekend w Warszawie

10–13 stycznia 2025

Koncert w **Filharmonii Narodowej** – w programie Mozart i Rachmaninow
W Operze Narodowej ***Madame Butterfly*** Giacomo Pucciniego – w obsadzie **Aleksandra Kurzak**

Operowy karnawał w Wiedniu

7–10 lutego 2025 (autokarem z Krakowa)

W programie ***Trubadur*** Giuseppe Verdiego – w obsadzie **Artur Ruciński** i Maria Agresta
W programie ***Tosca*** Giacomo Pucciniego – w obsadzie **Sonya Yoncheva**, Ambrogio Maestri i **Piotr Beczała**

Muzyczny Wiedeń na bis

13–16 marca 2025 (samolotem z Warszawy)

Koncert Wiener Akademie w **Złotej Sali Musikverein** – w programie Brahms i Schumann
Spektakl w operze – ***Norma*** Vincenzo Belliniego, w obsadzie **Juan Diego Flórez** i Frederica Lombardi

Wenecja – sztuka i muzyka Serenissimy

1–6 kwietnia 2025

Spektakl w La Fenice **Anna Bolena** Gaetano Donizettiego – w obsadzie Lidia Fridman i Carmela Remigio
Koncert symfoniczny – **Rudolf Buchbinder** gra Beethovena

Festiwal Florencki Maj

10–16 maja 2025

Program zostanie podany w październiku

Rezerwacje i dodatkowe informacje:

www.podrozezwinem.pl | 722 100 224 | wycieczka@wine-service.pl

ELIZA

Kącka: *Wyczuwam znawcę*

Gdańsk, Żółty Wiadukt, zastygam przy barierce. Przede mną kosmiczno-ruinny krajobraz z ramionami zielonych dźwigów. Wygląda to jak porzucona stacja kosmiczna, zwłaszcza przez rdzawy filtr rozproszonej w powietrzu mżawki. Wyciągam telefon, robię zdjęcia. Kątem oka widzę, że zbliża się starszy pan. Ledwie wspiął się na pagór wiaduktu. Zawisł na chwilę na lasce, wyprostował się – i wzrokiem na mnie: „Robią wrażenie". „A robią" – przytakuję. „Moje zielone olbrzymy" – pieszczota w tonie. „Hehe, siedmiu śpiących". „Teraz je ożywiają, podobno. Nie wiem zresztą. Ja tu mieszkam, wie pani, z synem, przy Jana z Kolna. Miałem wracać na południe, ale dla nich nie chcę". „O, aż tak?". „Aż tak. Chcę je widzieć. To dziwne, że się na starość zakochałem w tych monstrach". „Etam" – pocieszam. „Syn ma mnie za wariata, podtyka albumy rodzinne, a ja wolę dźwigi". „Haha". „Ale wie pani, one są tak wspaniale nieludzkie, nieludzkie. I tak dużo dla nas pracowały, chociaż są nie z tego świata". „Tak, inny kosmos". „Ototo. Syn myśli, że oszalałem i słyszę głosy. Że mnie przyzywają. Don Kichot i wiatraki, rozumie pani". „Aha". „A ja nie słyszę, ja patrzę. To jest potęga, ale taka...". „Murszejąca". „Tak! Nawet wolałbym, żeby ich nie budzili. Bo chciałem umierać razem. Codziennie wyobrażam sobie, jak obłazi je rdza, a one tęsknią za swoją planetą. Tam nie są dźwigami". „A czym?". „Nie wiem". Milczymy, leje coraz mocniej. „A wyobrażał pan sobie, że siada tam, nad ramieniem dźwigu, w kabinie?". „Co też! – obruszył się – to niemożliwe!". „?". „Zrzuciłyby mnie!". Pożegnał się łypnięciem zawodu, obrócił: „Co też, co też: wsiadać! Ja?!". Pokuśtykał, mantrując: „Co też! Głupia! Takie dumne stworzenia! Takie dumne!".

Gdańskie Targi Książki, już po spotkaniu, krążę między stanowiskami. Podchodzi gość z komórką: „Przepraszam, jest pani znana?". „?". On na zniecierpliwieniu: „No czy jest pani rozpoznawalną pisarką?". „U, nie wiem". „Skoro pani nie wie, to nie jest". „Cóż". Już cofam się rakiem, ale zatrzymuje: „A niech pani stanie, żona zrobi zdjęcie". Zrobiła. Zarzucam plecak, coś tam szepcą. Wyłapałam: „A niech stracę".

Czekam na pociąg do Gdańska. Z jednego peronu odjeżdża pendolino i pociąg tani, którym zamierzam się toczyć. Różnica odjazdów: pięć minut w skali niepokoju. Im ich bliżej, tym wyraźniejszy podział. Pendolinowcy bezwiednie dryfują ku pozycjom pewnym, bo gdyby dworzec przeczesała bomba, to ich by złapało przed ostatecznym lejem, uwiozło ku Gdyni i rozdało po bezpiecznych przystaniach. A my byśmy wpadli w krater niemożności. Tak to widzę, bo tuż obok mnie, po mojej stronie peronu, daleko od uprzywilejowanej strefy grają mikrodramy: „Nie przyjedzie" – mówi gość opełzły tatuażem-wężem. „Musi być spóźnienie – mówi dziewczyna znad kanapki – ja siadam". Je koczująco. „Jak człowiek biedniejszy, upokorzyć" – mówi starsza znad torby ruskiej. Obozowisko w lewej, prekariackiej zonie. Zaskoczył nas, przyjechał o czasie. Zastał nas konsumujących momentalną katastrofę.

Pociąg z Katowic do Warszawy. W przedziale para dwudziestolatków i ja. Dziewczyna wskakuje pod okno, wbija się w kąt, poza obronna. Wyciąga słuchawki, książkę, buduje zasieki. Młody mości się na środku przeciwległego siedzenia. On: „No i po co panikujesz?". Ona: „A odwal się". „Co tak niegrzecznie?". „A odwal się". „Pani kulturalna słucha". „A odwal się". Ona gryzie mentalny dywan, zaciska pięść na słuchawce. On rozpiera się coraz bardziej. „Naprawdę myślałaś, że dorównasz pierwszej klasie skrzypiec?". „A odwal się". „Dobrze radziłem, żebyś zabrała teczkę". „A odwal się". „Nic z ciebie wielkiego nie będzie, ale można cię jeszcze podratować, podciosać". „A odwal się". „To brzydko kląć, mnie w domu nauczyli, że się nie klnie w kulturze". „A odwal się". „Byłaś subtelna kiedyś, nie wyrażałaś się tak prostacko". Prycham. Dziewczyna zerka z zezem: „Ratuj!". On: „Nigdy nie osiągniesz poziomu...". Wchodzę: „Pan zajmuje się muzyką? Wyczuwam znawcę". „Jestem filozof". „Dobrze wyczułam. Czyli, że ma pan pierwszą ligę w skrzypcach". Siedzi, myśli. „To jest kwestia wyczucia". „A, niewątpliwie". „Wyczucia, jak się zachować". „Względem pana?". „Tak". „Aaa". Siedzimy w milczeniu. Dziewczyna nie wyrabia, płacze: „Ja ci jeszcze pokażę". Obracam się do niej: „Wiesz, ja też kiedyś zabrałam dyplom z pierwszego roku polonistyki w Krakowie i zostałam w Warszawie. Bo gość, co tam ze mną pojechał, powiedział mi, że nigdy nie doskoczę. Dziś wiem, że niepotrzebnie złamałam sobie kręgosłup. Jak ktoś tak z tobą gada, nie jedź dalej". Wysiadam, bo już Centralna.

Ranek na dworcu, za chwilę jazda do Katowic. Mam jeszcze czas, więc eksploruję okolicę. Przed wejściem od strony Złotych Tarasów (nazewnicze folklory lokalne) grupa bezdomnych. Niektórzy ze świeżego naboru. Jedna, bardzo stylowa, dopiero co obrosła nocowaniem na dworcu: „Zlikwidowałam profil na fejsbuku!". Gość na kartonach zanosi się od śmiechu. Ona niezmordowanie: „Kto pije ze mną?!". Podstawia pozostałym kubek-niekapek z dworcowej kawiarni. Dizajn luksusowy ze śmietnikowego odzysku. „Ja też miałem profil" – mówi, skubiąc brodę, gość z dłuższym przebiegiem rozkładu. „Aaaa, ludzieee" – wije się ten na kartonach. „I co? Ilu miałeś znajomych" – pyta się likwidatorka. „Tak z pięćdziesięciu". „No, to ja dwustu". „A ja już dawno nie mam, to jest niemodne" – przykatulał się gość wypchany butelkami po mineralnej. „Wiecie co? – mówi ten od pięćdziesiątki – wypijmy za nich!". „Bo co?" – ożywia się ten z kartonów. „Bo ich już nie ma". I poszłam na pociąg. ©

Eliza Kącka jest literaturoznawczynią i pisarką. Opublikowała m.in. „Strefę zgniotu" i „Idiomy". Ostatnio wydała w Karakterze „Wczoraj byłaś zła na zielono".

Z CZEGO ZBUDUJEMY PRZYSZŁOŚĆ?

Jakie materiały wykorzystamy w architekturze, budownictwie, a jakie w medycynie i modzie? Spotkajmy się na bezpłatnym Festiwalu Przemiany w Centrum Nauki Kopernik w Warszawie od 11 do 13 października 2024 r.

Sukienka z korzeni. Taboret z rybiej łuski. Pokój z lnu. Farby z kapusty. Kimono ze ścieków. Naukowcy, inżynierowie, projektanci i artyści wciąż zaskakują nas nowymi propozycjami i coraz śmielszymi rozwiązaniami, opracowując materiały, z których możemy zbudować zrównoważoną i przyjazną dla wszystkich przyszłość. Prezentowane na licznych targach i wystawach nowinki technologiczne dają nam często złudne poczucie bezpieczeństwa, oparte na wierze w ludzki geniusz i niezmienność wykładniczego postępu technologicznego. Innowacje w dziedzinie projektowania materiałowego pozwalają snuć śmiałe wizje świata, w którym betonowe ściany budynków same naprawiają pęknięcia w swojej strukturze, gdzie ubrania barwione są z pomocą bakterii, bez użycia szkodliwych chemikaliów, a inteligentne opatrunki na naszej skórze informują o stanie gojenia się ran.

Rzeczywistość rysuje się jednak w znacznie ciemniejszych barwach. Pomimo licznych apeli środowiska nauki i oddolnych inicjatyw społecznych, nadal żyjemy w kulturze nadwyżki i marnotrawstwa, w której wartość ekonomiczna większości produktów codziennego użytku jest wyjątkowo niska. Ilustruje to dobrze przemysł modowy – według danych ONZ odpowiada on za 10% globalnej emisji dwutlenku węgla. Przewiduje się, że w ciągu następnej dekady globalne zużycie odzieży wzrośnie o 63%, z 62 milionów ton w 2019 roku do 102 milionów ton w 2030 roku. Odpowiada to ponad 500 miliardom dodatkowych bluzek i T-shirtów. Wiele z tych ubrań, w ciągu 3 lat od zakupu, trafi na wysypiska śmieci globalnego Południa, np. na pustynię Atakama w północnym Chile. Ropopochodne ubrania „fast fashion" będą się tam rozkładać przez 200 lat lub dłużej, degradując lokalny ekosystem.

OD KONSUMPCJONIZMU DO RÓWNOWAGI

Z jakich materiałów powinniśmy budować przyszłość, aby przerwać ten konsumpcyjny pęd do samozagłady? Jak definiujemy relacje pomiędzy światem ograniczonych zasobów naturalnych a światem naszych materialnych wytworów? Co oznaczają dla nas zrównoważony rozwój, obieg zamknięty, zeroemisyjność? Są tylko poprawnymi politycznie sloganami czy rzeczywistymi wartościami, ważnymi podczas dokonywania codziennych wyborów? Odpowiedzi na te pytania są punktem wyjścia do stworzenia planu, który pomoże kształtować świat nie tylko dla nas, ale także dla przyszłych pokoleń. To trudne zadanie próbuje podjąć tegoroczny Festiwal Przemiany w Centrum Nauki Kopernik.

Podczas trzydniowego, interdyscyplinarnego wydarzenia, łączącego naukę i sztukę, przedstawiona zostanie cała gama tworzyw i idei. Będą zarówno nowe, jak i tradycyjne materiały. Eksperymentalne próbki i gotowe produkty. Niektóre z nich powstały dzięki rozwojowi nauki i zaawansowanym technologiom, kolejne są darem natury, a jeszcze inne stanowią efekt artystycznych poszukiwań i wyzwań zrównoważonego projektowania. W programie wydarzenia znalazły się wystawy, stacje doświadczalne, spotkania z artystami i naukowcami, dyskusje, performanse, selekcja filmów, sety didżejskie i kawiarnia pop up z festiwalowym menu i warsztatami.

NANOWŁÓKNA JAK PIÓRA PINGWINA

Wydarzenie rozpocznie się od spotkania z trójką gości specjalnych reprezentujących świat nauki, dizajnu i sztuki. Wszyscy stworzyli innowacyjne materiały, wykorzystując zupełnie inne zasoby. **Projektant Karol Murlak** przybliży proces powstawania hydrożelu z alg morskich oraz ażurowej kratownicy z drewna, która pod względem wytrzymałości zbliżona jest do litej deski, ale w przeciwieństwie do niej wymaga znacznie mniejszej ilości surowca. **Prof. Urszula Stachewicz** przedstawi nanowłókna inspirowane strukturą włosa niedźwiedzia polarnego i pióra pingwina. Oba te gatunki wytworzyły podobne sposoby ochrony przed mrozem – pióra i włosy są porowate w środku i ułożone w sposób dający świetne właściwości izolacyjne. Nanowłókna o takich cechach mogą być wykorzystane do termicznej izolacji budynków czy osłony kabli. **Julia Lohmann** opowie o organizmach morskich, które są jej muzą, materiałem i metodą. Pomagają artystce w budowie aktywistycznej społeczności ponad podziałami i zachęcaniu do działania z nastawieniem konstruktywnym, empatycznym i wielogatunkowym.

SZEROKI WACHLARZ MATERIAŁÓW

Tegoroczne Przemiany to wielogłosowa, różnorodna platforma dyskusji nad zrównoważonym projektowaniem, innowacjami materiałowymi, rzemiosłem i relacją człowieka ze światem przyrody. Wszystko to znajdzie swoje odbicie na wystawach. Znaczną część ekspozycji stanowić będą części kolekcji banków materiałów. Future Material Lab z Jan van Eyck Academie to archiwum ekologicznych, nietoksycznych materiałów, powstających w oparciu o różnorodne praktyki twórcze, czerpiące zarówno z nowych technologii, jak i tradycyjnego rzemiosła. Obecnie kolekcja obejmuje 428 projektów i stale się powiększa. Na Festiwalu dostępne będą materiały wykonane z grzybów, alg, gleby, skorupek jaj, soli, korzeni drzew czy ludzkich włosów. Historię i najciekawsze nabytki banku będzie można poznać na spotkaniu z jego **projektantem Jaapem Knevelem** oraz polskimi artystkami, **Olą Ignasiak** i **Karoliną Gębką**, których farby z czerwonej kapusty znalazły się w kolekcji. Biblioteka Wise Habit of Sustainable Materials gromadzi zarówno materiały budowlane, jak i te do wykończenia wnętrz oraz produkcji mebli. Na wystawie znajdą się produkty ponad 20 wiodących europejskich marek. Surowce, z których są wykonane, w większości pochodzą z recyklingu (materiały z rozbiórek, odpady z przemysłu spożywczego) bądź są

pochodzenia biologicznego (np. grzybnia). Swoimi pomysłami podzieli się z gośćmi Przemian także młode pokolenie projektantów Uniwersytetu SWPS. Studenci zaprezentują osiedlowy schron klimatyczny, mobilne schronienie dla zwierząt domowych, ostoje dla roślin i owadów, obiekty użytkowe z recyklingu. Częścią wystaw będą także prace doświadczonych projektantów (np. dom CENTRALI, w którym każdy pokój wykonany jest z innego materiału – drewna, słomy, lnu) oraz artystów. **Nienke Hoogvliet** zaprezentuje taboret z rybiej skóry, kimono uszyte z materiału pozyskanego ze ścieków oraz kurtkę barwioną pigmentami z wodorostów. **Dr Matthew Gardiner** łączy robotykę, naturę i origami. W efekcie powstają wyjątkowe instalacje (np. robotyczne kwiaty), nawet instrumenty muzyczne.
O pionierskich poszukiwaniach artysty będzie można posłuchać podczas spotkania połączonego z performansem muzycznym. W przestrzeni wystaw znajdą się także stacje doświadczalne, pozwalające poznać budowę polimerów, właściwości stopów metali i bioplastiku, a także zasady nanotechnologii. Nie wszystkie materiały będą prezentowane na wystawach. Niektóre z nich przedstawią ich twórcy podczas paneli eksperckich. **Dr Stefan Szyniszewski** opowie o materiale, który stworzył ze swoim zespołem. PROTEUSA nie można przeciąć ani przewiercić, a próbując, zniszczy się jedynie narzędzia. Pomysłodawcy inspirowali się strukturą skórki grejpfruta i odpornymi na pękanie skorupami mięczaków. Zespół **dr. inż. Jana Wróbla** opracował ogniotrwały i odporny na promieniowanie stop metali, który może być wykorzystany w energetyce jądrowej i przemyśle kosmicznym. O żywych lekach i innowacyjnych metodach ich dostarczania opowiedzą **dr Rafał Lolo** i **prof. dr hab. inż. Wojciech Święszkowski.**

POROZMAWIAJMY O PRZYSZŁOŚCI

Całe bogactwo i różnorodność materiałów przyszłości ukazują ich ogromny potencjał. Czy potrafimy go wykorzystać? Sukces wiąże się ze świadomością wyzwań i upowszechnianiem nowych rozwiązań. Cyrkularność, zrównoważony rozwój, zeroemisyjność muszą przestać funkcjonować w świecie teorii, a stać się praktycznym standardem. Podczas Festiwalu Przemiany odbędą się panele i dyskusje dotyczące naszego podejścia do koniecznych zmian i spotkania z tymi, którzy już je wdrażają. O obiegu zamkniętym w gospodarce opowie teoretyk – **dr hab. Joanna Kulczycka**, a także **praktyk** – **Tomasz Ciamulski**. W świat zrównoważonej mody wprowadzi **Monika Surowiec**, pionierka i ekspertka w sprawach upcyclingu, oraz **Ewelina Antonowicz** – prezeska polskiego oddziału międzynarodowej organizacji Fashion Revolution. Cyrkulacja myśli – dyskusja w formacie World Café – to nowa propozycja Przemian. Uczestnicy spotkania rotują między różnymi podgrupami i tematami, co gwarantuje szybką wymianę poglądów. Wnioski przyrastają stopniowo i uwzględniają różne perspektywy. Rozmowy dotyczyć będą zrównoważonego rozwoju i ekonomii cyrkularnej. Podczas festiwalowych debat nie można pozostać neutralnym. Wymagają one opowiedzenia się „za" lub „przeciw". Gościom Przemian przyjdzie zdecydować, czy wolą jednorazówki, czy produkty trwałe. Zastanowią się także, czy jakieś materiały pozyskiwane z gleby mogą stanowić tabu.

Festiwal Przemiany jest interdyscyplinarną bezpłatną imprezą o przyszłości organizowaną od 14 lat przez Centrum Nauki Kopernik.

www.festiwalprzemiany.pl

MATERIAŁ PROMOCYJNY

KULTURA

NIEŚWIĘTE HIEROGLIFY

Nikt bardziej wiarygodnie niż Thomas Pynchon nie sportretował współczesnego chaosu. I nikt nie oddał lepiej naszej obsesyjnej potrzeby odnajdywania w nim ukrytych znaczeń, wzorów i komunikatów.

JERZY JARNIEWICZ

Jeśli polski przekład tej powieści doczekał się właśnie piątej edycji, od jego pierwodruku w „Literaturze na Świecie" w 1985 r., możemy bezpiecznie założyć, że „49 idzie pod młotek" Thomasa Pynchona jest dziełem nietuzinkowym. A jeśli, jak łatwo zauważyć, po tę powieść sięgają nie tylko nowi czytelnicy, ale i ci, którzy ją po kilka razy już czytali, możemy powiedzieć, że to dzieło, które nie straciło nic na aktualności.

Choć kanon współczesnej literatury jest miejscem wyjątkowo kapryśnym, Pynchon zapewnił w nim sobie, między innymi dzięki tej powieści, bezpieczne, wpisane do ksiąg wieczystych miejsce: ilu twórców powojennej literatury amerykańskiej było w swej sztuce na tyle bezkompromisowych, by móc to samo o sobie powiedzieć? Troje? Czworo? William Burroughs, Toni Morrison, Don DeLillo, David Foster Wallace?

Już debiut Pynchona, „V." (1963), czarna komedia rozegrana na wielu płaszczyznach czasowych, zrywającą z fabularną spoistością, kreująca wizję obłąkanego świata spisków, śledztw i szyfrów, świata ludzi, post-ludzi i cyborgów, dowodził, że mamy do czynienia z pisarstwem bezczelnie inteligentnym. I anarchicznym zarazem.

Zapowiadał niektóre wątki drugiej, jak dotąd najkrótszej powieści Pynchona „49 idzie pod młotek" (1966). Po jej sukcesie autor oszołomił wszystkich wyłamującą się wszelkim definicjom, wszystkożerną, gargantuiczną „Tęczą grawitacji" (1973), do dziś uznawaną za jedno z największych osiągnięć, jak chcą niektórzy – literatury amerykańskiej, jak chcą inni – postmodernizmu w literaturze. To poddana potężnej sile odśrodkowej para-historyczna powieść halucynacja, kolejny obraz oplątanego siecią spisków, kontrolowanego z ukrycia świata, który wchodzi w ostatnie stadium rozkładu.

Jedno jest tu pewne: „Tęcza grawitacji", będąca nie lada wyzwaniem w lekturze, okazała się bezprecedensowym źródłem inspiracji dla niezliczonych twórców. Po niej przyszły kolejne powieści Pynchona, niemal wszystkie, łącznie ze sfilmowaną „Wadą ukrytą" (2011) i najnowszą „W sieci" (2015), już spolszczone.

Czytanie w chaosie

Nikt bardziej wiarygodnie niż Pynchon nie sportretował współczesnego chaosu, w jego zarówno groźnych, jak i groteskowych wcieleniach, nikt nie oddał lepiej poczucia zagubienia i wynikłej z niego obsesyjnej potrzeby odnajdywania ukrytych znaczeń, wzorów i komunikatów. Nikt nie zakorzenił tych lęków w rzeczywistości przefiltrowanej co prawda przez autorską wyobraźnię, ale jednak historycznie rozpoznawalnej: najczęściej jest to świat zimnej wojny i lat ją poprzedzających.

AUTHOR PYNCHON
N CAMERA!

FIRST SHOTS IN DECADES OF NOTORIOUS HERMIT, 81

AN EXHAUSTIVE six-month National ENQUIRER investigation has accomplished what no other news organization in the world has achieved for 20 years — capturing notoriously reclusive author Thomas Pynchon on camera!

The acclaimed National Book Award winner, 81, has dodged interviews and lensmen for decades and has been photographed just four times in his 50-plus-year career! And two of those images were never officially confirmed as being him!

The last known photo of the author of "Inherent Vice" — basis of the 2014 Joaquin Phoenix film — was taken in 1998 as he strolled with his then seven-year-old son, Jackson!

At the time, the wordsmith's reaction to the paparazzo was: "Get your f--king hand away from me. I don't like people taking my picture!"

The most recent "appearance" of the literary hermit came in cartoon form on "The Simpsons" in 2004! Pynchon lent his voice to an animated version of himself — who wore a paper bag over his head.

The ghostly author of "The Crying of Lot 49" wrote his own lines for the cameo, in which he reviewed Homer's first novel and said, "Thomas Pynchon LOVED this book! Almost as much as he loves CAMERAS!"

And then he vanished — until now.

Using old-fashioned shoe leather, ENQUIRER reporters and photographers tirelessly canvassed the New York City neighborhood where Pynchon was last known to reside, looking for the man who had become SO scarce, some insisted he didn't actually exist — or had died!

His wife and agent, Melanie Jackson, refused interview requests. But our team grilled bookstore owners, business operators, doormen and residents, who confirmed the author is alive!

Pynchon's son, now 27, was caught by our cameras, but his father remained invisible — until Election Day, Nov. 6, when there was hope he would emerge to vote.

On that day, our shutterbug caught Pynchon walking with his son — in nearly the SAME spot they were seen two decades ago!

"It was an amazing moment and an incredible irony," said our snapper. "It just goes to show what hard work and good reporting instincts can accomplish. We scooped the rest of the world!" NE

Joaquin Phoenix and Maya Rudolph in "Inherent Vice"

He left college to join the Navy!

DOMENA PUBLICZNA X3

U góry: Thomas Pynchon w księdze rocznikowej swojego liceum. 1953 r.

Po lewej: „Pierwsze od dekad zdjęcia notorycznego odludka (81 l.)". Strona z amerykańskiego tabloidu „National Enquirer" z 14 stycznia 2019 r.

U dołu: Postać Pynchona w jednym z odcinków serialu „Rodzina Simpsonów", 2004 r.

Napisać o chaosie tak, by czytelnicy nie tyle się w tej prozie pogubili, co dali się wessać w obłąkańczy wir słów, obrazów i postaci, a potem do tego doświadczenia w kolejnych lekturach chcieli wracać, to dowód wyjątkowej wiarygodności tego pisarza. Pynchonowskie wizje, choć wdzierające się często na obszar psychodelicznych doznań i maniakalnych urojeń, jakby autor rozregulował nam, a przede wszystkim sobie, zmysły, są jednocześnie głęboko ugruntowane w jego erudycyjnej wiedzy o współczesnej nauce, technologii i ich powiązaniach z wielkim kapitałem.

Pisarz wszak studiował (krótko) fizykę, a co ważniejsze, pracował w przemyśle zbrojeniowym, obserwując – u szczytu zimnej wojny – produkcję rakiet balistycznych, które wkrótce odegrają niepoślednią rolę w jego najgłośniejszych powieściach.

„49 idzie pod młotek" to najpopularniejsza i najbardziej przystępna z powieści Pynchona, której naturalnym środowiskiem jest amerykańska kontrkultura lat 60. Elementy współtworzące tę prozę, a wywodzące się z ducha kontrkultury, mógłbym długo wyliczać: radykalna antysystemowość, klimat swobody ↦

↦ obyczajowej i rosnące znaczenie subkultury rocka, upodobanie do środków poszerzających świadomość, krytyka militaryzmu, przemysłu zbrojeniowego i sprzężonej z biznesem nauki, eklektyczna świadomość łącząca zainteresowanie duchowością z fascynacją nowymi technologiami, a nawet sama idea alternatywnej rzeczywistości.

Znaki, znaki, znaki

Powieść długo pozostaje w pamięci dzięki paranoicznemu obrazowi współczesnej nam rzeczywistości, w której pociąga za sznurki głęboko zakonspirowana, wszechwładna organizacja. Wraz z bohaterką o niepokojąco mitycznym imieniu Edypa, która niespodziewanie zostaje wykonawczynią testamentu pewnego milionera, a dawnego kochanka, jesteśmy gotowi uwierzyć, że pod powierzchnią najzwyczajniejszych zjawisk kryje się alternatywny świat.

Sygnały jego istnienia, nieczytelne dla niewtajemniczonych, znaleźć można wszędzie: na ścianach publicznych toalet i na znaczkach pocztowych, w koszach na śmieci, a nawet w monologach siedemnastowiecznej tragedii jakobińskiej. Tu nic nie jest takie, jakie się nam może wydawać.

Pod tym względem powieść Pynchona jest z ducha bardzo amerykańska – zwłaszcza jeśli uznamy, że mitem założycielskim współczesnej Ameryki było zabójstwo Johna Kennedy'ego, które stało się zarzewiem niezliczonych, wzajemnie sprzecznych, do dziś żywych teorii spiskowych. Niewytłumaczone okoliczności jego śmierci tkwią u podłoża także wielu innych, późniejszych teorii konspiracyjnych, a to, że lądowania na Księżycu nie było, a to znów, że atak na Światowe Centrum Handlu odbył się z przyzwoleniem, jeśli nie z inicjatywy, samego prezydenta Busha. Najnowszym przejawem tego typu myślenia jest ruch QAnon, który doprowadził do szturmu na Kapitol tysiące Amerykanów przekonanych, że wybory prezydenckie, przegrane przez Trumpa, były sfałszowane.

I co się dziwić, że spiskową atmosferą, kreślącą granice poznawalności naszego świata, karmi się suto literatura amerykańska, zarówno ta z wyższej półki, na przykład próbująca odtworzyć biografię zabójcy Kennedy'ego „Libra" Dona DeLillo, jak i popularna, kultowa trylogia „Illuminatus!" Roberta Wilsona i Roberta Shei. A jednak w powieści Pynchona, opublikowanej zaledwie trzy lata po zabójstwie w Dallas, ten paranoiczny obraz świata, którego mechanizmów nie da się przeniknąć, a realności sprawdzić, znajduje najdoskonalszą bodaj realizację.

Dla polskich teorii spiskowych pożywką był, i pozostaje, antysemityzm. Poza nim, choć nie brakuje niewyjaśnionych, narracjogennych wydarzeń, takich jak katastrofa na Gibraltarze czy samobójstwo Leppera, teorie spiskowe pojawiały się w ograniczonym zakresie – aż do Smoleńska. Do niedawna gotów byłem sądzić, że to wyłącznie amerykańska specjalność.

Nienasycenie

Dominujące interpretacje powieści Pynchona skupiają się na spiskowym wątku i związanym z nim tematem entropii, choć autor podsuwa także inne tropy. Przy pierwszej lekturze może nam umknąć, że myśl o tajnym stowarzyszeniu rodzi się w umyśle Edypy stosunkowo późno, bo dopiero w trzecim rozdziale. Wcześniej Edypa doświadcza niepokoju zgoła innego rodzaju, który Pynchon nazywa „odczuwaniem braku intensywności świata", a co mógłbym, ryzykując anachronizm, nazwać metafizycznym nienasyceniem.

Bo niepokój ten wynika z poczucia, że świat powinien być, a nie jest, nasycony sensem. Stąd skłonność umysłu do zamieniania wszystkiego w znaki. Kontakt ze światem staje się wtedy lekturą, a świat wymagającym interpretacji tekstem. Edypa odczuła to najsilniej, gdy przyglądała się zabudowie jednego z kalifornijskich miast. Na myśl przyszła jej wtedy chwila, gdy po raz pierwszy otworzyła radio tranzystorowe i zobaczyła płytkę obwodu drukowanego. „W obu tych zewnętrznych formach dostrzegła hieroglificzne wzory ukrytych znaczeń usiłujących jej coś przekazać". Warto zapamiętać to zdanie. Czym jest to „coś", Pynchon za chwilę precyzuje, używając terminologii teologicznej: Edypa, czytamy, doznała „objawienia". Słowo to powróci wielokrotnie, raz nawet w towarzystwie innego, zbliżonego leksykalnie terminu: „zbawienia".

Rzeczywistość, w której żyje Edypa, to świat po zaniku wiary w trwałe, ostateczne znaczenie, gdy Bóg wyszedł z domu i nie wrócił. Zakładam, że w tej akurat powieści nie od rzeczy było policzyć, ile razy autor przywołuje imię Boga, skoro Edypa zrobiła to już w drugim zdaniu pierwszego akapitu. Policzyłem: Bóg przywołany został trzynastokrotnie, niemal zawsze nadaremno, głównie jako element potocznych frazeologizmów, takich jak „Bóg wie", doskonale wymiennych z „licho wie".

W kilku przypadkach Bóg się jednak z oków frazeologii uwalnia i czytamy, na przykład, że brak odpowiedzi jest „oddechem Boga", a wtedy musimy, chciał nie chciał, rzecz potraktować serio, by wraz z Edypą poczuć, zacytujmy: „bliskość absolutu, zapowiedź hierofanii". Pynchon wie, jak zresztą wiedzą wszyscy, że swojego Boga może zastąpić Słowem, i czyni to w zdaniu najcięższego w tej powieści kalibru, w którym mowa o „głosach, które powtarzane w nieskończoność, dadzą wreszcie pewnego dnia początek temu, co nienazwane, nowemu rozpoznaniu, Słowu". Ciekawe, że nierzadko Słowo to przybiera skromniejszą postać słowa. Pozwala mi to przyjąć z pozoru tylko rewolucyjną tezę, że bohaterką powieści jest w gruncie rzeczy ortografia, a konkretnie fluktuacja między wielką a małą literą.

Gdzie prowadzą strzałki

Świat nieintensywny, w którym nie kryje się czekający na odczytanie sens, byłby dla Edypy nie do pojęcia, ale nie tylko dla niej. Kiedy czytałem powieść Pynchona, przypomniała mi się inna proza innego, polskojęzycznego autora, opublikowana niemal w tym samym czasie, w której dostrzec można równoległą myśl: „Gwiaździstość nieba bezksiężycowego – niesłychana – w tych wyrojeniach wybijały się konstelacje, niektóre znałem, Wielki Wóz, Niedźwiedzica, odnajdywałem je, ale inne, mnie nie wiadome, też czaiły się jakby wpisane w rozmieszczenie główniejszych gwiazd, próbowałem ustalać linie, wiążące w figury... i to rozróżnianie, narzucanie tej mapy, zmęczyło mnie nagle, przerzuciłem się na ogródek, ale i tutaj zmęczyła mnie zaraz wielość przedmiotów".

RADIO 357

Najciekawsze tematy
nowego numeru „Tygodnika"
w prasówce Radia 357 – środy o 8.30.
Słuchaj na żywo lub w podkastach na **Radio357.pl**

Pynchon i kontrkultura

DOMENA PUBLICZNA

PYNCHON I DYLAN
Pynchon przyjaźnił się z Richardem Fariñą, pieśniarzem folkowym i autorem kultowej powieści amerykańskiej kontrkultury, „Wszystko się spieprzyło, ale chyba będzie lepiej" (1966). W przedmowie do niej napisał: „powieść rozbrzmiewa jak Halleluja zagrane na kazoo przez dwustu muzyków o słuchu absolutnym". Richardowi dedykował swoją „Tęczę grawitacji", a na jego ślubie z Mimi, siostrą Joan Baez, był drużbą. W owym czasie w tym doborowym towarzystwie obracał się też, jako partner Baez, młody Robert Zimmerman, znany lepiej jako Bob Dylan.

DOMENA PUBLICZNA

PYNCHON I BEATLESI
W powieści kilkakrotnie słyszymy Beatlesów, którzy, gdy powieść powstawała, podbijali Amerykę, przełamując narodową żałobę po śmierci Kennedy'ego. Aluzją do nich jest kapela Volkswagenów (angielskie *beetle* to popularna nazwa garbusa), a jej przebojem „Chcę całować twoje stopy", co uznajmy za pynchonowską wariację na temat tytułu nagrania, którym Beatlesi wdarli się na amerykańskie listy przebojów. Muzycy innego powieściowego zespołu noszą fryzury *à la* Beatlesi i nazywają się Paranoicy – nazwa o tyle zagadkowa, że dwa lata po opublikowaniu powieści Beatlesi nagrali parodystyczny utwór „Los Paranoias". O tym, czy którykolwiek z nich czytał Pynchona, źródła milczą.

SHUTTERSTOCK

PYNCHON I LSD
Psychoterapeuta Edypy przeprowadza eksperymenty dotyczące skutków działania środków psychotropowych, w tym LSD, na „próbce populacji niepracujących żon". To fikcja, ale papież kwasu, Timothy Leary, jeszcze jako wykładowca na Harvardzie prowadził takie badania, wysyłając LSD znanym aktorom, muzykom, pisarzom. LSD długo uznawano za środek nieuzależniający, pomocny w leczeniu choćby alkoholizmu. W Ameryce jako pierwsze zdelegalizowały go Nevada i Kalifornia w 1966 roku. Mąż Edypy nie może się go nachwalić: „Biorę to, bo mogę słyszeć i widzieć, a nawet wąchać rzeczy, których inaczej nigdy bym nie poznał". W świecie powieści Pynchona LSD pełni znacznie poważniejszą, choć nie do końca ujawnioną rolę. © JJ

To „Kosmos" Gombrowicza. Impuls układania rozproszonego świata w znaczące konstelacje i zamieniania rzeczywistości w znaki staje się przekleństwem dla bohatera tej powieści, który w „smużce i kresce" na ścianie widzi strzałkę, a więc znak odsyłający dalej, gdzieś „poza". Nic dziwnego, że bohater pyta: „jak to jest, że, urodzeni z chaosu, nie możemy nigdy z nim się zetknąć, zaledwie spojrzymy, a już pod naszym spojrzeniem rodzi się porządek... i kształt".

Najwidoczniej jako gatunek cierpimy na przypadłość, którą nazwałbym pansemiozą – rzecz pozbawiona znaczenia wytrąca nas z równowagi, zmusza do dostrzegania, a raczej kreowania „hieroglificznych wzorów ukrytych znaczeń". Tej potrzebie „znakowienia" świata towarzyszy zazwyczaj poczucie bezradności, bo gdy już przedmiot zamienimy w znak, czeka nas trudne zadanie jego odczytania.

Pierwotny impuls nakazujący Edypie dopatrywać się we wszystkim ukrytych komunikatów przeradza się w graniczące z obłąkaniem śledztwo. Na plan pierwszy wysuwa się przejęta w masie spadkowej kolekcja znaczków pocztowych zmarłego milionera, która okaże się serią Gombrowiczowskich „strzałek", czymś znacznie więcej niż udaną lokatą kapitału. Język polski pozwolił pięknie wpisać ten wątek w temat wspomnianej już pansemiozy: „znaczki" to zdrobnienie od „znaków". Edypa przygląda się znaczkom i widzi w nich znaki – dzięki polszczyźnie i melodii językowego przypadku.

Oddech Boga

Poczciwa sentencja Oscara Wilde'a, że życie naśladuje sztukę, mało kogo dziś bulwersuje. Gdyby Wilde żył w naszych czasach, zamiast o sztuce powiedziałby o mediach. Reżyser Oliver Stone w „Urodzonych mordercach" (1995) poprowadził narrację tak, że tego, co dzieje się w realnym życiu bohaterów, nie można odróżnić od ruchomych obrazów widzianych na ekranie telewizora. Pynchon zrobił to samo z tym, że trzydzieści lat przed Stone'em, uświadamiając nam, jak bardzo sztuczność zawładnęła naszą rzeczywistością.

Ze zręcznością prestidigitatora wyczarowuje literaturę z literatury, szermuje chwytami z powieści detektywistycznej, filmu drogi czy filmu noir, zwodząc czytelnika a to aluzją do klasycznych mitów, a to znów historycznymi faktami. Na dodatek bohaterką swojej narracji czyni kobietę – znacząca decyzja, która pozwala nam czytać tę powieść przez pryzmat polityki płci. Edypa staje wobec reprezentujących władzę, drapieżnych i instrumentalnie ją traktujących mężczyzn, a misja, którą musi wypełnić, wydaje się zrazu kpiną z jej osoby: Edypa, nie Edyp, wejść musi w świat męskich (do niedawna) zajęć. Jak bardzo jest w tym świecie inna, widać choćby w scenie licytacji, gdzie jest jedyną na sali kobietą. Być może tym, co odkrywamy podczas powieściowej wędrówki, wcale nie jest istnienie tajnej organizacji, ale alternatywna opowieść ↦

↦ kobiety, przyglądającej się Ameryce i poddającej ją własnym interpretacjom.

Obraz Ameryki, który się z tej powieści wyłania, jest, choć łatwo o tym zapomnieć, obrazem stworzonym przez kobietę, która tu, w świecie znaków – wbrew patriarchalnemu porządkowi – zamiast być jedynie nośnikiem znaczeń, te znaczenia tworzy.

Pynchon jednak nie zdecydował się oddać głosu Edypie – narracja, choć przefiltrowana przez jej umysł, jest trzecioosobowa. Istnienie konspiracyjnej sieci ogarniającej pół świata staje się dzięki tej narracji równie prawdopodobne jak to, że jest ona wyłącznie wytworem wyobraźni Edypy, efektem jej alkoholowego rauszu, a może narkotykową wizją. Jak rzeczywiście jest, Bóg wie. Pytanie pozostaje bez odpowiedzi, powieść urywa się w krytycznym momencie fabuły.

Zakończeniem historii Edypy i rzekomego spisku jest zakończenie powieści, bo ta historia nie istnieje nigdzie indziej, jak tylko na dwustu zadrukowanych stronach. Jakby dla przypomnienia nam o tej oczywistości ostatnie słowa w książce są powtórzeniem tytułu, odsyłają więc do dzieła, które właśnie skończyliśmy czytać. Powieść przegląda się w swoim odbiciu, a brak rozwiązania zagadki jest tej zagadki rozwiązaniem. Oddechem Boga?

Na ostatniej prostej Pynchon postanawia jednak raz jeszcze zdefiniować dręczący Edypę problem: „Za hieroglifami ulic kryło się transcendentne znaczenie – albo też martwa ziemia", trzeciej możliwości nie ma. Zaskakujące to zdanie, bo, pomijając już skandal, jakim jest użycie przez Pynchona słowa „transcendentne", jest tu coś, co zamienia to pozornie oczywiste rozumowanie w dowód perwersyjnej gry, jaką prowadzi z nami autor. „Martwa ziemia" jest bowiem wyrażeniem metaforycznym, a tym samym posiadającym „znaczenie" nie mniejsze niż „ziemia jałowa" czy „ziemia obiecana". Więc co to za albo-albo? Autor kpi? Bóg wie.

© JERZY JARNIEWICZ

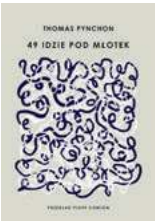

Thomas Pynchon
49 IDZIE POD MŁOTEK
przekład Piotr Siemion, Wydawnictwo ArtRage, Warszawa 2024

MATERIAŁY PRASOWE SHOWTIME

Wszyscy ludzie prezydenta

MICHAŁ WALKIEWICZ

Oto losy, które układają się w opowieść o romansie z dyktaturą. Paliwem tej namiętności są głupota, cynizm i chciwość.

Dwóch facetów ogląda nuklearną eksplozję z satyrycznego arcydzieła Stanleya Kubricka „Dr Strangelove, czyli jak przestałem się martwić i pokochałem bombę" z 1964 r. Jeden z nich, reżyser Oliver Stone, dostrzega w tym obrazku przestrogę. „Truman wiedział o tym, że w konflikcie atomowym nie ma zwycięzców, a mimo to wcisnął guzik" – wzdycha. „W gruncie rzeczy niewiele się od tamtego czasu zmieniło" – odpowiada mu uśmiechnięty Władimir Putin, dorzucając mrożące krew w żyłach frazy o „rozwoju technologii" oraz „nowych wyzwaniach".

Stone nie jest i nigdy nie był na etacie w putinowskim teatrze klakierów. Jego czterogodzinny serial „Stone vs Putin", wywiad-rzekę z 2017 r., można natomiast traktować jak narzędzie legitymizacji kłamstw prezydenta Rosji. O wiele dalej idą inni artyści oraz celebryci. Niektórych inwazja na Ukrainę zmusiła do zmiany autopromocyjnej strategii (co łagodnie nazywa się „otwieraniem oczu"). Innych umocniła w lojalności wobec Putina oraz rosyjskich pieniędzy. Ich losy układają się w opowieść o romansie z dyktaturą. Paliwem tej namiętności są głupota, cynizm i chciwość.

Obywatel świata

Steven Seagal, mistrz aikido oraz gwiazdor kina akcji z lat 90., robił w życiu mnóstwo rzeczy. Groteskową wersją człowieka renesansu stał się jednak w momencie, gdy jego kariera stanęła w martwym punkcie. W poniedziałek

Prezydent Rosji Władimir Putin oraz reżyser Oliver Stone. Kadr z serialu „Stone vs Putin", 2017 r.

wydawał płytę z muzyką reggae i z trudem markował jamajski akcent. We wtorek wraz ze strażą graniczną łapał nielegalnych imigrantów na rzece Rio Grande. W środę był gościem na wykopkach ziemniaków, a własnoręcznie oskrobaną marchewką karmił go Aleksander Łukaszenka.

Seagal urodził się w Lansing, Michigan, na północy Stanów Zjednoczonych. Jego matka miała niemiecko-irlandzkie korzenie. Kiedy jednak zaszła potrzeba (czytaj: aktor wcielał się w role gliniarzy włoskiego pochodzenia), wspominał ją jako Włoszkę. Ojciec był rosyjskim Żydem, co dla Seagala bywało powodem do dumy, choć nie tak wielkim, jak pochodzenie dziadków. Raz byli z mongolskiego stepu, to znów z Appalachów albo Niderlandów. Patologiczne kłamstwa aktora stały się przedmiotem żartów oraz dziennikarskich śledztw. Część wyszła na jaw w trakcie procesu członków mafijnej rodziny Gambino, których aktor oskarżył – zasadnie skądinąd – o nękanie i wyłudzenie pieniędzy.

Dziś Seagal jest przede wszystkim Rosjaninem (choć ma też serbski paszport). Na dworze Putina pełni funkcję pełnomocnika MSZ ds. humanitarnych, zapisał się także do nacjonalistycznej partii Zachara Prilepina, a w maju bieżącego roku został odznaczony Orderem Przyjaźni.

W trakcie ceremonii medale odebrali również Aleksiej Tałaj, który deportował ukraińskie dzieci na Białoruś i do Rosji, oraz Chałym Chuldum-ool, który torturował cywili w ukraińskiej wsi Jahidne. W trakcie podziękowań aktor mówił o Ukrainie jako mateczniku handlu bronią i dziećmi, o fabrykach broni biologicznej i szalejącym nazizmie.

Ciemna strona księżyca

Historia flirtu Gérarda Depardieu z dyktatorami jest jeszcze dłuższa. „Mi Amigo" – mówił o nim Fidel Castro, z którym francuski aktor łowił ryby na wyspie Cayo Piedra. Z kolei on sam jak najcieplej wypowiadał się o Hugo Chavezie i Ramzanie Kadyrowie. Pytany o rosyjskiego przywódcę, odpowiadał, że Putin zakochał się w jego „sztubackiej naturze". Po inwazji Rosji na Ukrainę potępił konflikt w mięciutkiej narracji o „bratobójczej wojnie", choć jeszcze w 2015 r. podważał status Ukrainy jako niepodległego państwa.

Dawny lider zespołu Pink Floyd Roger Waters swoich słów nie cofnął. Gdy odwołano jego koncerty w Polsce, grzmiał o rusofobii, zachodniej propagandzie, Wietnamie oraz Jeffie Bezosie, przez którego prawdziwi nowojorczycy śpią w kartonach. Autentyczne, jak się zdaje, zatroskanie problemami Zachodu wymieszał z prorosyjskimi komunałami. Z połączenia tych intelektualnych klisz powstaje infantylna optyka: Putin może i jest zbrodniarzem, ale przy mężach stanu, którzy posłali naszych dzielnych chłopców do Iraku i Afganistanu, to przecież niegroźny misiek.

„Kozacy" Tołstoja, ulepiona z kilku powieści Dostojewskiego saga petersburska, wreszcie – „Opowiadania" Gogola. Oto filmowe plany serbskiego reżysera Emira Kusturicy na najbliższe lata. Gdy w Ukrainie wybuchła wojna, Kusturica miał pokierować moskiewskim Teatrem Rosyjskiej Armii na zaproszenie ministra Szojgu. Ostatecznie wiadomość okazała się półprawdą – twórca nie objął rządów w teatrze, ale zgodził się reżyserować spektakle.

Kusturica, choć nie nakręcił filmu od ośmiu lat (nie licząc dokumentu o urugwajskim prezydencie i więźniu politycznym „Pepe" Mujicy), to nie pogardzi pieniędzmi na wielką rosyjską epikę. W agresji Putina dostrzega konieczną reakcję na intrygi Unii Europejskiej oraz działania „pronazistowskiego" rządu Ukrainy. Kusturica zdaje się też nie mieć pojęcia o ukraińskich korzeniach Mikołaja Gogola. Autor „Martwych dusz" i „Tarasa Bulby" został wprawdzie napiętnowany przez rodaków za swoje tożsamościowo-literackie wybory (co w dużej mierze przyczyniło się do umocnienia legendy jego rodaka i wieszcza narodowego Tarasa Szewczenki). Dziś jest jednak symbolem niemożliwego do rozsupłania, polityczno-kulturowego splotu pomiędzy Rosją a Ukrainą.

Aktor Aleksandr Domogarow (pamiętny Bohun z „Ogniem i mieczem" Jerzego Hoffmana), modelka Alena Szyszkowa, gwiazda Eurowizji Polina Gagarina, czeski bard Jaromir Nohavica, wreszcie – klasyk europejskiego kina Nikita Michałkow... Część z nich otwarcie popiera inwazję na Ukrainę. Inni zadowolili się aneksją Krymu – teraz woleliby pokój, bo przeszkadzają im sankcje i kulturowy ostracyzm. To, że artyści, celebryci i sportowcy, którzy pozostali w Rosji, są dziś trybikami w propagandowej machinie, raczej nikogo nie dziwi. Dlaczego jednak dezinformacji tak łatwo ulegają przedstawiciele liberalnych elit Zachodu?

Anora jedzie do Cannes

Kusturica przestał być pieszczochem mediów oraz festiwali filmowych, zanim zrobił ideologiczny zwrot. Depardieu, oskarżany dziś o kolejne akty przemocy seksualnej (proces, który wytoczyły mu dwie koleżanki z planu, ma odbyć się w październiku), odebrał rosyjski paszport z filmowej ławki rezerwowych. Seagal, który już w latach 90. budował swoją karierę w sposób moralnie dyskusyjny, zamienił się z czasem w filmowe dziwowisko.

Można ironizować, że z takich propagandystów Rosja nie będzie mieć wielkiego pożytku. Należy jednak pamiętać, że potęgą nie są tutaj jednostki, lecz zunifikowany przekaz o Rosji jako strażniku geopolitycznej równowagi. We wspólnej bajce sławnych popleczników dyktatora pozostaje on sprawiedliwą i zasłużoną karą za globalizm; za rządy, które ↦

↦ unieważniły suwerenność państw i nakazały Europie zadowolić się wielokulturowością. W przywiązaniu do relatywizujących wojnę narracji powtarzają tę bzdurę intelektualiści wychyleni w skrajne strony ideologicznego spektrum, od Noama Chomsky'ego po Stevena Pinkera. Z jednej strony, konflikty konserwatywnych i liberalnych demokratów są wpisane w DNA demokratycznego ustroju. Z drugiej – ten sam ustrój pozwala im nazywać wezwania do antyrosyjskiej solidarności „dyskursem", jakby demokracja nie oznaczała również solidarności w obliczu większego zagrożenia, a teoria nie mogła zostać przekuta w realne działania.

Na Festiwalu w Cannes, czyli w symbolicznym „sercu" europejskiego rynku filmowego, takich działań raczej nie zobaczymy. Od mijanych na korytarzach ukraińskich twórców, branżowców i dziennikarzy dowiaduję się, że bierność władz festiwalu wobec Rosji jest nie tyle frustrująca, co, najzwyczajniej w świecie, niebezpieczna. Listek figowy w postaci wykluczenia z imprezy „podmiotów oraz osób związanych z Kremlem" uważają za żart, skoro rosyjskie filmy trafiają do konkursu głównego, mają ekspozycję w mediach z całego świata, z ich twórcami są przeprowadzane wywiady.

Nie jest to zresztą wyłącznie canneńska domena – pokazywany w sekcji pozakonkursowej weneckiego festiwalu film „Russians at War" w reżyserii Anastasji Trofimowej wywołał falę krytyki wśród Ukraińców. Wszystko za sprawą innego evergreenu w tej samej dyskusji, czyli historii zabiedzonych rosyjskich żołnierzy, którzy – gdyby cokolwiek zależało od nich – pomagaliby Ukraińcom bronić swojego kraju.

Dziennikarze są pomiędzy młotem a kowadłem – jako że większość z nich to freelancerzy, za każdy gest solidarności mogą ponieść srogie ekonomiczno-bytowe konsekwencje. Dyrekcja festiwalu w Cannes chce zjeść ciastko i mieć ciastko; nagradzać kino forsujące polityczne bariery (którego przykładem będzie nagrodzona w tym roku Złotą Palmą i opowiadająca o rosyjskich imigrantach z Brighton Beach „Anora" Seana Bakera), a jednocześnie udobruchać dysydentów z autorytarnych krajów, którzy przywożą do Cannes polityczne pamflety. Kończy się to tak, że przybywających na Lazurowe Wybrzeże Ukraińców wita eskadra myśliwców reklamująca nową część „Top Gun" Toma Cruise'a.

PARADA IDIOTÓW

DOMENA PUBLICZNA X4

EMIR KUSTURICA
Wybitny serbski reżyser, laureat Złotej Palmy w Cannes za „Underground", popiera inwazję na Ukrainę i powtarza bzdury o Zachodzie, który pragnie zdezintegrować rosyjską kulturę. Rozciąga też paralelę między Ukrainą a zdradzoną przez NATO i wepchniętą na wojenną ścieżkę Jugosławią.

OLIVER STONE
Żywy dowód na to, że nawet jeśli chcemy wiedzieć, to czasem lepiej nie pytać. Słynny amerykański reżyser („Pluton", „Urodzony 4 lipca", „Nixon") spytał Putina o wiele spraw w trakcie wywiadu-rzeki w latach 2015-2017. I niemal we wszystkie odpowiedzi uwierzył na słowo.

STEVEN SEAGAL
Instruktor sztuk walki, gwiazdor kina akcji, piosenkarz, Strażnik Teksasu z odznaką pogranicznika, znachor, facet oskarżony o przestępstwa seksualne, kumpel Łukaszenki, wreszcie – dumny Rosjanin. Trudno traktować Stevena Seagala poważnie. Ale powinniśmy, bo mieszczą się w nim niemal wszystkie prorosyjskie sentymenty Zachodu.

ROGER WATERS
Basista Pink Floydów nie ma wątpliwości co do przyczyn inwazji na Ukrainę: została sprowokowana przez Zachód i Unię Europejską. Mówiąc o Bezosie, zapomniał o Sorosie, ale kto by się tam przejmował. Koniec końców to tylko kolejna cegiełka w murze rosyjskiej propagandy. © MW

One Love

Niebezpieczne związki artystów z dyktatorami mają długą tradycję. I nie chodzi tylko o „pożytecznych idiotów". Kolejnym powodem, dla którego myślenie o Seagalu, Depardieu i spółce jako aberracji wydaje się ryzykowne, jest wspólna przeszłość Hollywood i Rosji – nawet jeśli mówimy o relacji zbudowanej w oparciu o symboliczne gesty. W pierwszej dekadzie XXI wieku Rosja była liczącym się rynkiem filmowym. Kręcono tam koprodukcje, a filmowcy z Ameryki, podobnie jak w wielu innych krajach Europy Środkowo-Wschodniej, mogli liczyć na korzystne ulgi.

Zadawanie szyku na rautach Putina nie było więc powodem do wstydu; dla części gwiazd z Fabryki Snów okazało się wręcz doskonałą szansą na promocję. U dyktatora gościli wówczas Leonardo DiCaprio (połączyła ich miłość do kotów oraz żywe zainteresowanie kwestiami klimatycznymi), Dennis Rodman („Putin to fajny gość" – wyznał w wywiadzie), Jean-Claude Van Damme (na turnieju sztuk walki w Soczi w 2010 r. zasiadał po prawicy dyktatora, a rok później przyjął zaproszenie na urodziny Ramzana Kadyrowa) oraz Mickey Rourke (reklamował wraz z Putinem linię patriotycznej odzieży).

Gdy w 2010 r. w Sankt Petersburgu Putin brał udział w wiecu charytatywnym, miał na koncie zbrodnie wojenne, napaść na Gruzję, inwigilację oraz zabójstwa przeciwników politycznych (m.in. Aleksandra Litwinienki), prześladowania mniejszości, zsyłki opozycjonistów na Syberię. Z ręką nonszalancko wsuniętą w kieszeń, w towarzystwie jazzowego bandu, śpiewał amerykański szlagier Sammy'ego Kaye „Blueberry Hill" – rzecz o metaforycznej krainie dobrobytu i tolerancji. Oklaskiwał go tłum złożony z celebrytów, gwiazd kina i estrady. Poza Depardieu, byli wśród nich Monica Bellucci, Vincent Cassel, Kurt Russell, Goldie Hawn, Kevin Costner oraz – ten obrazek chyba najtrudniej wymazać z pamięci – Sharon Stone z ręką uniesioną w geście wiktorii.

Rozwój mediów społecznościowych zamienił podobne absurdalne sceny w codzienność. Celebryci dostali platformy, dzięki którym mogą głosić swoje

poglądy dwadzieścia cztery godziny na dobę. W czasach takiej drożności kanałów komunikacyjnych działa to jednak w dwie strony. I coraz trudniej usprawiedliwiać głupotę niewielką świadomością polityczną.

Sierp i młot

Dokument Olivera Stone'a wydaje mi się w tej układance kluczowy. To tematyczny pomost między wczesnym etapem kariery reżysera, gdy jego konfrontacja z republikańską Ameryką przybierała najbardziej agresywną formę, a późniejszym, kiedy z rozmów z kolejnymi dyktatorami próbował stworzyć mapę politycznych interesów USA.

Łatwo zrozumieć, dlaczego w ogóle zdecydował się z Putinem rozmawiać. Po pierwsze – serial „Stone vs Putin" (2017) wpisuje się w jego cykl prezydenckich portretów, od „JFK", przez „Nixona", po „W.". Po drugie – wcześniej dyskutował z Chavezem i Castro, więc domknięcie trylogii wydawało się formalnością. Po trzecie – miał w zanadrzu wystarczająco dużo dobrych pytań, które rymowały się z resztą jego twórczości (dla przykładu temat inwigilacji obywateli rezonował z nakręconym w tym samym okresie „Snowdenem"). O wiele trudniej natomiast uwierzyć w jego naiwność – naprawdę sądził, że pytania o aneksję Krymu, Syrię, manipulowanie wyborami w USA i dyktaturę przebraną za demokrację nie będą wymagały walki o każdy centymetr taśmy filmowej?

Wbrew obiegowej opinii Stone nie czyni Putina inteligentniejszym, nie wybiela go i nie stawia mu pomnika. Po prostu zdaje się wierzyć w każdego jego słowo i daje się złapać w pułapkę konwencji, która zamienia go w klauna na carskim dworze. Jak w scenie, w której pyta Putina o brak krzeseł w jego prywatnej kaplicy i zostaje poinstruowany, że w prawosławnej mszy uczestniczy się na stojąco. „Czy można klękać?" – pyta. „Jest to dozwolone" – słyszy.

Tuż po seansie reżyser, rzutem na taśmę, wręcza dyktatorowi płytę DVD z „Doktorem Strangelove". Wcześniej, po swojej kurtuazyjnej recenzji, Putin poobracał ją w dłoniach, odłożył na stolik i zebrał się do wyjścia. Ciekawe, czy ją zatrzyma? © MICHAŁ WALKIEWICZ

ALEXANDER ZEMLIANICHENKO / AP / EAST NEWS

Reżyserka Jewgienija Berkowicz i dramatopisarka Swietłana Pietrijczuk, twórczynie przedstawienia „Finist dzielny sokół", skazane przez wojskowy sąd w Moskwie na 6 lat łagru za „wspieranie terroryzmu". Moskwa, 8 lipca 2024 r.

Twórcy nieprawidłowi

ANNA ŁABUSZEWSKA

Rosyjska propaganda państwowa wykuwa nowego człowieka – wiernego putinistę, bezgranicznie i bezkrytycznie oddanego wodzowi. Film, teatr, literatura, muzyka mają wspomagać osiągnięcie tego celu.

Rosyjska kultura została rozłupana na części w dniu, w którym zaczęła się rosyjska inwazja na Ukrainę. Środowisko artystyczne podzieliło się na tych, którzy głośno opowiedzieli się za wojną, tych, którzy nie protestują i pokornie wykonują zamówienia, oraz tych, którzy publicznie (na ogół z zagranicy) występują przeciw, próbują obudzić sumienia i otworzyć rodakom oczy na bezmiar zbrodni i niesprawiedliwości, jakie niesie wojna.

Władze podejmują próby stworzenia nowego modelu kultury sprzęgniętego z bieżącą potrzebą polityczną. Z wypoconych w gabinetach urzędników ministerstwa kultury projektów ożywienia kinematografii czy literatury składa się nieodmiennie stary, dobry kałasznikow: wyciąć niebłagonadiożnych, nagrodzić chwalców, a podawaną społeczeństwu kulturalną strawę uprościć i sprowadzić do łopatologicznego przekazu: „najlepsza jest rosyjska kultura, bo jest rosyjska, tradycyjna, wojenna, nasza".

Jak można przeczytać w cytowanym przez portal „Dossier" dokumencie wewnętrznym Kremla, poświęconym tendencjom w rosyjskiej kulturze czasu wojny, inżynierowie dusz nie grzeszą oryginalnością: „W ciągu dwóch i pół roku od początku inwazji Rosji na Ukrainę kremlowski system zarządzania rodzimą kulturą przeżył kilka etapów. Początkowo władza dążyła do przywrócenia kontroli nad twórcami, którzy wystąpili przeciw wojnie, potem próbowała heroizować uczestników wojny, a następnie wzmocnić w społeczeństwie przekonanie, że wszystko idzie dobrze i żyje się normalnie. (...) Obecne stosunki władzy i ludzi kultury mają formę wzajemnie korzystnej korupcji. Środowisko artystyczne imituje lojalność, za co otrzymuje finansowanie z budżetu państwa. Ale stan homeostazy w kulturze nie może trwać długo". Kultura rozwija się, gdy nie jest ograniczana, a gdy nie jest ograniczana – rozwija się w kierunku protestu. A na protest władze nie mogą ↦

↦ pozwolić – wszelkie przejawy niezgody w środowisku twórczym (i nie tylko twórczym) zwalczane są knutem.

Sąd w Moskwie w maju 2023 r. skazał reżysera Iwana Wyrypajewa na karę 8 lat łagru za „rozpowszechnianie nieprawdziwych informacji" o rosyjskiej armii. Wyrypajew udzielał zachodnim mediom wywiadów, w których krytykował wojnę i Putina, mówił o zbrodniach w Buczy itd. W sierpniu 2023 r. na taki sam wyrok i z tego samego artykułu kk został skazany pisarz Dmitrij Głuchowski (Dmitry Glukhovsky), autor popularnego cyklu powieściowego „Metro". Wyroki zapadły zaocznie – i Wyrypajew, i Głuchowski mieszkają za granicą.

ALEXANDER ZEMLIANICHENKO / AP / EAST NEWS

Rosyjska gwiazda popu Szaman (Jarosław Dronow) na koncercie przed ambasadą USA w Moskwie. Zachodnie platformy streamingowe w ostatnich tygodniach zablokowały kanały Szamana i innych rosyjskich artystów, którzy otwarcie popierają wojnę Rosji z Ukrainą. Moskwa, 19 lipca 2024 r.

Teatr za kratami

Wobec tych, którzy nadal pozostali w Rosji, taryfy ulgowej nie ma. W pokazowym procesie reżyserka Jewgienija Berkowicz i dramatopisarka Swietłana Pietrijczuk w lipcu br. zostały skazane przez wojskowy sąd w Moskwie na karę 6 lat łagru za „wspieranie terroryzmu". Sąd dopatrzył się znamion tego zakazanego czynu w sztuce „Finist dzielny sokół" napisanej przez Pietrijczuk i wyreżyserowanej przez Berkowicz.

To opowieść o rosyjskich kobietach, które przez internet poznały arabskich narzeczonych i zostały wkręcone w wir manipulacji, jakich organizacje terrorystyczne używały (i nadal używają) do werbunku bojowników. Tekst sztuki bazował na autentycznych protokołach z zeznań oszukanych kobiet. To przestroga przed uleganiem kłamliwej, pokrętnej propagandzie. Spektakl Pietrijczuk i Berkowicz został nagrodzony najbardziej prestiżowymi nagrodami rosyjskiego świata teatralnego.

Machinę prawną wprawił w ruch donos czujnego anonimowego widza. Jego zdaniem „sztuka gloryfikuje szlachetnych terrorystów". Gdzie się tego dopatrzył? Trudno powiedzieć: spektakl demaskuje i potępia terroryzm. Powstało jednak kilka ekspertyz, w których wskazywano m.in., że w przedstawieniu „wykorzystano symbolikę ekstremistyczną, a autorka w atrakcyjnej, emocjonalnej formie prezentuje działalność organizacji terrorystycznej i jej ideologię".

Zdaniem autorów ekspertyzy sztuka zawiera też „destrukcyjną ideologię feminizmu". A „radykalny feminizm" to prawie to samo co radykalny islam – te subkultury i ideologie „miały wspólną strategię: zniszczenie istniejącego ustroju państwowego". Eksperci doszli do wniosku, że pokazanie tego na scenie może popchnąć widzów do zdestabilizowania sytuacji w kraju i obalenia władz. W dobie, gdy rosyjskie pułki maszerują na sąsiednie państwo, a oficjalna propaganda pochwala okrucieństwo, nie ma miejsca na wątpliwości. Triumfuje siła i tylko ona się liczy.

A może nie chodziło o spektakl? Może to był tylko pretekst do ukarania Żeni Berkowicz za jej antywojenną postawę i antywojenne wiersze? Na marginesie: za wiersze w prowadzącej zbrodniczą wojnę putinowskiej Rosji też się trafia do łagru – Artiom Kamardin został skazany na 7 lat za publiczne odczytanie pod pomnikiem Majakowskiego antywojennych wierszy, Jegor Sztowba – na 5,5 roku. Ich utwory zostały uznane za nakłaniające do uchylenia się od mobilizacji.

Laureat Pokojowej Nagrody Nobla, redaktor naczelny „Nowej Gazety" Dmitrij Muratow po wyroku na Berkowicz i Pietrijczuk napisał: „Sądy rozpatrują donosy. (...) Przeciwników wojny konstytucja już nie chroni. Wydaje mi się, że to początek otwartego terroru".

Wyrok w procesie-widmie, w którym podstaw oskarżenia nie ma, a sąd orzeka na podstawie widzimisię podstawionych donosicieli i „ekspertów", jest ważną cezurą, zbliżającą putinowską Rosję do stalinowskiego ZSRR, gdzie skazywano ludzi za rzekome szpiegostwo na rzecz Wielkiej Brytanii czy chęć obalenia ustroju. Wyrok ma mieć walor „wychowawczy" wobec ludzi kultury.

„Wychowawcze" walory miała też rozgrywka z uczestnikami „gołej imprezki". Znana blogerka Nastia Iwlejewa urządziła pod koniec grudnia 2023 r. w modnym klubie zabawę, zaprosiła znane osobistości ze świata stołecznej bohemy; warunkiem uczestnictwa był jak najbardziej skąpy strój. Zdjęcia ze spotkania wyciekły do internetu i wywołały wielki skandal. Zareagowały władze, i to na najwyższym szczeblu.

Gwiazdy estrady pozbawiono możliwości koncertowania przez dłuższy czas. Niektórzy, jak ekstrawagancki piosenkarz Filip Kirkorow, w worku pokutnym wybrali się ze specjalnymi występami na Donbas, aby zmyć z siebie winę (propaganda trąbi od miesięcy, że na „rosyjskiej donieckiej ziemi, pod gradem wrażych kul" odbywają się regularnie koncerty patriotycznie nastrojonych artystów; większość piosenkarzy unikała wcześniej wyjazdów ze względów bezpieczeństwa, ale także, aby nie kojarzono ich z wysługiwaniem się władzy).

Inni składali samokrytykę, publicznie przysięgali, że więcej nie będą tacy bezmyślni. Przykładna chłosta miała nauczyć artystów moresu i przypomnieć, że zarabiają niemałe pieniądze tylko dzięki patronatowi władz, dlatego nie mogą swobodnie wychodzić poza wyznaczone przez nie ramy. Czy to w twórczości, czy to w zachowaniu. Ze starcia z protektorami z najwyższych urzędów artyści wyszli upokorzeni, pokazano im służebne miejsce w szeregu: „Rób, co każą. Nie wychylaj się, trzymaj się uchwytów. I tak nic nie zwojujesz".

Terrorysta Akunin

Wobec niepewnych elementów ze środowiska twórców władze stosują zróżnicowany wachlarz środków przymusu. Jedną z form jest przyznawanie statusu „agentów zagranicznych" i „ekstremistów/terrorystów". Autor popularnych kryminałów retro Borys Akunin został pod koniec 2023 r. wpisany na listę terrorystów i ekstremistów za „wspieranie terroryzmu" (czytaj: za krytykę Putina i wojny), 12 stycznia 2024 r. jego nazwisko znalazło się również na liście „agentów zagranicznych", dwa tygodnie później rozesłano za nim list gończy, a sąd rejonowy w Moskwie zaocznie pisarza (mieszkającego od wielu lat za granicą) aresztował. Ofiarą porachunków pisarza z władzami Federacji Rosyjskiej padły jego powieści. Księgarnie wycofały książki ze sprzedaży – przecież rosyjski czytelnik nie powinien mieć kontaktu z dziełami takiego niebezpiecznego wywrotowca, nieprawdaż?

Na liście „agentów zagranicznych" obok nazwiska Akunina znajduje się obecnie ponad 400 nazwisk: to dziennikarze, muzycy, politycy, artyści, duchowni. „Spis porządnych ludzi" – mówią przeciwnicy reżimu. Wpisanie na listę uniemożliwia prowadzenie działalności w kraju, ogranicza kontakty, odcina od rosyjskich mediów.

W grudniu 2023 r. na liście znalazł się też popularny aktor, Anatolij Biełyj, który aktywnie protestował przeciwko rosyjskiej inwazji na Ukrainę, zrezygnował z pracy w moskiewskim teatrze MChT i wyjechał do Izraela. Na decyzję o wpisaniu na listę „agentów zagranicznych" zareagował stwierdzeniem: „Żegnaj, była ojczyzno". Deputowana Dumy Jelena Drapieko (w przeszłości aktorka) nazwała Biełego „wrogiem ludu" i dodała: „Aktorzy nie są na pewno najmądrzejszymi ludźmi na ziemi, ich zawód nie wymaga od nich mądrości. Słowa Biełego o tym, że przegrana Ukrainy stanie się końcem cywilizacji, jest potwierdzeniem tej opinii". Kolega Biełego z filmowej i teatralnej niwy, Artur Smoljaninow (znany m.in. z roli w filmie „Dziewiąta kompania" o bezsensie afgańskiej wojny) również został uznany za „agenta zagranicznego", wyemigrował, udziela się w emigracyjnych i zachodnich mediach, gromiąc putinowskie (nie)porządki. W krajowej prasie jest odsądzany od czci i wiary, na jego temat krążą wyssane z palca „sensacje".

> W optyce Kremla nie wszyscy aktorzy – czy szerzej artyści scen i estrady **– plasują się w kategorii „niezbyt mądrych".** Bo ci, którzy popierają Putina, uważani są za całkiem mądrych, a przynajmniej rozsądnych.

W optyce władz nie wszyscy aktorzy – czy szerzej artyści scen i estrady – plasują się w kategorii „niezbyt mądrych". Bo ci, którzy popierają Putina, uważani są za całkiem mądrych, a przynajmniej rozsądnych. I zasługują na godności, apanaże i szacunek. Cały sztab „prawidłowych twórców" uczestniczył w grupie inicjatywnej popierającej kandydaturę Władimira Putina w ostatnich „wyborach prezydenckich". Reżyser Nikita Michałkow, aktor Władimir Maszkow, piosenkarz Shaman, piosenkarka Polina Gagarina, dyrygent Walerij Giergijew (Valery Gergiev) i inni. Oni grają dla Putina i z namaszczeniem uprawiają grządki Z-kultury.

Nowe zadania w starym kinie

Z tej właśnie grupy rekrutują się twórcy obsługujący kremlowski dwór. A zapotrzebowanie na ich trud jest duże. Urzędnicy administracji prezydenta odpowiadający za segment kultury wyznaczają obowiązujące standardy. W latach 2024-2025 połowa dzieł, finansowanych przez państwo, powinna odpowiadać „nowemu zadaniu": propagować tradycyjne wartości i wspierać „specjalną operację wojskową". W tym nurcie znalazł się m.in. projekt filmu biograficznego (czy raczej hagiograficznego) o uczestniku rosyjskiej wiosny na Donbasie, watażce „Motoroli". Druga połowa „twórczości" to rozrywkowy chłam. W tym roku największe wpływy w kinach zapewniły dwie niewybredne komedie „Sługa 2" i „Muzykanci z Bremy" (producentem tego filmu był Nikita Michałkow). Na trzecim miejscu uplasowała się niespodziewanie ekranizacja „Mistrza i Małgorzaty" w reżyserii Michaiła Łokszyna (Michaela Lockshina), Amerykanina o rosyjskich korzeniach. To był nader ciekawy kazus: to film o silnym wydźwięku politycznym (przestroga przed dyktaturą), którego realizacja została sfinansowana z rosyjskiego budżetu (1 mld rubli).

Dochody z rozpowszechniania wyniosły 2,3 mld rubli. Nie wiadomo, czy pieniądze te trafiły do twórców obrazu, bo rosyjskie władze rzuciły hasło, że obcych ideowo autorów należy odciąć od dochodów. Ministra kultury Rosji Olga Lubimowa zapowiedziała, że honorariów i tantiem nie otrzymają ci twórcy filmu „Mistrz i Małgorzata", którzy wyjechali z Rosji.

Nad propozycjami dla kinematografii pracuje nie tylko resort kultury, ale także ministerstwo oświaty (odpowiedzialne za wychowanie nowego pokolenia zaangażowanych putinistów). Na początku lipca „oświatowcy" wytoczyli wielką armatę: przedstawili kuriozalny program nakręcenia „na nowo" trzydziestu filmów należących do kanonu kina sowieckiego. Wśród nich m.in. „Aleksander Newski" i „Iwan Groźny" Siergieja Eisensteina, „Lecą żurawie" Michaiła Kałatozowa, „Los człowieka" i „Wojna i pokój" Siergieja Bondarczuka. Propozycje trafiły do Związku Kinematografii z uzasadnieniem: „mają one posłużyć zachowaniu pamięci historycznej i formowaniu patriotyzmu", przede wszystkim u dzieci. Związek Kinematografii nie wyrzucił projektu od razu na śmietnik, ma się skonsultować z ekspertami.

Jak widać, każda instytucja związana z kulturą chce się odznaczyć na polu tworzenia w nowym duchu. Ale decydujący głos mają ci, którzy siedzą na Kremlu, w otoczeniu Putina. Siedzą i wymyślają coraz to nowe programy. Nie tylko dla twórców filmowych, ale także dla pisarzy. Ludzie pióra mają zgodnie z wytycznymi jeździć na „nowe terytoria" (czyli okupowane ziemie Ukrainy) i opisywać z entuzjazmem odbudowę i życie „legendarnych jednostek wojskowych". Za takie arcydzieła literaci będą sowicie nagradzani specjalnymi „pulitzerami". Wyróżnienia czekają też na plastyków, którzy odważą się pojechać na „nowe terytoria" i tam tworzyć np. graffiti wysławiające rosyjski oręż albo malować portrety dowódców wojskowych. W nagrodę mogą potem liczyć na wystawianie prac w czołowych stołecznych galeriach. © ANNA ŁABUSZEWSKA

Jazda po mieście

ANITA PIOTROWSKA

Radu Jude wynalazł własny kinowy język, erudycyjny i zabawny, trochę tylko zapożyczony u Godarda.

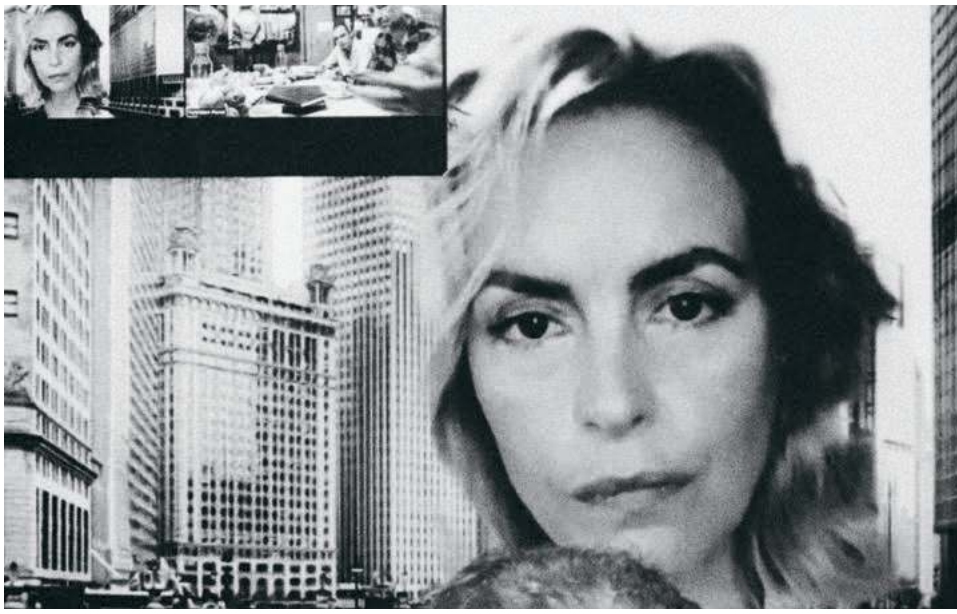

Przy takich filmach pogłoski o śmierci kina okazują się przedwczesne i grubo przesadzone. Choć przecież wzięty od Stanisława Jerzego Leca tytuł „Nie obiecujcie sobie zbyt wiele po końcu świata" mówi sam za siebie – mała apokalipsa właśnie się dokonuje. Innego końca nie będzie, bo go nie doczekamy. Trochę na przekór tym samosprawdzającym się przepowiedniom Radu Jude nakręcił brawurową opowieść, którą zdawkowo dałoby się określić jako „jazdę po mieście" – po bandzie i bez trzymanki. Bohaterką jest bowiem młoda asystentka produkcji filmowej i to jej zwyczajno-szalony dzień, spędzony głównie w aucie, przynosi ostrą diagnozę świata, jaki znamy aż za dobrze.

Zanim Angela (gra ją fenomenalna Ilinca Manolache) założy kusą cekinową sukienkę i ruszy do pracy, kamera ledwie omiecie wzrokiem jej nocny stolik – a tam Marcel Proust i Henry Fielding. Łatwo ich przeoczyć, albowiem to, co robi bohaterka, niewiele ma wspólnego z jej aspiracjami. Angela zasuwa od świtu do nocy, głównie przy filmowych chałturach dla zachodnich korporacji. Widzimy, jak odwiedza po domach ludzi poszkodowanych w wypadkach przy pracy i rejestruje ich opowieści. Kto zwycięży w castingu krzywd i nieszczęść (czytaj: kto spełni oczekiwania możnego zleceniodawcy, dbającego o swój humanitarny wizerunek), otrzyma jakiś pieniężny ochłap.

Napięty grafik Angeli zawiera też inne obowiązki. Wśród nich jest robocza wizyta na zagranicznym planie filmowym (Rumunia to kraj tanich podwykonawców), spotkanie z deweloperem planującym inwestycję na terenie prawosławnego cmentarza (leżą tam dziadkowie bohaterki) czy narady z austriackimi klientami o nazwiskach Hans Frank i Doris Goethe (w tej roli znana niemiecka aktorka Nina Hoss). Są także odwiedziny u sędziwej aktorki z zapomnianego filmu „Angela idzie dalej" (1981) Luciana Bratu, którego fragmenty wplata Jude do swego filmu. Kręcone na „ciepłej" taśmie ORWO zderzają się z surową czarno-białą materią współczesności i zmuszają do porównań losu obu kobiet. Czyli taksówkarki z mrocznej i seksistowskiej epoki Ceaușescu oraz dzisiejszej wyemancypowanej „baby za kółkiem", zmuszonej brać kolejne nadgodziny, czekać na przelew i nawet życie erotyczne prowadzić na przednim siedzeniu.

W rytm prostej samochodowej muzyki, do tekstów w rodzaju „więcej hajsu!", Angela przedziera się przez korki, klaksony i klątwy. Nic dziwnego, że musi czasem odreagować. Wyciąga wtedy smartfon, ustawia radykalne filtry i przeistacza się w patoinfluencera o imieniu Bobik, postać w stylu niesławnego Andrew Tate'a. Eksperyment społeczny i bezpardonowa prowokacja znajduje wielu bezkrytycznych oglądaczy, zbiera liczne „lajki i szery". Gdyż Bobik mówi, jak jest albo jak być powinno. Przekierowuje społeczny gniew, obrażając kobiety, romską mniejszość i walczącą Ukrainę. Jest głosem społeczeństwa, które na skutek permanentnego wyzysku i samowyzysku, pogrążone w historycznej amnezji, traktowane przez Zachód z wyższością, marzy już tylko o jednym – by konsumować jak najwięcej.

Ów temat powraca u Judego, począwszy od fabularnego debiutu. Najnowszy jego dokument, „Osiem pocztówek z Utopii", zrealizowany z Christianem Ferenczem-Flatzem, to montaż reklam z okresu rumuńskiej transformacji. W „Niefortunnym numerku lub szalonym porno" nauczycielka, której prywatna sekstaśma wyciekła do sieci, przemierza pandemiczny Bukareszt, a ten jawi się niczym jeden wielki architektoniczno-reklamowy śmietnik.

Panuje on też w głowach wielu rodaków rumuńskiego reżysera. I to w najlepszym razie, bo jakie skrywane demony się tam kłębią, pokazywał przegadany nieco film „Nie obchodzi mnie, czy przejdziemy do historii jako barbarzyńcy", gdzie szykowana współcześnie teatralna rekonstrukcja zdobycia Odessy przez wojska rumuńskie w 1941 roku musi zmierzyć się z przemilczeniami na temat masakry tamtejszych Żydów. Wcześniej, w dokumencie „The Dead Nation", poruszył Jude (wbrew nazwisku nie jest on z pochodzenia Żydem) wstydliwy temat

RADIO KRAKÓW
Co środę o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego".
Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM
Nowy Sącz – 90,0 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Gorlice – 97,4 FM | Krynica-Zdrój – 102,1 FM
Rabka-Zdrój – 87,6 FM www.radiokrakow.pl

MONOLITH / MATERIAŁY PRASOWE

NIE OBIECUJCIE SOBIE ZBYT WIELE PO KOŃCU ŚWIATA
(Nu aştepta prea mult de la sfârşitul lumii)
– reż. Radu Jude. Prod. Rumunia/ /Chorwacja/Francja/ /Luksemburg 2023. Dystryb. Aurora Films. W kinach od 27 września.

Radu Jude należy do ścisłej czołówki reżyserów nie tylko rumuńskich. Poczynając od „Najszczęśliwszej dziewczyny na świecie" (2009) jego filmy zdobywały nagrody na najważniejszych festiwalach europejskich. Doceniono szczególnie „Aferim!" (2015), „Nie obchodzi mnie, czy przejdziemy do historii jako barbarzyńcy" (2018) i „Niefortunny numerek lub szalone porno" (2021).

Powyżej: kadr z filmu „Nie obiecujcie sobie zbyt wiele po końcu świata".

rumuńskiego antysemityzmu. A zanim u nas zaczęła się moda na rozliczenia z feudalnym niewolnictwem, w „Aferim!" reżyser opowiedział porażającą historię romskiego niewolnika z Wołoszczyzny pierwszej połowy XIX w.

Rytualnie można by zapytać, dlaczego nie u nas powstają filmy jak ten o końcu świata, chociaż mamy podobne książki (skojarzenia z nową prozą Doroty Masłowskiej są tu nieuchronne). Na przykład w roli sfrustrowanej Angeli i zarazem pyskatego Bobika widziałabym Katarzynę Chlebny. Poza tym wszystko mogłoby pozostać bez większych zmian: zakorkowane i zanieczyszczone miasto w nieustającej przebudowie, bardzo niemiłe społeczeństwo, wiecznie peryferyjny kraj Unii Europejskiej, będący jedną wielką montownią dla zachodnich koncernów. I jeszcze ów rozpoznawalny klimat późnego kapitalizmu w wydaniu środkowoeuropejskim, poczucie ciągłego niedorozwoju, wzmocnione powszechną uberyzacją i uśmieciowieniem wszystkiego. Od jedzenia, przez kontakty międzyludzkie, pracę, politykę, kulturę (z kinem włącznie), na sprawach ostatecznych skończywszy.

Jude wynalazł dla tego własny kinowy język, erudycyjny i po prostu zabawny, trochę tylko zapożyczony u Godarda. Ten dwuipółgodzinny esej, poddany nieprzewidywalnej rytmice, zanurza w oparach absurdu bystre obserwacje i cytaty, których gotową listę znajdziemy w napisach końcowych. Żeby było trochę mniej śmiesznie, jego fabularna tkanka, prócz wspomnianych materiałów promocyjnych i wulgarnych filmików z TikToka, zawiera także podany bez cudzysłowu materiał dokumentalny. To... pięciominutowy przegląd krzyży przydrożnych, oskarżający narodową bezmyślność i brawurę, co w kontekście obśmiewanej tutaj „Europy dwóch prędkości" kłuje dodatkową ironią.

Ostatnie zaś pół godziny, zrealizowane w jednym ujęciu, teatralne i metafilmowe równocześnie, w którym tak zwana klasa kreatywna filmuje klasę ludową, a scenografią jest miszmasz historyczno-cywilizacyjnych przemian, nie pozostawia wątpliwości, z jaką filmową bombą mamy do czynienia. W przeciwieństwie do Angeli i jej ekipy, całkowicie wolną od cynizmu. A w odróżnieniu od karykaturalnego Bobika, wyrażona przez Judego gniewna niezgoda na śmieciowy świat nie ogranicza się do pokazania mu środkowego palca. ©

Lektor:
Cyryl pół wieku później

▪ *Wiktor Woroszylski*
CYRYL, GDZIE JESTEŚ? KRÓTKA, ALE POWIEŚĆ.
Opracowanie graficzne i ilustracje Bohdan Butenko. Wydawnictwo Dwie Siostry, Warszawa 2024, ss. 288.

Edytorskie arcydzieło, a zarazem świetna powieść przygodowo-obyczajowo-fantastyczna dla dzieci, wznowiona w pieczołowicie przywróconym, pierwotnym kształcie graficznym. Pierwsze wydanie – Naszej Księgarni z 1962 roku – było jedną z najważniejszych książek mojego dzieciństwa i mocno sfatygowane mam wciąż na półce, choć minęło ponad pół wieku.

Opowieść o Cyrylu (kim jest, nie zdradzę) oraz dwunastoletnich bliźniakach Lutku i Ludce, a także innych mieszkańcach Głównego Domu przy Głównej Ulicy Głównego Miasta, jak – to tylko przykład, bo ładny – „Pani Horror, Angielka (wyrywa zęby prawie bez bólu)", ma misternie zawikłaną intrygę. I może służyć za przedmiot analizy, jak prowadzić kilka symultanicznych wątków akcji, przez Bohdana Butenkę starannie wyróżnionych drukiem, które stopniowo się splatają i znajdują rozwiązanie w finałowym zawęźleniu.

Te wątki wydają się zrazu dosyć odległe – oto ojciec Lutka i Ludki, profesor Salamandra, wyruszył z ekspedycją na poszukiwanie węża morskiego, widzianego w jeziorze Bzdrynie, a ich matka, stewardesa, odbywa kolejny kursowy lot. Zamiast węża ekspedycja odkrywa jednak zabitą deskami wieś, w której rządzi despotycznie niejaki Głowa (będzie i rewolucja), lot zaś nie przebiega bez poważnych zakłóceń... A w Mieście „Lutek-cały-świat-na-mojej-głowie" pakuje się w kolejne kłopoty w imię zaprowadzania w świecie sprawiedliwości.

Czy nie brzmi to znajomo? Przecież Lutek to protoplasta dzisiejszych aktywistów młodzieżowych, a zaczytany okularnik Maryl, w którym zakochana i obdarzona wybujałą wyobraźnią Ludka widzi urodziwego rycerza bez skazy, to ówczesny nerd... Dla zmagań malarza Florka Obłędka z wrogimi przedstawicielami kierunku Apsikistów też znalazłaby się analogia.

Uspokajam: rewolucja zwycięża, Głowa i jego poplecznicy muszą się wykąpać w jeziorze, inni Źli – jak Czarny Ryj – też przegrywają, samolot szczęśliwie wyląduje. A dlaczego jako ośmiolatek nękałem starszego brata, który studiował już wtedy fizykę, by mi wytłumaczył, co to właściwie jest entropia – to już sami sprawdźcie.

Powieścią Woroszylskiego zachwycił się w Radiu Wolna Europa Jerzy Stempowski, co stało się początkiem korespondencji między pisarzem a największym polskim eseistą. Powtórzmy więc za Stempowskim, że „Cyryl..." to „doskonała lektura, mogąca być źródłem przyjemności, rozrywki i refleksji zarówno dla młodzieży, jak i dla dorosłych czytelników". ©℗

OLGA

Drenda:
Pigułki i nałogi

W krakowskim Muzeum Etnograficznym można na wystawie stałej znaleźć obraz współczesnego malarza Władysława Wałęgi zatytułowany „Niezapowiedziana wizyta". Dyskretny tytuł skrywa bardziej dramatyczną treść, zrozumiałą, gdy spojrzymy na datę: 2010, rok poprzedniej wielkiej powodzi w Polsce. Tę niezapowiedzianą, ale i niepożądaną wizytę składa na obrazie Wisła, a raczej jej ukryta strona, symbolizowana przez krzyczącą zjawę, która wyłania się zza spokojnej twarzy i zbiera się do pochłonięcia miasta. Ta praca przypomniała mi się, gdy powoli opadająca woda zaczęła odsłaniać nie tylko skalę zniszczeń i pilnych potrzeb, ale niestety również skalę zamętu w naszej infosferze.

Długo nie byłam jej świadoma; pracowite trenowanie algorytmów w „moim internecie" sprawiło, że docierały do mnie głównie treści nieowinięte w informacyjną bawełnę, deklaracje solidarności z regionami dotkniętymi przez powódź i konkretne wiadomości o potrzebnej pomocy. Niestety – według badań Res Futura, których podsumowanie krążyło ostatnio po mediach społecznościowych, posty dotyczące pomocy poszkodowanym klikały się ponad trzykrotnie gorzej niż te zawierające oskarżenia polityczne. Ten smutny wynik pokrywał się z gorzkimi obserwacjami znajomych, którzy pamiętali katastrofę z 1997 r. Mówili, że wśród licznych różnic między „wtedy" i „teraz" odnotowali zjawisko nowe, czyli obfitość mędrców internetowych, którzy oferowali pigułkę natychmiastowej pewności; zawierała ona spekulacje na temat tego, czyja wina, co lub kto naprawdę stoi za powodzią, czy ktoś wywołał ją specjalnie i od czego miała wobec tego odciągnąć uwagę. Oczywiście, to grono cioć i wujków dobra rada rekrutowało się z obszarów bezpiecznych i dalekich od niszczycielskiej wody.

Lepiej w swoim pudełku na leki nie trzymać pigułki wszechwiedzy.

OLGA DRENDA

Niespodziewane, a zwłaszcza niebezpieczne wydarzenia naturalnie tworzą sprzyjające środowisko dla pogłoski. Wie o tym nie tylko każdy, kto choć trochę interesował się tematem potocznego obiegu informacji, plotki, legendy miejskiej – wystarczy, że sięgnie do niedawnych wydarzeń i przypomni sobie rozmaite „tajne informacje przekazane osobiście przez anonimowego pracownika ministerstwa", które krążyły na początku pandemii. Nie zawsze rozpowszechnia się je w złej wierze, choć czasem wiążą się ze świadomym sabotażem, a nawet potrafią doprowadzić do tragedii. Częściej ich obecność to wynik siły rozpędu, w której trudno oddzielić fakty od nadinterpretacji, a wyjątkowość zdarzeń sprzyja wierzeniu na słowo.

Nawet mając zwykle dobrą intuicję, można się pomylić. Problem jednak w tym, że współczesna łatwość dostępu do informacji przyniosła ze sobą złudzenie szybkiej odpowiedzi na wszystkie dylematy i pytania. Albo raczej: nie pozostawia miejsca na żadne pytania, od razu podsuwając gotową pigułkę pozornej wszechwiedzy. Dzięki temu każdy z daleka czuje się władny, by ocenić, że on już od dawna wiedział, co trzeba było zrobić, co teraz będzie i kto za tym stoi.

Osobiście traktuję to zjawisko z powagą, z jaką powinno się traktować nałogi, ponieważ taka pewność siebie i swego musi być uczuciem uzależniającym – i podobnie zgubnym.

Wśród znajomych i nieznajomych, którzy znaleźli się bliżej katastrofy, zauważam ton zupełnie odwrotny. Jest bliższy tego ostrożnego dystansu, który kazał Władysławowi Wałędze grozę wylewającej Wisły ubrać w eufemizm „niezapowiedzianej wizyty" i przedstawić jako metaforyczną scenę, bo wiedział, że nie można igrać z żywiołem. Mówią właśnie: „to jest żywioł" – tymi słowami, w których słychać pokorę i respekt, świadomość, że nie wszystko jest w naszych rękach i w zasięgu naszej kontroli, nawet gdy robimy wszystko, co możemy, by zapobiec nieszczęściu. Ten rodzaj liczenia się z nieprzewidywalnością zdarzeń jest dzisiaj postawą niemodną, ale budzącą szacunek. To jest odmowa zażycia pigułki fałszywej wszechwiedzy – która w niczym nikomu nie pomaga, w przeciwieństwie do zapytania, czego i gdzie konkretnie potrzeba. Pewność decydowania najlepiej zostawić koordynatorom akcji pomocowych – których skądinąd, jak się właśnie okazuje, również bardzo potrzebujemy. ©

Olga Drenda jest etnolożką, pisarką i instagramerką. Wydała m.in. „Duchologię polską", „Wyroby" (Nagroda Literacka Gdynia 2019) oraz „Słowo humoru".

PAWEŁ

Bravo: *Grymaśność*

Czterdzieści jeden dni zostało do wyborów w Ameryce – ale w niektórych stanach już można oddawać głosy korespondencyjnie, więc cokolwiek teraz się dzieje, może wpłynąć już nie na nieuchwytne nastroje, ale na realne krzyżyki. Rozmowa o tym, czy naprawdę jakiś haitańscy imigranci zjedli koty w miasteczku w Ohio przechodzi więc, choć naprawdę ciężko w to uwierzyć, w domenę poważnej komunikacji politycznej.

Jak świat światem, ludzie sobie odczłowieczają obcego i łagodzą swoje strachy przed nim, powielając m.in. straszne opowieści o tym, co ów jada. Ale w tym mechanizmie podkręcania wstrętu dziwi mnie wybór mało pożywnej ofiary. Nie pierwszy zresztą raz – pamiętacie miejskie legendy o wietnamskich budkach skupujących koty po dwadzieścia złotych? Pomacajcie swojego sierściucha: chude toto, tylko trochę napiętych pięknie mięśni, no, chyba że akurat spasiony, boście ulegli żebrom i presji, żeby miska była stale pełna. Wiem, czasem trudno się oprzeć, mam w domu dwójkę komediantów kwilących żałośnie jak dickensowskie sieroty, ale pamiętajcie: szanujący się drapieżnik, nawet w stanie udomowienia, musi chodzić lekko głodny. Tak ma zaprogramowane, inaczej traci rację bytu jako sprzątacz ekosystemów. Co prawda tym ekosystemem jest nasz portfel i spiżarnia, ale gen jest genem.

Na zdrowy rozum jest oczywiste, że zwłaszcza w warunkach tzw. pierwszego świata, który marnuje prawie tyle samo, ile zjada, stereotypowa grupa groźnych przybyszów ma sto lepszych sposobów, żeby się najeść – choćby okraść spożywczak. Gdzie się lęgnie w głowach gotowość do przyjęcia takich bredni? I to w głowach zdolnych do wypełniania ról społecznych wymagających jako takiej przytomności i rozpoznawania faktów. Nie wierzę, że to tylko złożony efekt wpływu środowiska i miejsca na drabinie społecznej, deficytu godności, emocji nagromadzonych przez pokolenia i podkręcanych manipulacją mediów. Coraz dokładniej i głębiej umiemy rozpoznawać i precyzyjnie definiować genetyczne tło cech i zachowań, tylko na razie zainteresowanie badaczy i sponsorów skupia się na innych obszarach.

Czytam ostatnio w poważnych czasopismach psychologicznych, że niechęć dzieci do jedzenia nowych dla nich rzeczy, zwana dawniej w rodzicielskim języku grymaśnością, ma w 75 procentach właśnie podłoże genetyczne. Dziennikarze omawiający te wyniki spieszą utwierdzać rodziców w przekonaniu, że od dziś nie muszą czuć się winni. Cóż, nie pamiętam, bym miał poczucie winy – a karmiłem dwa wyjątkowo oporne osobniki. Tościk z serem, pomidorowa z ryżem, żadnych warzyw, jabłuszko z łaski, ale tylko ćwierć, za to wafelka owszem, chętnie. Bywałem raczej wściekły, ilekroć marnowały się dobre rzeczy na obiad, w które wkładałem sporo serca i pracy. I nie wątpiłem, zazdrośnie patrząc na wszystkojedzące dzieci przyjaciół, że to ich jakaś natura, czyli dziś powiedzielibyśmy – geny.

A skoro już troszkę więcej wiadomo o biologicznym podłożu zjawiska, to trzeba do tego stworzyć i nazwać odpowiednią jednostkę w katalogu medycznym – czyli chorobę. Już nie „niejadek" czy „grymaśna": stygmatyzujące, protekcjonalne łatki zastąpi ARFID (skrót od angielskiego „zaburzenia polegającego na unikaniu czy ograniczaniu jedzenia"). Spodziewam się, że w najbliższych latach zrobi karierę na miarę ADHD, które kiedyś może było za rzadko rozpoznawane i leczone, ale dziś diagnozuje je u siebie połowa lub więcej ludzi – chyba że akurat przypadkiem mam wokół siebie samych takich znajomych.

Badania genetycznego podłoża lubienia określonych smaków nie ograniczają się do niejadków, mają ogromny potencjał biznesowy – to droga do kolejnych leków pozwalających się odchudzać bez wysiłku. Niestety, zaburzenia polegającego na unikaniu prawdy nikomu chyba nie opłaca się zgłębiać.

Zielone pomidory z anchois

Coraz łatwiej dostać zielone pomidory. Odkąd szerzy się świadomość, że są ciekawym surowcem, plantatorzy zaczęli przywozić je na targ. Oczywiście się je smaży w lekkiej panierce z kaszki kukurydzianej, któż nie widział tego wspaniałego filmu. Ale też znakomicie dają się grillować, tylko posolone i naoliwione. Można też z nich zrobić trochę bardziej seksowną przekąskę.

4 duże zielone pomidory
1 duża cebula 3 fileciki anchois
▪ kaszka kukurydziana lub bułka tarta

Pomidory kroimy na plastry ok. 1/2 cm grubości, obtaczamy w kaszce albo bułce, smażymy na oliwie na średnim ogniu po 3-4 minuty, aż się ozłocą. Równolegle cieniutko pokrojoną cebulę dusimy na oliwie na wolnym ogniu, aż bardzo zmięknie, dodajemy anchois, rozgniatamy drewnianą łyżką, mieszamy, czekamy, aż się rozpłyną. Przekładamy niewielką ilość na gotowe już pomidory, które można w razie czego ponownie krótko podgrzać. ©℗

STANISLAV SABLIN / ADOBE STOCK

Zapisz się na newsletter – co piątek przepisy na Tygodnikowy lunch, obiad i deser w Twojej skrzynce: powszech.net/tygodnik-smakow

Paweł Bravo jest barmanem, tłumaczem i redaktorem. Współautor „Kuchni Dantego", autor „Czekolady i kapuśniaku" (Nagroda Literacka im. Leopolda Staffa 2023).

ZMYSŁY

WIELKA FETA

Na pewno czytaliście, że Ateny są brzydkie i nie ma sensu, by zatrzymywać się w nich na dłużej. Tak twierdzą autorzy przewodników, którym wtórują blogerzy. To nieprawda, jeśli tylko jesteście gotowi na wszystko.

BARTEK KIEŻUN Z ATEN

W porze obiadu wrota były rozchylone, a schody wiodące w dół strome i mocno zużyte. Miałem niewielką obawę, że zjadę po nich, obijając pośladkami wszystkie stopnie po kolei, ale przywołałem się do porządku i zszedłem, starając się wyglądać, jakbym robił to co najmniej po raz trzeci. Rozejrzałem się dyskretnie i upewniłem. Kilka stolików i rozklekotane krzesła stały obok wielkich beczek na wino. Lada była symboliczna, pomieszczenie kuchenne również. Za to zapach unosił się doskonały. Aromat oliwy i smażącego się czosnku mieszał się z dymnymi nutami grillowanej ryby.

Między innymi po to przyszedłem do Diporto. Dostać się tam nie było łatwo. Z zewnątrz nie był to najbardziej zachęcający lokal, wręcz przeciwnie. Budynek wyglądał tak, jakby ostatni człowiek opuścił go – na oko – pięćdziesiąt lat temu. Pordzewiałe wrota pokryte graffiti nie były drzwiami ani okiennicą, w dodatku leżały w zasadzie na chodniku. Tak, jedna z najsłynniejszych jadłodajni w Atenach mieści się w piwnicy.

Człowiek za niewielką ladą ledwie na mnie spojrzał, ale ktoś inny wskazał stolik. Wino i sałatka z fetą pojawiły się z prędkością światła, chleb też. Zrozumiałem, że na stole kelner stawia to, co zostało przygotowane i posiłek będzie wielką niespodzianką. Kuchnia, którą miałem przed oczami, nie była zbyt zasobna w urządzenia. Jeden palnik najwyraźniej wystarczał, by wykarmić gości przy siedmiu stolikach.

Diporto nie ma menu, nie pracuje tu także nikt, kto mówiłby po angielsku. Grecy mówią, że miejsce przywołuje klimat Aten sprzed lat. Tawerny takie jak Diporto były po prostu jadłodajniami karmiącymi sprzedawców okolicznych sklepów i rzemieślników pracujących w pobliżu.

Tawerna została założona w 1887 r., a jej nazwa oznacza „dwie pary drzwi", nie ma jednak co szukać szyldu, bo takowy

Wejście do Diporto. Ateny, 13 lipca 2017 r.

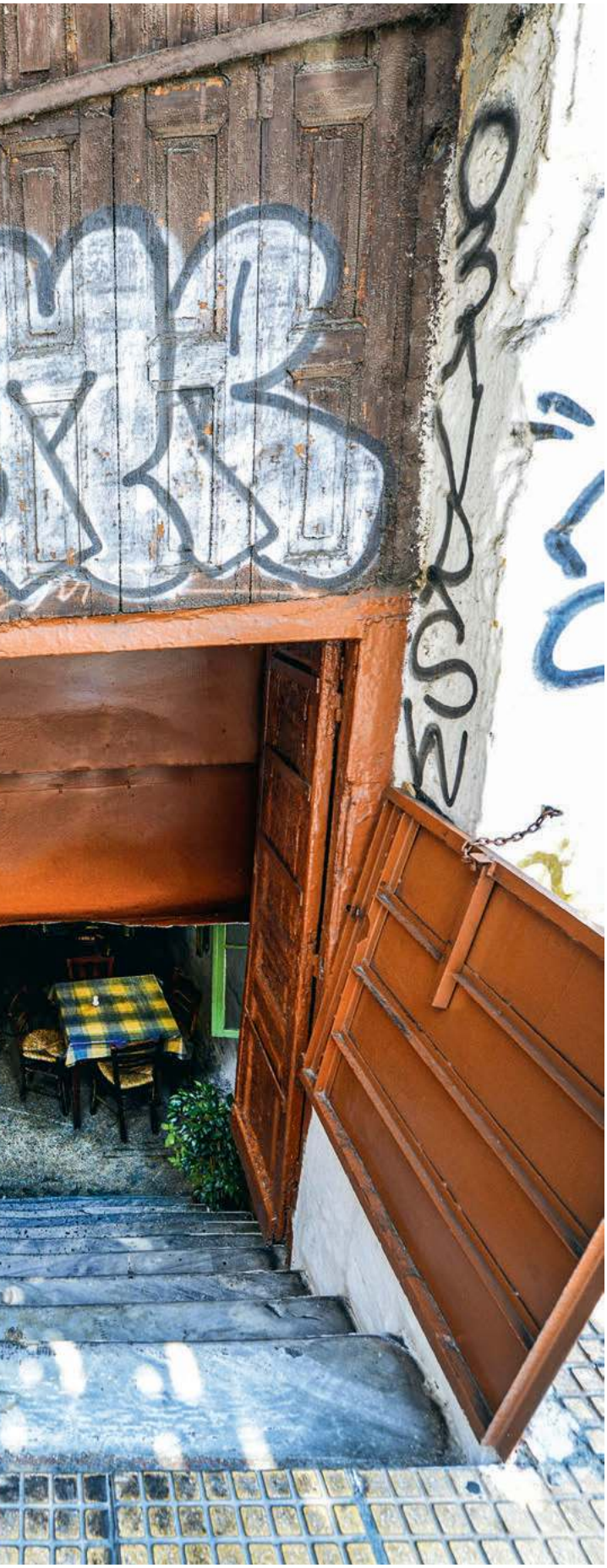

BOAZ ROTTEM / ALAMY / B&EW

nie istnieje. Są tacy, którzy twierdzą, że obsługa jest nieuprzejma. Po kilku wizytach muszę przyznać, że nikt nie witał się ze mną z radością i nie chciał się zaprzyjaźniać. Dostawałem stolik i jedzenie i w sumie więcej nie było mi trzeba. O piłce nożnej i tak bym z chłopakami nie poplotkował, i to nawet gdybym znał grecki, więc myślę, że stworzyliśmy świetną drużynę. Oni mnie karmili, a ja jadłem.

Menu w Diporto zmienia się razem z porami roku. Jedyną stałą są grillowane ryby. Zimą można się spodziewać zupy fasolowej polanej solidną porcją oliwy. Latem królować będzie sałatka i tę właśnie miałem przed sobą. Wielki plaster fety oblany oliwą wyglądał niezwykle zachęcająco.

O czym milczy Homer

O fecie wiedziałem już dość sporo, bo kilka dni wcześniej poznałem Vasię, z którą miałem razem gotować w jednej z ateńskich szkół kulinarnych. Zanim zabraliśmy się do siekania i krojenia, poszliśmy jednak na zakupy. Zatrzymaliśmy się przy jednym z niepozornych sklepików na targu, a Vasia zaczęła mówić o fecie, zanim jeszcze zdążyłem zadać jakiekolwiek pytania.

– Feta to ser z mleka owczego lub mieszanki mleka owczego i koziego – zaczęła od rzeczy, które już wiedziałem. Potem przyszedł czas na poradę: – Jeśli się ładnie uśmiechniesz, dostaniesz również taką zrobioną wyłącznie z mleka koziego.

Uśmiechnęła się do chłopaka, który sprzedawał w sklepie, a on odciął niewielkie kawałki sera i machając w naszym kierunku nożem ozdobionym na samym końcu kawałeczkiem fety, najwyraźniej zapraszał do degustacji. Jestem ubezpieczony, więc zaryzykowałem utratę palców i po chwili kozia feta rozpływała mi się w ustach. – Słona, co? – roześmiała się Vasia i kontynuowała opowieść o serze. Rzecz charakterystyczna: feta dojrzewa w solance. To wyjaśniało słoność, ale dla Vasii był to pretekst do wykładu z historii. Okazało się bowiem, że topienie sera w słonej jak morze wodzie to szczegół, który pozwala zajrzeć w przeszłość i ujrzeć pierwszy plaster fety. Bo „feta" to po grecku „plaster".

Od historyków kulinariów wiadomo, że podobne do fety sery twarogowe wytwarzano w różnych częściach basenu Morza Śródziemnego i Morza Czarnego już w czasach Homera. W jego dziełach nie ma jednak ani słowa o solance. Kiedy więc Homer pisze o serze, należy przypuszczać, że ma na myśli twardy i dojrzewający, jak włoskie pecorino czy hiszpańskie manchego.

Najstarsze doniesienia o konserwowaniu sera w solankach pochodzą z II wieku przed naszą erą. Zanim jednak feta pojawiła się na kulinarnej scenie, musiało minąć jeszcze trochę czasu. Michał Psellos, bizantyjski historyk i pisarz, pisze o solankowym serze dopiero w XI wieku. Opisany przez niego prosfiatos, czyli świeży, dojrzewający trzy miesiące ser to nic innego jak feta.

Wówczas produkowano go głównie na Krecie. W XV wieku na największą grecką wyspę zawędrował włoski podróżnik Pietro Casola. Pozostawił barwne opisy pełnych serów magazynów skarżąc się, że wszystkie były bardzo słone. Kucharze z jego statku docenili jednak smak fety i zakupili spore ilości. Kreteńczycy sprzedawali sery załogom zawijających do portów na wyspie statków i wyjaśniali, że trzymanie sera w solance jest jedyną dostępną metodą konserwacji, która może zapewnić mu dobry smak przez dłuższy czas.

↦

VORGOS KARAHALIS / AP / EAST NEWS

Po lewej: południowa część riwiery ateńskiej, 14 lipca 2024 r.

Po prawej: fasada ateńskiej kamienicy, w której mieści się restauracja Diporto. Ateny, 26 lipca 2022 r.

Kupiliśmy z Vasią spory kawał fety i mijając kolejne stoiska, plotkowaliśmy o połączeniach, w jakich feta sprawdza się znakomicie. *Horiatiki*, czyli sałatka i *kleftiko*, gulasz były oczywistością, ale Vasia opowiedziała mi także o sałatce z młodego bobu i fenkułu z fetą.

Nie do przejedzenia

Następnego dnia postanowiłem spalić nieco kalorii w ateńskim Muzeum Archeologicznym. Przeczytałem bowiem, że jest jednym z najważniejszych i największych na świecie. Miałem nadzieję, że spalę nie tylko nadmiary fety, ale również kalorie pochodzące z portokalopity, rewelacyjnego ciasta pomarańczowego, które upiekliśmy z Vasią.

Tuż po kontroli biletów wylądowałem oko w oko z maską Agamemnona, zapamiętaną z okładki „Mitologii" Parandowskiego. Kiedy w szkole podstawowej czytaliśmy mity, nie miałem najmniejszego pojęcia, kim był Agamemnon, ani tym bardziej, co przedstawia okładka trzymanej przeze mnie książki. Teraz wiedziałem już, że nie ma ona nic wspólnego z Agamemnonem, mitycznym królem Argolidy. Pochodzi bowiem z XVI wieku przed naszą erą, co oznacza, że jest nieco starsza niż dowódca wojsk greckich w wojnie trojańskiej.

Potem zobaczyłem fragmenty antycznych fresków i całe mnóstwo kurosów, posągów przedstawiających młodych nagich mężczyzn o zagadkowym uśmiechu. Jeszcze później wpadłem na wielkiego konia z brązu dosiadanego przez jeźdźca, na oko siedmioletniego. Bajeczna rzeźba stała na samym środku wielkiego holu i wzbudzała powszechny zachwyt. Godzinę później dotarłem na wystawę czasową poświęconą cesarzowi Hadrianowi. No i po kolejnej godzinie byłem przy wyjściu. Uśmiechnąłem się pod nosem. Nie żebym był rozczarowany – to, co widziałem, było wspaniałe, ale rozmiarem całkiem rozsądne. Nie byłem przebodźcowany, tylko radośnie kontent, że udało mi się zobaczyć tyle pięknych rzeczy naraz.

Usiadłem w barze Keenkies, który podaje malutkie słone i słodkie pączki nazywane w Atenach *loukoumades*. W oczekiwaniu na jedzenie przeglądałem informacje o muzeum. I nagle na widok greckich waz zdałem sobie sprawę, że byłoby to nieco dziwne, gdyby w Muzeum Archeologicznym w Atenach brakowało najbardziej znanych przykładów greckiej sztuki.

Pogrzebałem chwilę w kieszeni, bo wiedziałem, że mam tam ulotkę z planem muzeum. Rzut oka na nią sprawił, że odnalazłem miejsca, w których byłem. Tu tak, tu też, o, i tu również. I nagle, o dziwo, zdałem sobie sprawę z tego, że w holu, w którym stał koń, zbiegały się trzy korytarze. Jednym przyszedłem, jednym wyszedłem, został trzeci, który prowadził do części muzeum, o której istnieniu najwyraźniej nie miałem pojęcia.

Prędziutko doczytałem historię muzeum. Dowiedziałem się, że zostało założone przez gubernatora Grecji Ioannisa Kapodistriasa i że gmach został zbudowany pod koniec XIX wieku na gruntach będących darem od Eleni Tositsy. Ta niezwykła kobieta w czasie wojny z Imperium Osmańskim wykupywała greckich żołnierzy z niewoli, a po śmierci męża wydała niemalże cały majątek na budowanie szkół. Zakupiła też ziemię, by Ateny miały gdzie postawić Politechnikę oraz Muzeum Archeologiczne.

Budynek muzeum zaprojektował niemiecki architekt Ludwig Lange. Mimo że powstał gmach o sporych rozmiarach, szybko okazał się zbyt mały. Już na początku XX wieku miały miejsce pierwsze rozbudowy. Dodatkowe skrzydło ukończono w 1939 roku, ale eksponaty nie zagrzały tam długo miejsca, ponieważ w czasie II wojny światowej zostały zapakowane w drewniane skrzynie i zakopane w ziemi. Dzięki temu przetrwały wojenną zawieruchę. Wcisnąłem w siebie ostatniego pączka i ruszyłem w kierunku muzeum. Uznałem, że pora zobaczyć to, co ominąłem.

Dwie godziny później wyszedłem z muzeum po raz drugi. Byłem tak napakowany wrażeniami, że bałem się, iż pęknę. Uznałem, że uratować mnie mogą wyłącznie długi spacer i leciutka jak piórko kolacja, okazało się bowiem, że w sumie spędziłem w muzeum cały dzień.

THEODORE LIASI / ALAMY / B&EW

Cisza jest możliwa

Rano termometr wskazywał sporo ponad trzydzieści stopni. Riwiera ateńska w mojej głowie była rajem, na który składały się kilometry plaż z barami. Jeszcze w łóżku starannie wybrałem plażę: zatoczka ze złotych kamieni otaczała lazurową wodę. Byłem zmęczony upałem, nadmiarem muzealnych wrażeń, ludzi i ciągłą pogonią za tym, co najbardziej ateńskie w Atenach. Chciałem posłuchać szumu fal i poczytać o wojnach peloponeskich.

Zaplanowana trasa wyglądała imponująco: najpierw kawałek metrem, na Syntagmie miałem zmienić linię, potem zaś przesiąść się do autobusu. Podróż miała trwać godzinę i piętnaście minut. Uznałem, że warto.

W metrze, jak to w metrze, było głośno i pełno. Tak mi się przynajmniej wydawało. Na Syntagmie się nie zgubiłem, co samo w sobie było sukcesem. Wsiadłem do właściwego pociągu i pomknąłem przed siebie. Wysiadłem mniej więcej nigdzie. Sześciopasmowa autostrada krzyżowała się tu z metrem, innych atrakcji nie było.

Tłok pod niewielkim zadaszeniem przywodził na myśl długą przerwę w mojej szkole, a wydobywające się spod niego kłęby dymu pozwalały przypuszczać, że komuś pali się plecak. Wykluczyłem tę możliwość dopiero wtedy, gdy się okazało, że wszyscy mają w ustach papierosy i palą je tak łapczywie, jakby to był ostatni papieros w ich życiu.

Uznałem, że poczekam na autobus z boku. Nie chciałem ryzykować uwędzenia. Po chwili zrozumiałem, że rezygnacja z tego procesu konserwacji oznaczała smażenie się w bezlitosnym słońcu, które napierało na mnie dokładnie tak, jak moi przyszli towarzysze podróży palili papierosy. „Wytrzymam, wytrzymam – powtarzałem sobie – autobus ma być za trzy minuty". Po trzynastu przyszło mi do głowy, że wędzenie jest lepsze niż smażenie, ale w wędzarni było już zbyt ciasno. Nie miałem szans zmieścić się pod daszkiem. Pociągi metra nieustannie dowoziły nowych amatorów podróży autobusem.

Przyszło mi nawet do głowy, że wszyscy ci młodzi ludzie mogą mieć ten sam cel co ja i jadą na plażę, choć pewnie nie będą czytać o wojnach na Peloponezie. Odsunąłem jednak od siebie tę myśl, przekonując samego siebie, że mimo upału roztapiającego asfalt trwa rok szkolny, więc młodzież na pewno jedzie do szkoły.

Po kolejnych dziesięciu minutach cały chodnik wokół zadaszenia był już pełen, a ja smażyłem się od góry i wędziłem z boku. W dodatku grupa młodych ludzi wyszarpnęła z plecaka głośnik i kilka sekund później miałem wrażenie, że jest piątkowy wieczór, a ja jestem jedyną trzeźwą osobą w klubie dla nastolatków, których rodzice wyjechali na wakacje. Pociechą było to, że grecki rap był doskonały. Drugą – nadjeżdżający autobus.

Tratwa szaleńców

Gdy drzwi się otworzyły, zrozumiałem, że teraz dopiero się zacznie. W autobusie było więcej ludzi niż na przystanku. Nikt nie wysiadł, mimo to wszyscy, którzy czekali ze mną, weszli do środka. Ja też! Uniosła mnie fala i wrzuciła do wnętrza pojazdu. Tam zaś było jak na zewnątrz, tylko wszystko zostało pomnożone razy dwa. Głośników było bez liku, bo każda grupa miała własną muzykę. Temperatura? Nie pytajcie. Tlen? Brakowało. Oddychaliśmy azotem wymieszanym z piekielnie gorącym dwutlenkiem węgla. Niczym tratwa szaleńców ruszyliśmy przed siebie.

Spojrzałem na telefon. Czekało nas trzydzieści minut jazdy. „Na końcu będzie raj" – tłumaczyłem sobie, starając się skoncentrować na dźwiękach wydobywających się z jednego głośnika. W zasięgu wzroku miałem czerwony, niebieski i czarny. Wybrałem niebieski. Głęboki bit pozwalał odliczać kolejne minuty.

Autobus zwolnił, przegrupowania wśród pasażerów zapowiadały przystanek. Jakaś starsza pani usiłowała coś krzyknąć do kierowcy, ale było to zdecydowanie ponad jej siły. I tu nastąpił cud. Chłopak wyłączył głośnik i ryknął coś w powietrze nad sobą. Wszystkie głośniki umilkły w ciągu kilku sekund. Zrobiło się niemalże cicho. Starsza pani krzyknęła do kierowcy, że wysiada, a on zahamował. Gdy tylko zamknęły się za nią drzwi, muzyka zaryczała jakby nigdy nic, a my ruszyliśmy w dalszą podróż. Po kilku przystankach przyzwyczaiłem się do następujących po sobie na przemian ryków, ciszy i ponownej kakofonii dźwięków.

Kropka, będąca autobusem na mojej cyfrowej mapie, zbliżyła się wyraźnie do celu podróży. Gdy autobus się zatrzymał, wyrzuciło mnie na zewnątrz razem ze wszystkimi ludźmi i wszystkimi głośnikami. Tłum i dźwięki ruszyły przed siebie. Ja z nimi. Zatoczka z plażą, bajeczna na zdjęciach w internecie, w rzeczywistości wyglądała zupełnie inaczej. Każdy kawałek wybrzeża był pokryty ludźmi, za żadne skarby nie potrafiłem usłyszeć szumu fal rozbijających się o kamienie, ponieważ na plaży znajdowało się pięć tysięcy głośników, z których każdy ustawiony na *full* emitował inny rodzaj muzyki.

Przyjrzałem się plaży i ludziom i podjąłem decyzję o ewakuacji. Wsiadłem w pierwszy lepszy autobus. Dwa przystanki dalej nie było żadnej zatoczki. Było za to morze i jakaś para z psem. Rozłożyłem obok ręcznik, wykąpałem się i słuchając szczekającego na fale psa, zrozumiałem, że wyprawa na ateńską riwierę powinna być przygotowana staranniej, bo wieści o pięknych plażach prędko się rozchodzą. Cóż, moja nie była może piękna, ale niemalże pusta i cicha. Wyciągnąłem książkę i przepadłem w historii wojen peloponeskich.

© BARTEK KIEŻUN

STANISŁAW

Mancewicz:
Nigdy razem

Ta powódź jest inna i zaskakująca z jednego powodu. By o nim opowiedzieć, potrzebny jest bardzo krótki wstęp, składający się z oczywistych oczywistości.

Tutejsza polityczna codzienność jest do przewidzenia przez każdego. Mądrego i głupiego. Oto od lat wielu nie trzeba żadnej przenikliwości, by wiedzieć, jak będą wyglądać wszystkie polityczne akcje i na nie reakcje. Znamy na pamięć wszystkie epitety i porównania. Nazwiska europejskich i azjatyckich zbrodniarzy ostatniego stulecia już od dawna mamy przypisane do konkretnych dzisiejszych aktywności i dzisiejszych polityków, polskich i europejskich, do grup ludzi i do partii. Ponieważ wszystko już zostało porównane do wszystkiego, co najgorsze, można by już nie porównywać. To pomysł teoretyczny, praktyka zaś oparta jest na odczuwaniu przyjemności wynikłej z porównywania bliźniego do zbrodniarza. Porównywanie ludzi do najmroczniejszych postaci historycznych jest łatwe, proste i przyjemne, a przyjemności – jak wiemy – uzależniają. Zwłaszcza przyjemności wynikające ze sprawiania przykrości. Porównanie kogoś do Stalina bądź Hitlera daje takoż satysfakcję dlatego, że świadczy i o erudycji, i o oczytaniu, o znawstwie, a być może i o ukończeniu z wyróżnieniem polskich studiów wyższych, albo o swobodnym obracaniu się w kręgach intelektualnych.

Poza tymi dość odrażającymi zabawami, których – jako się rzekło – powtarzalność nikomu nie wadzi, które nikomu się nie nudzą, nikogo nie męczą, nikt się ich takoż nie wstydzi, mamy do czynienia ze zjawiskiem towarzyszącym, rzecz jasna opisanym po wielokroć. Idzie nam tu o pełną osobność i podział. Nie będziemy tego rozwijać, każdy w Polsce świetnie zna problem polsko-polskiej wojny i okropnego podzielenia. I to by było na tyle, jeżeli chodzi o przypomnienie i naszkicowanie krajobrazu, w którym znienacka wzbierają gwałtownie polskie rzeki, a woda zalewa miasta i wioski.

W krajobrazie polskiej polityki widać w tym ciężkim czasie oczywiście wszystko, co stare, ale jest i widok nowy. Ze starych – wymieńmy je, ziewając: rząd mimo powodzi realizuje niemieckie interesy, a dzisiejsza opozycja rosyjskie. I to by było na tyle, gdyby nie coś nowego, wcale nie małego, a jest to zbiornik o nazwie Racibórz Dolny, dzięki któremu – pomijając tu wielką ofiarność ludzi – ocalał Wrocław i kilka innych miast. Czemu nagle zajęliśmy się technologią spłaszczania fali powodziowej? Otóż ten gigantyczny, suchy na co dzień zbiornik przeciwpowodziowy ma, jak czytamy, blisko 27 km kwadratowych i pojemność 185 milionów metrów sześciennych i podczas tej powodzi bardzo udatnie zadebiutował.

Powstawał od 2001 r., dzięki ówczesnej decyzji Sejmu. Sprawdziliśmy: przeciwko budowie głosowało pięć osób, AWS wtedy gasła, większość miał SLD, mniejszościowym rządem kierował J. Buzek, prezydentem był A. Kwaśniewski. Potem rząd J. Kaczyńskiego zdobył pożyczkę z Banku Światowego, dołożyła się Unia Europejska. Budowę rozpoczęto w 2013 r., gdy premierem był D. Tusk. Budowlę skończono w 2020 r., gdy premierem był M. Morawiecki, zbiornik ruszył za Tuska. Trzeba zatem powiedzieć – bardzo ciężko to wykrztusić, bo człowiekowi puchnie gardło – że rodacy zrobili coś razem i to coś, nie dość, że jest niemałe, a wręcz ogromne, to się udało, zadziałało i się sprawdziło.

Sami jesteśmy zaskoczeni, że napisało nam się to, co powyżej. Rozejrzawszy się ostrożnie, czy ktoś tego nie czyta, zauważyliśmy – i to nas uspokoiło – że o zbiorniku raciborskim wszyscy mówią półgębkiem i jakby ze wstydem, bo rzeczywiście to niefajne, że powstał wspólnymi siłami. ©

Stanisław Mancewicz pracuje w Instytucie Literackim w Paryżu. Mieszka w Krakowie.

BARTOSZ MINKIEWICZ

Bartosz Minkiewicz jest rysownikiem i scenarzystą komiksowym, współautorem serii Wilq Superbohater.

REKLAMA

Kraków

MUZEUM
SZTUKI WSPÓŁCZESNEJ
W KRAKOWIE
MOCAK

WIELCY WSPÓŁCZEŚNI

DAR TERESY I ANDRZEJA STARMACHÓW

NOWA KOLEKCJA MOCAK-U

MUZEUM SZTUKI WSPÓŁCZESNEJ W KRAKOWIE MOCAK
UL. LIPOWA 4, WWW.MOCAK.PL

MUZEUM SZTUKI WSPÓŁCZESNEJ W KRAKOWIE MOCAK – INSTYTUCJA KULTURY MIASTA KRAKOWA

WŁADYSŁAW HASIOR, *KRZYK*, 1963, ASAMBLAŻ, 87 × 59 × 20 CM,
KOLEKCJA MOCAK-U, FOT. M. GARDULSKI

MECENAS MUZEUM
OKNOPLAST

PARTNER MOCAK-U

PATRON GALERII RE
RE-Bau

REKLAMA

POLIN

Muzeum
Historii
Żydów
Polskich

Świętuj z nami 10. urodziny

Jesteśmy tutaj!

Weekend urodzinowy

ul. Anielewicza 6
00-157 Warszawa
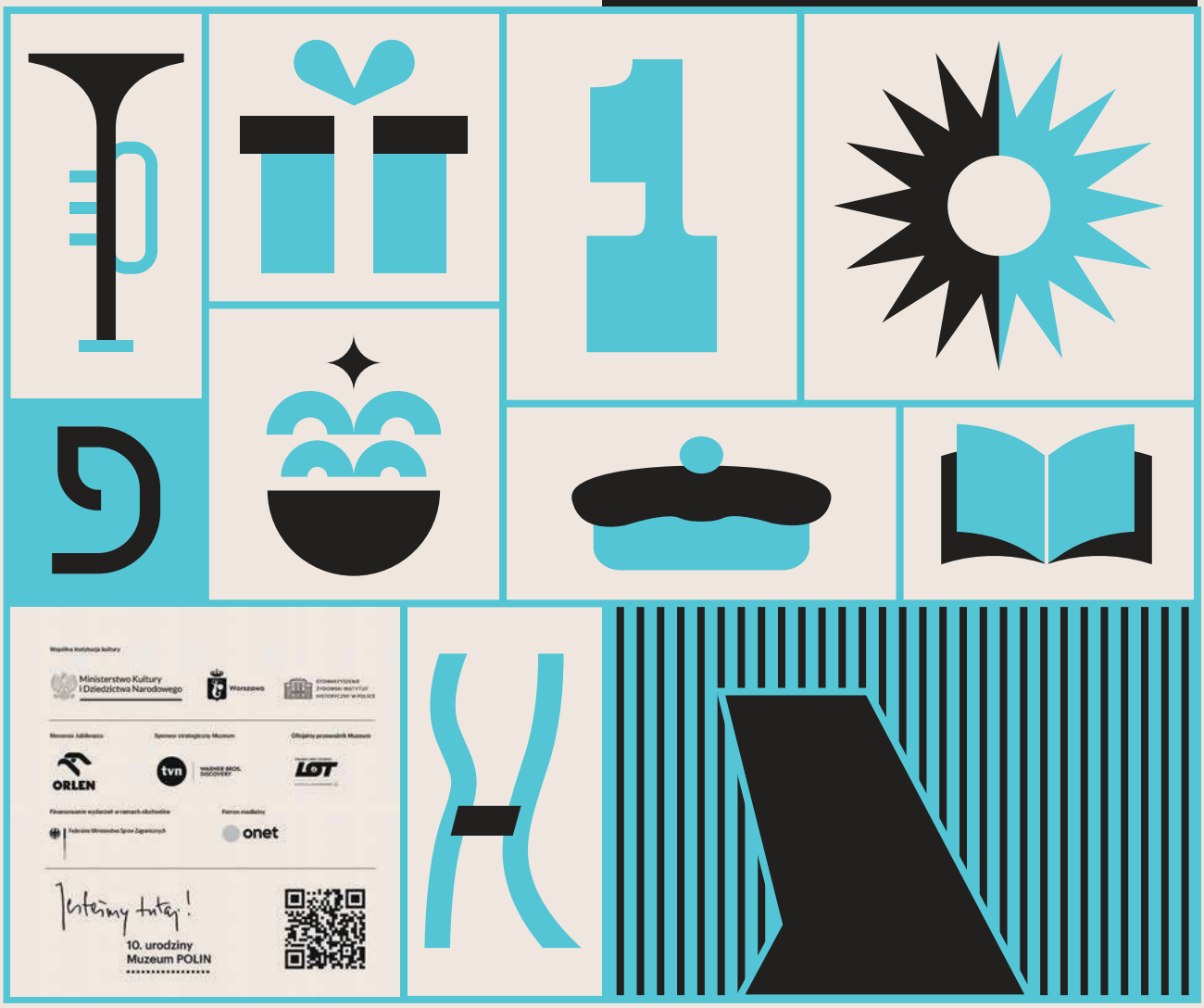
polin.pl